

# CÓRKA CIENI

OBCE MATKI

EWA CIELESZ



# **CÓRKA CIENI**

## OBCE MATKI

CZĘŚĆ 2

EWA CIELESZ



Copyright © 2016 by Ewa Cieleisz

Copyright for this edition © 2016 by Axis Mundi

REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN OPRAWA BR: 978-83-64980-24-4

EAN OPRAWA BR: 9788364980244

ISBN E-BOOK: 978-83-64980-25-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16



## 1

Gratuluje. Ukończył pan z powodzeniem ostatni rok studiów, pisząc interesującą pracę dyplomową. Poruszył pan temat wzbudzający niemałe emocje wśród Polaków. Jeszcze raz gratuluje – powiedział profesor.

Oszołomiony i wciąż jeszcze spięty Adam uściskał kilka wyciągniętych ku niemu dłoni, po czym cicho zamknął za sobą drzwi, za którymi natychmiast otoczył go oczekujący z niecierpliwością tłumek przyjaciół. Adam rozejrzał się dyskretnie, ale nie dostrzegł osoby, na której najbardziej mu zależało.

– Nie gap się, mówże wreszcie! – niecierpliwiła się Olga, szarpiąc go za rękaw czarnej marynarki.

Wyciągnął w górę pięć palców i uśmiechnął się szeroko. Wtedy dopiero podeszli rodzice, stojący dotąd pod ścianą.

– No, synu, jesteście dumni. Bardzo dumni! – powiedział ojciec uściskawszy go serdecznie. – Pozwolisz nam nacieszyć się tobą? Zarezerwowaliśmy stolik w restauracji – dodał.

Adam zawahał się. Miał wprawdzie inne plany, ale nie wypadało w takim dniu odmówić rodzicom.

– Jasne, idziemy – zgodził się.

Krótkim gestem pożegnał kolegów i ruszył z rodzicami do wyjścia. Ulica była zalana słońcem. Zdjął marynarkę i zawinął rękawy białej koszuli.

– Ale upał. Rok temu już wędrowałem po Bieszczadach – westchnął.

Wróciły wspomnienia. To tam, w samym środku bieszczadzkiego lasu trafił na samotną chatę, w której odnalazł dziennik Magdaleny. Czytając go przeżywał wraz z autorką wszystkie radości i tragedie mieszkańców leśnej chaty. Magdalena urwała wspomnienia w połowie zdania i w tym miejscu, jak na rozstaju leśnych ścieżek, pozostawiła Adama.

– No cóż, nie cieszysz się, Adasiu? – przerwała wspomnienia matka. – Skończyłeś studia, obroniłeś dyplom, a idziesz z kwaśną miną, jakbyś zupełnie nie był z tego zadowolony.

– Martwi się, że będzie musiał pójść do pracy. Beztróskie życie studenta masz już za sobą, synu – rzekł ojciec i śmiejąc się poklepał go po ramieniu.

Weszli do restauracji. Adam poczuł przyjemny chłód. Okna były zasłonięte ciężkimi kotarami, panował półmrok klimatycznie podświetlony żółtymi lampkami. W tle sączył się jakiś blues. W środku było prawie pusto. Nieliczni



goście, siedzący przeważnie parami, rozmawiali ze sobą półgłosem. Stolik w kącie zajmowała samotna kobieta, popijająca przez długą rurkę zielonkawego napój. Na widok wchodzących odwróciła głowę w ich kierunku i wbiła wzrok w Adama. Miała przenikliwe, świdrujące spojrzenie.

– Magdalena? – szepnął zduszonym głosem Adam i zatrzymał się, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

– Przejdź synu dalej, coś tak stoisz? – zniecierpliwiał się ojciec i pociągnął go lekko za rękę. Adam szedł jak automat, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, którego doznał przed chwilą. Usiedli przy czteroosobowym stoliku znajdującym się pod ścianą. Kelner zjawił się szybko i ojciec zamówił dania wybrane z karty.

– Widzę, że coś cię trapi – powiedziała matka przyglądając się Adamowi z troską.

– Nie, mamo. Wszystko jest w porządku. Żałuję tylko, że nie zakończyłem tej pracy tak, jak planowałem. – Mówiąc to obejrzał się dyskretnie, ale miejsce w kącie było puste.

– Ależ zrobiłeś bardzo interesujące badania! Przypomnij sobie, ile wysiłku kosztowało cię odszukanie tych wszystkich ludzi, z którymi przeprowadziłeś świetne wywiady – zaproponował ojciec i skosztował przyniesionego właśnie wina. – Twoje zdrowie, synu! Za dalszą pomyślność! – Wzniósł kielich do góry i uśmiechnął się szeroko.

Adam upił łyk wina i już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zrezygnował. Będzie udawał, że wszystko jest dobrze. Rodzice nie muszą wiedzieć o jego rozterkach. W porządku. Dzisiaj będzie świętował.

Po obiedzie przeszli się jeszcze po Starówce, zjedli po wielkiej porcji lodów i wrócili do domu. Od wspólnej kawy Adam wymówił się zmęczeniem i umknął do swojego pokoju. Od kilku miesięcy nie sięgał po dziennik Magdaleny, leżący na dnie szuflady, teraz jednak nie potrafił się temu oprzeć. Coś znacznie silniejszego od jego własnej woli kazało mu to zrobić. Gorączkowo przerzucał strony. Zatrzymał się na fragmencie, w którym Magdalena zwraca się do córki:

– *Juliano – mówiłam – są pewne rzeczy, które musisz wiedzieć zawsze, nawet jeśli ktoś obudzi cię w środku nocy i o to zapyta. Nazywasz się Juliana Dors, twoja matka to Magdalena, a ojciec Piotr. Piotr Dors. Nazwisko panińskie twojej matki – Brzeska. Magdalena Brzeska-Dors. Urodziłaś się...*

Poszukał wzrokiem drugiej informacji:

– *Urodziłaś się w Bieszczadach, w lesie. Dzieci zwykle nie rodzą się w lasach, ale tobie się zdarzyło – powiedziałam i uświadomiłam sobie, że Juliana jest góralką. Bieszczadzka góralką. – Twoja babcia i dziadek mieszkają w Konstancinie i tam musisz ich szukać.*

Adam zamknął grubą, sfatygowaną zeszyt i zadumał się. To Juliana była przyczyną jego niezadowolenia z obrony pracy dyplomowej. Przez nią też utracił

kontakt z Toffi. Wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. Ostatni raz widział Toffi w pubie. Pili razem piwo i żartowali. I mimo że to ona robiła wszystko, by zajął się poszukiwaniem Juliany, tego wieczoru nie chciała o tym rozmawiać. Kiedy rozstawali się pod jej drzwiami, rozchochocony piwem i jej nastrojem zaproponował:

– Toffi, chodźmy do ciebie. Ten wieczór nie może skończyć się w ten sposób.

– A w jaki? – zapytała przekrzywiając kokieteryjnie głowę i patrząc na niego z uśmiechem.

– Dobrze wiesz – szepnął przygarniając ją mocno do siebie. Odepchnęła go. W oczach miała iskry nie wróżące niczego dobrego.

– Adam – syknęła. – Nie spotykam się z tobą w tym celu, rozumiesz?

– Nie wygłupiaj się. To, że będziemy wspólnie szukać Juliany, nie przeszkadza przecież...

– Mylisz się. Nie interesujesz mnie jako obiekt miłości. Nie po to... – Zamilkła nagle, jakby powiedziała za dużo. – Idź już – dokończyła i odwróciła się do drzwi, przy których zaczęła manipulować kluczem.

– Wiesz co? Sama sobie szukaj tej choliernej Juliany!

Jego męska duma została urażona i teraz dawał temu wyraz podniesionym głosem.

– W porządku – odparła tym samym tonem i zniknęła w ciemnej klatce schodowej.

Wiedział dobrze, że bez niej nie zdąży odnaleźć Juliany lub kogokolwiek, kto znałby jej losy, w przypadku, gdyby nie zastał jej przy życiu. Nie napisze jej wspomnień, które miały stanowić ostatnią część jego pracy dyplomowej. Zdecydował się na wywiady z ludźmi, którzy podczas wojny zetknęli się z banderowcami i przeżyli. Właśnie dlatego praca, mimo wysokiej oceny, nie przyniosła mu satysfakcji. Poza tym kojarzyła się z utratą kontaktu z Toffi, o której nie mógł zapomnieć. Fascynowała go, tęsknił za nią i wciąż o niej myślał. Dzisiaj nie miał już wątpliwości. Był zakochany po uszy.

W głębi duszy czuł beznadziejną pustkę. Przerzucał z ręki do ręki dawno przeczytany dziennik i nie bardzo wiedział, co powinien z nim zrobić. Porzucił zamiar szukania Juliany i w późniejszym zeszycie nie potrafił odnaleźć dawnej elektryzującej magii, która przez pewien czas dominowała nad jego własnym życiem, aż do dzisiaj, kiedy ujrzał kobietę o twarzy Magdaleny ze starego portretu. Najrozsądniej byłoby zwrócić dziennik duchom snującym się po leśnej chacie, jednak na samą myśl o tym przeszył go dreszcz. Nie miał ochoty wracać do miejsca wypełnionego aurą umarłych i kukłami o pustym wyrazie szmacianych twarzy. Zapakował dziennik w papierową torbę i sam jeszcze nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, wyszedł na ulicę.

Po gorącym dniu wieczór był duszny i parny, jakby zbierało się na burzę. Na przystanku wskoczył do nadjeżdżającego tramwaju, usiadł na jednym z wolnych miejsc i zagapił się w okno. Kiedy wysiadł, przez chwilę próbował obrać właściwą drogę. W miarę zbliżania się do szarego budynku, w którym mieszkała Toffi, serce coraz wyżej podchodziło mu do gardła. Być może odprawi go z kwitkiem, nie będzie chciała z nim rozmawiać. Niepewnie nacisnął guzik domofonu. Odpowiedziała mu cisza. Odczekał i nacisnął ponownie. Znowu cisza. Poczul zawód, ale jednocześnie ulgę, że nie będzie musiał się tłumaczyć i znosić upokorzeń. Odwrócił się na pięcie i w tym momencie do jego uszu dotarło zniekształcone głośnikiem „halo”.

– To ja, Adam... – powiedział nieco zaskoczony.

– Wejdz – usłyszał głos, a następnie brzęczyk domofonu.

Pokonując po dwa schodki naraz, błyskawicznie znalazł się na drugim piętrze. Drzwi były uchylone. Z wnętrza mieszkania dobiegały ciche dźwięki jakiejś etnicznej pieśni. Toffi w białym, przewiewnym szlafrocuku i turbanie na głowie zabierała się do mieszania w kuchni drinków.

– Nie otworzyłam ci od razu, bo brałam kąpiel – wyjaśniła podchodząc do niego z napełnioną szklanką. – Czekałam na ciebie – dodała.

– Czekałaś na mnie? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie obiecuj sobie za wiele. Mam w tym swój cel – powiedziała. – Zaczekaj tu, ubiorę się – wskazała mu miejsce na fotelu.

– Po co? Wyglądasz bosko i naprawdę... – zaczął, ale zmierzyła go takim wzrokiem, że natychmiast zamilkł.

Czekał niedługo. Po chwili pojawiła się w szortach i sportowej koszulce. Wilgotne włosy opadały jej na plecy. Adam był rozczarowany. Nie widzieli się ponad pół roku, a ona nawet się z nim porządnie nie przywitała.

– Obroniłem pracę – powiedział, żeby jakoś zacząć rozmowę.

– Domyślam się – odparła. – Szkoda, że nie było w niej Juliany.

– Nie chciałaś mi pomóc.

– To ty nie chciałeś mi pomóc – sprostowała.

– Myśl, jak chcesz – powiedział ze złością. – Teraz i tak jest już za późno.

– Nie – powiedziała krótko i przeszyła go zimnym spojrzeniem.

– Co „nie”? – zapytał patrząc na nią w podobny sposób.

– Nie jest za późno. Właśnie teraz musimy zacząć poszukiwania. Zwłaszcza teraz! – powiedziała z naciskiem.

– Dlaczego zwłaszcza teraz? – zapytał. – Wybacz, ale nie rozumiem.

– Mówiłeś, że chcesz być dziennikarzem. Dziennikarzem zajmującym się historią. A to jest doskonała historia. Przynajmniej nie pójdziesz do potencjalnego pracodawcy z pustymi rękami.

– I ty właśnie dlatego chcesz szukać Juliany? Robisz to dla mnie? – zapytał



z niedowierzaniem, a w jego głosie pojawiło się rozczulenie. Bardzo pragnął ją teraz przytulić.

– Przeceniasz mnie – zmroziła go. – Robię to dla siebie. Ty skorzystasz przy okazji. No, siadaj! – ponownie wskazała mu fotel.

– Dobrze – zgodził się. – Pod jednym warunkiem. Opowiesz mi, jak było naprawdę.

– O jaką prawdę pytasz? – Patrzyła na szklankę, którą obracała w palcach.

– Toffi, kryjesz w sobie mnóstwo tajemnic. Myślę o tym, co wydarzyło się od czasu znalezienia dziennika. Prawdę mówiąc, nic mi się kupy nie trzyma! Nieoczekiwanie wkroczyłaś ty i odnoszę wrażenie, że wiesz o mnie więcej niż ja sam – wyrzucił z siebie.

Toffi bez słowa wyjęła z jego rąk pustą szklankę i wyszła do kuchni. Po chwili wróciła z nową porcją napoju. Adam nie wiedział wprawdzie, co pije, ale smakowało znakomicie. Ponadto czuł się coraz bardziej rozluźniony.

– Dobrze, powiem ci. Tylko nie bardzo wiem, od czego zacząć – westchnęła.

– Najlepiej od początku – uśmiechnął się zachęcająco.

Toffi przez chwilę milczała wpatrując się w Adama z zastanowieniem.

– Nie znam Juliany – powiedziała w końcu. – Nie znam jej, choć mogłeś to tak odebrać po przeczytaniu kartki, którą zostawiłam ci w dzienniku. Napisałam tam, że wiem, jaki jest ciąg dalszy. Owszem, wiem, ale tylko od swojej strony.

– Chcesz powiedzieć, że masz z nią jakiś związek? – zapytał i poczuł lekki szum w głowie.

– Związek? Tak. Jestem wnuczką...

– Jesteś wnuczką Juliany?! – Zerwał się z miejsca i patrzył na Toffi jak na widmo.

– Uspokój się i daj mi dokończyć. Jestem wnuczką jej wuja, Stanisława.

– Stasia?! Malutkiego braciszka Magdaleny?! – Nie dowierzał.

– No... on nie zawsze był malutkim chłopczykiem. Zapewniam cię, że wyrósł, a nawet się ożenił. Z tego związku narodziła się moja matka, która – jak wiesz – od kilku lat nie żyje. Jej ojciec, a mój dziadek, Stanisław, w pewnym momencie swojego życia skrzywdził swoją siostrzenicę, Julianę. Nie mógł sobie tego wybaczyć. Na łożu śmierci poprosił moją matkę, czyli swoją córkę, żeby odnalazła Julianę, wyjaśniła błąd Stanisława i poprosiła w jego imieniu o wybaczenie. Niestety, moja matka też wcześniej odeszła i całą sprawę przed śmiercią przekazała mnie. Rozumiesz? Mnie! – zawołała i spojrzała na Adama w taki sposób, jakby do niego miała pretensję o sprawę, którą obarczyła ją matka.

– Czekaj, zaczynam chytać. Musisz odnaleźć Julianę, żeby wytłumaczyć przed nią krzywdy, które wyrządził jej twój dziadek, tak?

– Tak – odparła i wypła jednym haustem zawartość szklanki.

– Dobrze. Powiedzmy, że rozumiem. Ale skąd ja wziąłem się w tym wszystkim? Czy nasze spotkanie w przejściu na Świdnickiej było jedynie przedziwnym zbiegiem okoliczności?

– W ogóle nie było zbiegiem okoliczności. Nie był też przypadkiem fakt, że zabrałeś zeszyt Magdaleny.

– Jak to? – zdumiał się. – Nikt mnie do tego nie namawiał! Przypadkiem z kolegami trafiliśmy do chaty. Potem sam do niej wróciłem i zabrałem pamiętnik.

– Ale nigdy nie trafiłbyś tam, gdyby nie Maks.

– Co?!

– Przypomnij sobie, kto zaproponował wycieczkę w Bieszczady.

– Ja – odparł z pewnością siebie i poprawił się w fotelu.

– Zgadza się. A dlaczego ją zaproponowałeś?

– Czekał... – zastanowił się. – Znalazłem przewodnik. Taką książeczkę o Bieszczadach. Leżała porzucona obok mojego krzesła w sali wykładowej. Ktoś ją zgubił. Sięgnąłem po nią i zacząłem przeglądać. To mnie zainspirowało.

– Właśnie. A wiesz, kto ją – jak to określiłeś – zgubił?

– Skąd mam wiedzieć? – Adam zerknął na Toffi, która obserwowała go w napięciu. – Maks? – rzucił niepewnie.

– Bingo! – ucieszyła się.

– Zaraz, a ty skąd znasz Maksa? – zapytał i przytknął oczy, bo nieco zakręciło mu się w głowie.

– Jeszcze drinka? – zaproponowała słodko.

– Poproszę. To skąd znasz Maksa? – powtórzył, kiedy uzupełniała szklanki.

– Przez dziadka! – zawołała wychylając się z kuchni.

– Przez twojego dziadka? Tego Stanisława? – upewniał się.

– Poniekąd – odpowiedziała stawiając przed nim pełną szklankę. – Pij, inaczej tego nie zrozumiesz – dodała ze śmiechem.

– Rzeczywiście, trochę to skomplikowane... – przyznał chwytając kosmyk jej włosów i owijając go wokół palca. – Wyschły – szepnął.

– Puść! Chcesz dowiedzieć się czegoś o dziadku? – Szarpnęła się.

– Nie o dziadku. Co mnie obchodzi jakiś dziadek? Chcę bliżej poznać ciebie... Dlaczego się ubrałaś? – zapytał nieoczekiwanie, patrząc na nią maślanymi oczami.

– Głupek. Spiłeś się. Słuchasz czy nie?

– Słucham... – powiedział z westchnieniem. W tej chwili interesowała go tylko ona. Śliczna Toffi, jeszcze niedawno w zwiewnym szlafrocisku, z wilgotnymi włosami.

– Skup się. Mój dziadek znał dziadka Maksa. Z tej organizacji... wiesz... – Toffi zmrużyła oczy, usiłując sobie przypomnieć jej nazwę.

– Wiem, wiem – westchnął z rezygnacją – tej, co zajmuje się zbrodniami

wojennymi. Banderowcami... Jesteś cholernie ładna, wiesz? No to co z tym dziadkiem? – plótł trzy po trzy, wodząc za Toffi zachwyconym spojrzeniem.

– Mój dziadek opowiedział dziadkowi Maksa o Magdalenie, jej mężu i tak dalej. Tyle, ile zdołał się dowiedzieć. Nie mam pojęcia, skąd. Chyba od samej Juliany, bo od kogo?

– A więc Juliana żyje! – zawołał Adam i nieco otrzeźwiał.

– Jeśli to opowiadała, to wtedy z pewnością żyła – oświadczyła Toffi mrocznie. – Co dzieje się z nią teraz, nie wiem, bo ona gdzieś się zawieruszyła. Rozumiesz? Kamień w wodę. – Toffi zamilkła, by po chwili dodać: – Ale do rzeczy. Ci dziadkowie odnaleźli tę chatę.

– A więc ktoś był tam przede mną – mruknął Adam zawiedziony, bo coraz mniej pozostawało w tej historii z magii, jaka ogarnęła go, gdy pierwszy raz wziął do ręki pamiętnik Magdaleny.

– A coś ty myślał? Ja też tam byłam. Musiałam przecież odwieźć na miejsce dziennik, który oni stamtąd zabrali. Wcześniej przeczytałam go od dechy do dechy. Nie mogłam jechać sama, mojego dziadka już nie było, więc dziadek Maksa postanowił mi towarzyszyć. On jeden znał drogę. Wtedy Maks wprosił się na tę wycieczkę. Tak go poznałam. Musiałam dojechać do nich z Warszawy, bo oni obaj byli z Wrocławia.

– A twój dziadek?

– Mój dziadek mieszkał tak, jak ja, w Warszawie, ale członkowie tej organizacji wywodzili się z różnych miast, a spotykali najczęściej w stolicy.

– No dobrze. Lecz wciąż nie wiem, co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Jak to? Zdaje się, że studiowałaś z Maksem? – Toffi zrzuciła ze stóp lekkie kapcie i oparła nogi o stół. – Nie przeszkadza ci? – zapytała.

– Jezu... Nie... – jęknął z zachwytem i wbił spojrzenie w gładkie łydki dziewczyny, zapominając, o czym była mowa.

Toffi, jakby tego nie zauważając, kontynuowała:

– Maksa niespecjalnie pasjonowała historia Magdaleny i jej córki. Jeśli już coś go interesowało, to raczej banderowcy. Od dawna dostrzegał twoje reporterskie pasje i kiedy poszukiwanie Juliany miało stać się faktem, postanowił obarczyć tą sprawą ciebie. Znał cię jednak i wiedział, że jeśli podsunie ci gotowy materiał, nie będziesz zainteresowany. Postanowiliśmy więc zaaranżować historię, która będzie dla ciebie tajemnicza i niesamowita. Do połowy się udało – zakończyła smętnie.

– A skąd wiedziałaś, że chcę pozbyć się dziennika? Też od Maksa?

– Oczywiście. Chlapnąłeś mu o tym przypadkiem między wierszami. Przecież ty nie miałeś pojęcia, że Maks doskonale wie o pamiętniku. A on śledził każdy twój ruch i wsłuchiwał się w każde twoje słowo.

– Jeśli nie interesowała go Magdalena, dlaczego tak się zaangażował? –

zdziwił się Adam.

– Bo interesował go ktoś inny. I to bardzo.

– Kto? Juliana?

– Toffi. Interesowała go Toffi – powiedziała. – Dla mnie to robił – dodała dobitnie.

Adam poczerwieniał. No tak – pomyślał – teraz wszystko jasne. Dlatego jest taka obojętna na jego zaloty.

– Jesteś z nim? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Z Makssem? Nie bądź głupi. On zupełnie nie jest w moim typie! Lubię go, ale to wszystko. Zresztą pocieszył się Olgą.

– Olgą? I tak bez skrępowań wysłał ją ze mną w Bieszczady? – zdumiał się Adam, jednocześnie oddychając z ulgą, że Maks nie jest w typie Toffi.

– Boże, jak ty zupełnie nic nie rozumiesz! Olga z kolei pocieszyła się Makssem, bo wtedy właśnie, gdy wybierała się w Bieszczady, była szalenie zakochana w tobie! Dlatego można było ją wykorzystać do przywiezienia pamiątki z powrotem.

– Toffi, wystarczy. Mam już dość tej całej rozmowy. – Adam objął oburącz głowę i zacisnął powieki. – Dla mnie ważne jest tylko to, że masz piękne nogi i nie jesteś z Makssem. Cała reszta mnie kompletnie dzisiaj nie obchodzi!

– A jutro?

– Jutro będę miał nadzieję na więcej.

– Na więcej informacji? – zdziwiła się, bo myślała, że wyjaśniła już wszystko.

– Na więcej ciebie, Toffi. Ciebie...

– Niepoprawny dzieciak – mruknęła i wyniosła szklanki do kuchni.



Adam siedział na ławce i grzebał patykiem w piasku. Toffi oglądała zawartość tekturowej teczki, którą niegdyś zostawiła u Olgi.

– Spójrz na ten wycinek z gazety, rok... 1989. Juliana miała wtedy pięćdziesiąt lat.

– Toffi, to jest ogólna informacja. Nie ma tu słowa o Julianie. Tak naprawdę nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

– Nie ma o Julianie, to prawda. Ale jest o sprawach spadkowych toczących się w sądach. Dotyczą przedwojennych domów zajętych tuż po wojnie przez całą rzeszę lokatorów nie będących właścicielami. Dotyczą też konfliktów rodzinnych w związku z tymi domami.

– I co z tego?

– To z tego, że ja nie wiem, jaką krzywdę wyrządził dziadek swojej siostrzenicy. Jeśli Magdaleny już nie było, Juliana została pełnoprawną spadkobierczynią konstancińskiego domu, na równi ze Stanisławem. Może chodziło właśnie o to?

– A ten konstanciński dom ocalał po wojnie? Mówiłaś, że twój dziadek mieszkał w Warszawie.

– Nie mam pojęcia, czy dom ocalał. Kiedy się urodziłam, dziadka już nie było. Wszystko, co wiem, powiedziała mi mama. A mówiła niewiele. Szczerze mówiąc, pochłonięta była zarabianiem pieniędzy na nasze utrzymanie. Nigdy nie mówiła nic o żadnym domu.

– No właśnie. Szukamy igły w stogu siana.

– A to? – Toffi podsunęła Adamowi pod nos jakiś pożółkły skrawek gazety.

– Co to jest?

– Znalazłam w szpargałach matki. Przeczytaj.

Adam wziął do ręki fragment starej gazety z 1952 roku i przeczytał nagłówek: „Pożar we wsi pod Toruniem”. Pod nim był tekst:

*Czternastego kwietnia przywieziono do szpitala w Toruniu trzynastoletnią Julianę D. Dziewczynka uratowała z płomieni czwórkę rodzeństwa w wieku od czterech do siedmiu lat. Podczas akcji ratunkowej doznała licznych obrażeń, na szczęście nie zagrażają one życiu małej bohaterki.*

– Toffi, to bez sensu! Juliana nie miała rodzeństwa! – wykrzyknął zirytowany.

– Skąd wiesz? Przecież nie mamy pojęcia, czy Magdalena przeżyła, czy nie? Może uciekła w końcu z lasu i wyszła ponownie za mąż?

– Z takimi nogami? – skrzywił się i oddał jej strzęp gazety.

– Ech, z nogami... Z nogami czy bez, to była bardzo ładna kobieta. W dodatku niegłupia i zaradna.

– Ale chora. Ciągłe ją coś bolało – burknął, wciąż krzywiąc się z niesmakiem.

– Może ktoś ją wyleczył. Zobacz, ile faktów się zgadza: Juliana w 1952 roku miała trzynaście lat. I pierwsza litera nazwiska jest taka sama. Ona była Dors, tak? A tutaj jest napisane Juliana D.

– Nie jednemu psu Burek na imię. A ponadto, co ona robiłaby w Toruniu? Nie, to naprawdę nie ma sensu.

– Ale nie zaszkodzi sprawdzić. Inaczej nigdy jej nie znajdziemy. Musimy od czegoś zacząć! – upierała się Toffi.

– Jak chcesz to sprawdzić? Przecież to było w pięćdziesiątym drugim roku! – protestował.

– Nie szkodzi. Była w szpitalu, może tam zostały jakieś dokumenty.

– Tak? A w którym szpitalu? – zapytał z ironią w głosie.

– Nie wiem, w którym. Przecież w Toruniu nie ma jakiejś oszalałej liczby szpitali. Możemy sprawdzić wszystkie.

– No więc co ostatecznie proponujesz? – Adam był nieco zniecierpliwiony jej uporem.

– Jak to co? Jedziemy do Torunia!

– Dobrze. Pojadę z tobą. Tylko po to, żebyś przekonała się, że to na nic – postanowił.

Wyjechali w samym środku tygodnia. Pociąg zatrzymał się na stacji i wypuł pasażerów na ocieniony dachem peron. Adam rozwinął mapę.

– Mamy co najmniej osiem szpitali. Z tego większość nie istniała tuż po wojnie. Proponuję te dwa – zadecydował dziobiąc palcem w mapę.

Ruszyli wyznaczonym szlakiem. W pierwszym z wybranych szpitali nikt nie chciał z nimi rozmawiać. W drugim mieli więcej szczęścia.

– Ja wam nie pomogę – oznajmiła kobieta zajmująca się księgowaniem chorych – ale wskażę wam dom, w którym mieszka pielęgniarka, która w tamtym czasie pracowała na oddziale dziecięcym. Od dawna jest na zasłużonej emeryturze, to starowinka, ale ma niesamowitą pamięć do chorych, których miała pod opieką.

Kobieta podała im adres, pod który niezwłocznie się udali.

– Widzisz? To już jest coś! – cieszyła się Toffi.

– Na twoim miejscu nie byłbym taki szczęśliwy. Łatwiej zniesiesz rozczarowanie – powiedział i pokręcił głową Adam, który wciąż sceptycznie traktował pomysł dziewczyny.



Kamienica była stara i odrapana. Domofon wprawdzie tkwił na właściwym miejscu, ale drzwi były uchylone. Drewniane schody skrzypiały przy każdym kroku. Stanęli przed dużymi drzwiami z numerem cztery.

– Pukaj – szepnęła Toffi. – Nie widzę nigdzie dzwonka.

Adam zapukał. Najpierw nieśmiało, potem załomotał tak, że sąsiadka z naprzeciwka wyjrzała z zaciekawiona.

– Ciszej, pani Aniela słyszy, tylko powoli chodzi – upomniała.

Zaszurało i wielkie drzwi uchylily się nieznacznie. Ujrzeni drobną staruszkę z siwym koczkiem na czubku głowy.

– Państwo do mnie? – zdziwiła się.

– Tak. Czy możemy wejść? Chcieliśmy o coś zapytać – odezwała się Toffi z nieśmiałym uśmiechem.

– Ja tam nie wiem... Obcy jesteście... – zawahała się.

– Chodzi o szpital. Była pani pielęgniarką. Chcemy zapytać o jedną dziewczynkę. Może pani pamięta... – zaczął Adam z nadzieją w głosie.

– Ach, to było tak dawno... Przecież ja mam już dziewięćdziesiąt siedem lat! Ale proszę, proszę. – Odsunęła się od drzwi i wpuściła ich do środka.

Usiedli przy dużym owalnym stole. Pani Aniela patrzyła pytająco.

– Nie jesteśmy pewni, czy na pewno chodzi o ten właśnie szpital. W pięćdziesiątym drugim roku została przywieziona dziewczynka z pożaru. Ratowała swoje rodzeństwo...

– Dziewczynka z pożaru. Mój Boże, kto by jej nie pamiętał! Tyle lat, a ja wciąż mam ją przed oczami. Cóż to było za radosne dziecko! Promyczek! A jaka pracowita! Jak tylko doszła do siebie, nie mogła chwili na miejscu usiedzieć. Lekarstwa roznosiła, podłogi zamiatała, robiła wszystko, żeby tylko... Jakże ona miała na imię? – Pani Aniela zamilkła i zmarszczyła czoło.

– Może Juliana – podpowiedział Adam.

– Nie wiem... Nie wiem, może i Juliana. Tak, chyba Juliana. – powiedziała z wahaniem i niemal natychmiast twarz jej spochmurniała. Zmierzyła ich podejrzliwym wzrokiem. – A dlaczego pytacie? – zapytała.

– Szukamy jej – powiedziała ostrożnie Toffi. – Należała do mojej rodziny. Nigdy jej nie widziałam, a muszę przekazać jej coś bardzo ważnego.

– Jeśli jeszcze żyje – zatroskała się pani Aniela.

– Powiedziała pani, że Juliana robiła wszystko, żeby tylko... Co żeby tylko? Mogłaby pani dokończyć myśl?

Pani Aniela nachyliła się i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– Ona do domu nie chciała wracać. Prosiła, żeby jej z tego szpitala nie wypisywać. Dobrze u nas miała. Wszyscy ją kochali. I taka pomocna była!

– Nie chciała wracać do rodziny? Do rodzeństwa, które z takim poświęceniem ratowała? – zapytał podchwytliwie Adam.

– Nie pamiętam dokładnie, ale to chyba nie było jej rodzeństwo... – Pani Aniela potarła dłonią czoło, a Adam i Toffi wymienili spojrzenia. – Tak, już sobie przypominam. To byli obcy. Nie chciała z nimi być, bo ją wykorzystywali. Pracowała jak koń za kawałek chleba. Biedna sierotka... – Staruszka pokiwała ze smutkiem głową.

– Ale w końcu wróciła do nich? – bardziej stwierdził, niż zapytał Adam.

– A gdzie tam! – machnęła ręką pani Aniela. – Salowa ją wzięła do siebie. Była dla niej jak matka rodzona. Dzieciak przy niej od razu nabrał ciała i kolorów na buzi. Bo przy tamtych była chuda jak szkapa i taka blada, że strach! Szkoda gadać.

– Może pani coś więcej o tej salowej nam powiedzieć? Gdzie mieszka? Chcielibyśmy z nią porozmawiać! – zapaliła się Toffi i już poderwała się z miejsca, gotowa do dalszych poszukiwań.

– O, nie rozmawiacie już z nią. Dawno nie żyje, biedaczka. Nazywała się Regina. Regina Dąbek. Dwa lata Julianę chowała, potem nagle na serce umarła. Nikt się nie spodziewał... A Juliana przepadła. Na pogrzebie jeszcze ją widzieliśmy, a potem zniknęła gdzieś. Po Reginie syn tylko został, Kazio. Bo mąż Dąbkowej zginął na wojnie. A Kazio był dorosły. Osiemnaście lat skończył, jak matka umarła, to i nikt już o niego się nie troszczył. Dobry chłopak i zaradny. Czasem go widywałam. Rowerem listy rozwoził, listonosz. Lubili go ludzie, bo zagadał do każdego, o zdrowie zapytał. Teraz już na emeryturze. Żonę miał taką grubą, że ledwo się ruszała! – Pani Aniela uśmiechnęła się. – Ale dzieci nie miał.

– Nie zainteresował się losem Juliany? Niby taki dobry, a puścił ją samą w świat? – zapytała Toffi z naganą w głosie.

– Nie puścił, bo ona sama uciekła. Szukał jej. A jakże! Na milicję chodził. I do tamtych jeździł, co się palili. Myślał, że może tam wróciła. Ale zniknęła bez śladu. Dokąd poszła? Do kogo? Nikt nie wie.

– A ten listonosz, Kazio, gdzie mieszka? Może powiedziałby nam coś więcej – zapytał z nadzieją Adam.

– Tego nie wiem. Idźcie na pocztę, zapytajcie. Będą go pamiętać. Bo ja odkąd wyprowadził się z domu matki, jego nie widziałam.

Pani Aniela strzepnęła ze stołu niewidzialne okruchy i spojrzała na swoich gości wyczekująco. Zrozumieli. Podnieśli się i podziękowali za rozmowę.

– Nie ma za co dziękować – powiedziała. – Tyle, co mogłam pomóc, pomogłam. Idźcie na pocztę, mówię wam. Na pocztę – powtórzyła drecząc za nimi do drzwi i już po chwili usłyszeli szcęk zamykanych zamków za plecami.

– I co? – Toffi spojrzała na Adama z nieskrywaną satysfakcją. – Wszystko wskazuje na to, że to nasza Juliana!

– Nie mów hop – mruknął Adam, ale w głębi ducha myślał to samo, co ona.

– Idziemy na tę pocztę? – zapytała.

– Zastanawiam się. Skoro jego poszukiwania nie przyniosły efektów, niewiele będzie mógł nam pomóc – odpowiedział.

– Ale może powie nam o niej coś więcej – wyraziła nadzieję Toffi.

– Może – przyznał krótko.

W niewielkim Urzędzie Pocztownym na jednym z osiedli doskonale pamiętano Kazia Dąbka. Usłużna urzędniczka zadzwoniła do niego, a on chętnie zgodził się na rozmowę. Był otwarty i jowialny. Pasował do zawodu, który przez lata wykonywał. Przyszedł świeżo ogolony, pachnący wodą kolońską. Zaprosili go do kafejki przesyconej zapachem kawy i cynamonu.

– Juliana... – westchnął Kazio, gdy zasiedli przy stoliku nakrytym brązową serwetą. – Miała piętnaście lat, jak zmarła moja matka. Ja miałem wtedy osiemnaście. Była prześliczna! I taka... taka dzika. Jak rusałka. Było w niej coś nieuchwytnego, tajemniczego... Miała niesamowite ręce. Pamiętam, że gdy matkę bolała głowa, wystarczyło, by Juliana przyłożyła dłoń do jej czoła, a cały ból zaraz mijał. Matka miała chore serce. Nigdy się nie skarżyła, dlatego nikt o tym nie wiedział. A Juliana wiedziała. Czasem spojrzała na nią jakoś dziwnie i mówiła: „Niech się ciocia położy, niech serduszko cioci odpocznie” – tak ładnie się zwracała: ciociu. A moja matka na to: „A ty skąd wiesz, sikoreczko, że mnie serce boli?” I wtedy Juliana odpowiadała, że widzi to przecież. Bardzo się kochały.

– Nie wie pan, dlaczego uciekła? – przerwała mu Toffi.

– Co mam nie wiedzieć. Wiem, to znaczy domyślam się. Ja też ją kochałem. Ale nie jak siostrę. Tylko inaczej, wiecie... Zakochałem się w tej dziewczynie. Dopóki trzymałem gębę na kłódkę, nie domyślała się niczego. Ale jak tylko matka umarła, nie wytrzymałem i wygadałem się. Powiedziałem, że jak trochę poczeka, ożenię się z nią i będzie miała rodzinę. Zaraz potem uciekła. Nie chciała. A ja nie mogłem o niej zapomnieć. Jeszcze dzisiaj o tu – przyłożył rękę do serca – tak ciepło mi się robi, gdy o niej pomyślę. Żal...

– Mówiła coś o sobie? O swojej przeszłości? – zapytał Adam.

– Nic. Nie chciała mówić. Patrzyła tylko tymi swoimi wielkimi oczami i broda zaczynała jej się trząść. Widać przykre miała przeżycia. Nie chcieliśmy jej męczyć pytaniami. Bo i co by to zmieniło? Kochaliśmy ją taką, jaka była, bez względu na przeszłość. Co ja się jej naszukałem! Przepadła.

– Może opowiadała coś o rodzinie, planach na przyszłość. Cokolwiek! – Toffi wlepiła błagalny wzrok w pana Kazia i zastygła w niemym oczekiwaniu.

– Ona była dziwna. Niby otwarta, a nic z niej nie można było wyciągnąć. Ale zaraz... Mówiła coś o Konstancinie, o jakiejś babci, że niby tam mieszka.

– To ona! – zawołała Toffi i ścisnęła kurczowo dłoń Adama. – Słyszysz? Teraz nie ma już żadnych wątpliwości! Jesteśmy na właściwym tropie! Myśli pan, że udała się do Konstancina? – zwróciła się do Kazia.

– Gdybym ja to wiedział, pewnie znalazłbym ją. Nie wiem. Naprawdę nie

wiem. Przeczytałem kiedyś w wiadomościach, że jakaś Juliana ma problemy z prawem. Ale tamta była gdzieś z Podlasia. A gdzie Konstancin, gdzie Podlasie! Wie pani, Białystok, Suwałki, te rejony. To chyba nie ona. Zresztą Juliana i konflikt z prawem? To do niej niepodobne.

– No cóż. Bardzo dziękujemy panu za tę rozmowę. Nie będziemy dłużej zabierać czasu. – Adam dopił kawę i odstawił pustą filiżankę. – Gdybyśmy ją znaleźli... – próbował jeszcze coś dodać, ale pan Kazio przerwał mu zniecierpliwionym ruchem ręki.

– Nie. Proszę mnie z nią nie kontaktować. Nie chciała mnie wtedy. Uciekła. Moja duma, wie pan... Nie chcę – powiedział i jakby nieco przerażony perspektywą spotkania Juliany opuścił pośpiesznie kawiarnię.

– Co teraz? – zapytała Toffi odprowadzając wzrokiem znikającego za oknem kafejki Kazia. – Jedziemy na to Podlasie?

– Zwariowałaś? Będziemy latać za wszystkimi Julianami świata? – zaprotestował Adam podążając za jej wzrokiem. – Nawet on jej tak daleko nie szukał, choć był zakochany.

– W przeciwnym razie trop urywa się tutaj. Uważam, że powinniśmy spróbować – naciskała.

– Toffi, Podlasie zajmuje ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych! Jak chcesz na takim terenie znaleźć jedną kobietę?! – zniecierpliwiał się Adam.

– Damy radę, zobaczysz. Musimy tylko wiedzieć, jaki przyjąć kierunek poszukiwań – przekonywała dopijając kawę.

– Co masz na myśli? – zapytał i skinął na przechodzącą właśnie kelnerkę. – Chciałbym zapłacić za kawę – zwrócił się do młodej dziewczyny z burzą złocistych loków.

– No... Musimy się zastanowić, czym taka Juliana mogłaby się zajmować – powiedziała Toffi uśmiechając się sprytnie.

– Ależ to drobiazg, Toffi. Drobiazg! Mogłaby na przykład zajmować się szyciem szmacianych lalek.

– Albo wyplataniem koszyków! – klasnęła w ręce.

– Albo dojeniem krów – podjął zabawę.

– Albo – zastanowiła się – tkactwem!

– Hodowlą kur.

– Strzyżeniem owiec – rzuciła dla żartu.

– Bez przesady, oni tam w lesie nie mieli owiec – zaprotestował ze śmiechem.

– No to... hm... zbieraniem ziół! – zawołała i natychmiast spoważniała. – A wiesz, że to mogło być możliwe?

– Co możliwe? Zbieranie ziół? Moja droga, najgorsze w tym jest to, że

wszystko jest możliwe, a teren do zbadania tych możliwości mierzy ponad dwadzieścia kilometrów...

– Kwadratowych – dokończyła razem z nim i przechyliwszy się przez stolik przesłała mu buziaka. – Idziemy?

– Idziemy – westchnął i wstał z ociąganiem.

Do Wrocławia dotarli późnym wieczorem. Adam odprowadził Toffi. Był tak zmęczony, że nawet nie próbował wprosić się do niej na herbatę. Noc upłynęła mu niespokojnie. Coś nieokreślonego budziło go nieustannie, słyszał czyjeś kroki i szelesty. Co pewien czas siadał na łóżku i rozglądał się po pokoju, ale wszystko było na swoim miejscu. Na domiar złego rankiem, kiedy wreszcie zasnął na dobre, rozdzwonił się telefon.

– Jedziesz? – usłyszał głos Toffi.

– Dokąd znowu? – jęknął i sięgnął po zegarek.

– Jak to dokąd? – zdziwiła się. – Na Podlasie. Autobus do Białegostoku mamy za dwie godziny.

– Będziemy tam szukać wiatru w polu? – zapytał, z trudem powstrzymując ziewanie.

– Ładnie to nazwałeś. Tak, wiatru w polu! Pośpiesz się. Spotkamy się na dworcu autobusowym. Aha, weź coś do spania, myślę, że na Podlasiu zabawimy dłużej niż w Toruniu – dorzuciła i przerwała połączenie.

Adam wyskoczył rażno z łóżka. To, że ma spędzić noc albo nawet kilka nocy z Toffi, zaczęło mu się podobać. Poranna toaleta i śniadanie nie zajęły dużo czasu. Do plecaka wrzucił niezbędne na wyjazd rzeczy, zostawił jeszcze informację dla rodziców i już go nie było. Autobus jechał długo. Toffi próbowała drzemać, trochę czytała. Adam obserwował krajobraz za oknem i rozmyślał. Milczenie nie dzieliło ich, nie było męczące. Raczej jednocyło. W Białymstoku znaleźli się we wczesnych godzinach wieczornych. Toffi wyjęła z plecaka mapę i rozłożyła ją na trawie.

– Zamknij oczy – poleciła Adamowi. – A teraz wskaż jakieś miejsce paluchem.

Wskazał na chybił trafił, choć zupełnie nie rozumiał po co. Toffi zwykle miała niekonwencjonalne pomysły.

– Dobrze – pochwaliła. – Teraz zobaczymy, dokąd pojedziemy. Pałatki – z trudem odczytała drobne litery. – Pałatki? Dobrze, niech będą Pałatki.

Złapali jeszcze ostatni autobus. Wysiedli jako jedyni na przystanku.

– I co dalej? – Adam rozejrzał się z politowaniem. – Idziemy do Hampton by Hilton?

– Nie bądź złośliwy. Hotelu mu się zachciewa – powiedziała z sarkazmem, podniosła plecak i skinęła na niego. – Chodź!

Ruszyli wyspaną zwirem drogą między wiejskimi chałupami. Ponad

dachami rozciągała się pajęczyna przewodów elektrycznych, na jednym ze słupów zadomowiły się bociany. Pod chylącymi się ku drodze płotami stały drewniane ławeczki, na których pewnie lubiły przysiądać w wolnym czasie gospodynie. Gdzieś tam pomiędzy przeredzonych sztachet wychylały ciekawe główki soczyste maliny i pąki kwiatów. Przed jedną z chałup siedziała kobieta w kwiecistej chustce na głowie i haftowała coś czerwonym kordonkiem. Na widok przyjezdnych podniosła głowę i zaczęła przyglądać się im ciekawie.

– Dzień dobry – ukłoniła się grzecznie Toffi. Adam ograniczył się do ruchu głową, co równie dobrze mogło być odebrane jako oganianie się od komara.

– Dzień dobry. A wy pewnie do Jasiukowej, tak? – zagadnęła kobieta i nie czekając na odpowiedź dodała: – To tam, prosto idźcie. Za tym domem z zielonym płotem, jak droga skręca. Taka niska chałupa to jej – wyjaśniła dokładnie, choć o nic nie pytali.

– Do Jasiukowej? – zapytała Toffi nieco oniemiała z wrażenia. – A dlaczego do Jasiukowej?

– A, bo Michalczukowa nogę złamała – oznajmiła ze śpiewnym akcentem w głosie.

– Nogę? – wyjąkała Toffi i spojrzała na Adama oczami wielkimi jak młyńskie koła.

– A tak. W niedzielę złamała. Więc musicie iść do Jasiukowej. No, chyba że uroki chcecie odczynić, to do Zapieczek trzeba jechać. Tam tylko do Wawrenowej można pójść, bo Prokopiukowa umarła.

– Umarła – wyszeptała Toffi. Zabrzmiało to jak „amen”.

Adam nie spuszczał wzroku z kobiety w chustce, czasem tylko przełknął ślinę, o czym świadczyła poruszająca się w systematycznych odstępach grdyka.

– Aha. To do Jasiukowej, tak? – powiedział w końcu niepewnie, widząc, że Toffi nie jest zdolna do dalszej dyskusji.

Kobieta skinęła głową i pochyliła się nad robótką, dając im do zrozumienia, że spełniła swój lokalny obowiązek wskazawszy im drogę.

– No to idziemy – zdecydował Adam, złapał Toffi za łokieć i pociągnął w kierunku chałupy Jasiukowej.

Toffi oderwana od ziemi oglądała się jeszcze za kobietą w chustce, która odłożywszy robótkę na kolana, długo patrzyła za nimi. Po kilku metrach zatrzymali się i przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

– Adam, zostaw mój łokieć! – otrząsnęła się wreszcie Toffi. – Kto to jest ta Jasiukowa? Po cholere mnie tam ciągniesz?

Zanim odpowiedział, usłyszeli śpiewny głos za plecami:

– Dalej, dalej! Mówiłam, jak droga skręca! – wołała kobieta w chustce.

– Dziękujemy! – odkrzyknął Adam, a Toffi z zapalem jej pomachała.

– Schowajmy się gdzieś – szepnęła konspiracyjnie i popędziła przed siebie



truchtem w lekko przygiętej pozycji.

– Zaczekaj, co ci się nagle tak do niej śpieszy? – sapał Adam podążając za Toffi z dwoma plecakami.

Toffi zatrzymała się za zakrętem, chyba tylko dlatego, że z przeciwka szedł właśnie przygarbiony mężczyzna w grubym szaliku na szyi, mimo tego, że był początek lata. Toffi odprowadziła go zdumionym spojrzeniem.

– Jasiukowa zajęta – bąknął do niej mężczyzna i poszedł dalej, lekko powłócząc nogami.

– Jezu... Kim jest Jasiukowa? – wymamrotała Toffi, bardziej do siebie niż do Adama. – Co to za persona?

– Masz swoje Podlasie – mruknął Adam z satysfakcją. – Sama chciałaś!

– Jasne, że chciałam. W gruncie rzeczy to jest bardzo ekscytujące. Chodźmy!

Kiedy podeszli pod wskazany dom z zielonym płotem, ujrzeli pod oknem ławkę, na której siedziały trzy kobiety w średnim wieku i żywo o czymś rozprawiły. Na widok przybyszy zamilkły i przyjrzały się im z zaciekawieniem.

– Oj, Jasiukowa chyba dzisiaj więcej nie przyjmie – zatroskała się ta, co siedziała w środku.

– Nie przyjmie? – zmartwiła się Toffi, a przynajmniej na taką wyglądała.

– Przepraszam – odważył się na pytanie Adam. – Czym zajmuje się Jasiukowa?

Kobiety popatrzyły po sobie, potem zmierzyły Adama spojrzeniem pełnym wyższości.

– A pan skąd? – zapytała chuda kobieta w zielonej kamizelce.

– Z Wrocławia – odparł.

– Taki kawał drogi! – złapała się za głowę ta, co siedziała najbliżej drzwi. Na kolanach trzymała żywą kurę.

– To aż we Wrocławiu znają Jasiukową? – zdziwiła się środkowa.

– Niezbyt dobrze, dlatego pytam... – bąknął Adam, nieco zbity z tropu.

– No jakże, ona od zawiania jest. Ale uroki teraz też odczynia, bo...

– Bo Michalczukowa nogę złamała – inteligentnie domyśliła się Toffi i zerknęła na Adama.

– Właśnie – odezwała się ta w kamizelce, spojrzała na nią z uznaniem i przesunęła się nieco do środkowej. Żywa kura na kolanach tej pierwszej zagadała coś po swojemu. – Pani siada, może panią jeszcze przyjmie – zwróciła się do Toffi moszcząc się na nowym miejscu, czym zupełnie upodobniła się do kury swojej sąsiadki.

– Jak to przyjmie? – chciała wiedzieć Toffi, ignorując przygotowane dla niej miejsce.

– No przecież przyjechała pani się leczyć – odezwała się ta z kurą.

– Leczyć? – zdumiała się Toffi. – Jasiukowa jest lekarzem?

– Tylu ludzi wyleczyła, że można i tak powiedzieć. Ale to szeptucha – oznajmiła środkowa. – Dobra szeptucha! – dodała, widząc wytrzeszczone oczy Toffi.

– Szeptucha?! – Toffi wzdrygnęła się i spojrzała na Adama. Trzeba przyznać, że miał wyjątkowo głupią minę. – Kto to jest szeptucha?

– Jak to kto? One modlitwą, to jest szeptaniem leczą. Odmawiają prawosławne modły i odczyniają uroki, nerwy leczą i od zawiania też pomogą. Wszystkie dolegliwości można im powierzyć, ale jeśli coś się dla szeptuchy nie nadaje, to ona uczciwie powie i do lekarza odeśle. Pieniądzy nie biorą, podarki różne też rzadko przyjmują. Jasiukowa to w ogóle nic nie bierze – cierpliwie wyjaśniła środkowa, bo chyba była najbardziej wyrozumiała ze wszystkich.

– To po co ta kura? – zapytał rezolutnie Adam. – Chora?

– A gdzieżby Jasiukowa kurę leczyła! – oburzyła się zielona kamizelka. – Sąsiadka już trzeci raz przyszła, to chce się odwdzińczyć. Nie wiadomo, czy szeptucha weźmie.

Nagle wszyscy zamilkli. Drzwi chaty otworzyły się, po czym ukazała się w nich kobieta z małą dziewczynką, a zaraz za nimi starowinka w czarnej chustce, od której odcinały się intensywną czerwienią malutkie różyczki. Starowinka miała poorly bruźdami twarz, z której wyzierały małe, przenikliwe oczka. Obrzuciła nimi czekających i skinęła na kobietę z kurą.

– To szeptucha? – zapytała przyduszonym głosem Toffi.

– Tak, to właśnie nasza Jasiukowa – odparła środkowa z dumą.

Kobieta od kury nie zabawiła długo. Wyszła po kilku minutach ze swoim gdaczącym podarkiem pod pachą. Widać więcej Jasiukowa nie mogła jej pomóc albo choroba całkiem odpuściła.

– Nie wzięła – mruknęła tylko i podreptała do otwartej na oścież zielonej furtki.

– To teraz ja – podniosła się środkowa i zniknęła w drzwiach chaty.

Zielona kamizelka przeżegnała się kilkakrotnie i przymknęła oczy. Przez chwilę trwała zatopiona w modlitwie, potem zwróciła się do Toffi:

– Trzeba wierzyć. Inaczej szeptucha nie pomoże. Ja to takie lęki mam, że co i raz za siebie się oglądam, czy kto nie idzie. Raz mnie Kondratiuk, nasz sąsiad, wie pani, tak wystraszył, że od tej pory nijak się tego strachu nie mogę pozbyć. Ludzie mówili: „Do szeptuchy idź. Raz, dwa i wygoni z ciebie lęk, co ci Kondratiuk zadał”. – To ja przyszłam, zobaczymy...

Po chwili i ona była już w chacie. Śródkowa wyskoczyła stamtąd, jakby skrzydeł dostała. Kiwnęła im tylko głową na pożegnanie i już jej nie było.

– Wchodzisz? – zapytał Adam, gdy zielona kamizelka opuściła chatę. Toffi zawahała się przez chwilę, potem nieśmiało uchyliła drzwi. Adam usiadł na ławce

i zaczął żuć źdźbło trawy. Toffi nie było dobry kwadrans.

– I co? – zapytał, gdy wyszła z dziwną miną.

– Kazała mi powiesić w każdym kącie pokoju okruchy chleba obwiązane szmatką. Ale najpierw muszę poświęcić chleb w cerkwi...

– Na co to? – zdziwił się.

– Nie na co, tylko przeciw czemu.

– No to przeciw czemu? – dociekał.

– Staropanieństwu – odparła i spojrzała mu wyzywająco w oczy.

Adam parsknął śmiechem i natychmiast spoważniał, ponieważ w drzwiach ukazała się Jasiukowa.

– Proszę – zaskrzypiała starym głosem.

Adam obejrzał się i sprawdzwszy, że nikogo już nie ma, uznał, iż zaproszenie dotyczy właśnie jego. Wszedł. Izba, do której wprowadziła go szeptucha, urządzona była biednie, ale prosto i zwyczajnie. Nie było tu rozpiętych pajęczyn ani czarnego kota, jak się spodziewał. Pod ścianą stała nieduża komódka z dwiema dużymi szufladami, na środku stół i trzy krzesła. W kącie izby piec kaflowy, taki z fajerkami. Na nim garnki poczerniałe od sadzy. Na okrągłym podręcznym stoliku leżała chustka, kłębek lnianych włosów, woskowa świeca, jakieś zioła, zapalki. Staruszka nie pytając o nic zapaliła zioła w metalowym garnuszku i okadziła izbę oraz Adama. Przez cały czas odmawiała jakąś modlitwę.

– Jak masz na imię? – zapytała odstawiając garnuszek.

– Adam – odparł.

– Co ci dokucza? – zapytała.

– Nic – odpowiedział i ledwo się powstrzymał przed wzruszeniem ramionami.

– To po coś przyszedł? – zdziwiła się.

– Noclegu szukam – odpowiedział zgodnie z prawdą.

Spojrzała mu przenikliwie w oczy.

– Umarłe za tobą chodzą – powiedziała nagle. – Są w twojej głowie. Zamknij oczy.

Otworzyła starą księgę i zaczęła żarliwie się modlić, powtarzając co jakiś czas jego imię. Ramionami zataczała kręgi nad jego głową i strzepywała na podłogę coś niewidzialnego. Potem położyła mu na głowę chustkę i usłyszał trzask zapalanej zapalki. Poczł zapach palonego lnu. Siedział nieruchomo, aż zdjęła mu chustkę z głowy.

– Dym do góry nie poleciał. Snuje się po chacie. Duch nie chce odejść. Wiesz, kto to jest? – zapytała.

– Tak – odpowiedział myśląc o Magdalenie.

– Musisz zrobić to, co chce. Inaczej nie pójdzie. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział cicho i włos zjeżył mu się na głowie. Ta

szeptucha widzi więcej niż każdy przeciętny człowiek – pomyślał.

– Możecie przenocować w stodole na sianie – zmieniła temat. – Woda jest w studni.

– Dziękuję – szepnął, ale nie ruszył się z miejsca.

– Coś jeszcze? – zapytała krzątając się wokół stolika.

– Tak. Ten duch... ta kobieta chce, żebym odnalazł jej córkę. Pewne informacje wskazują na to, że była w tych okolicach. Może mogłaby pani pomóc?

– Wierzysz w to, że pomogę? – zapytała.

– Tak, jasne, że wierzę! – zawołał z zapalem.

Kobieta zapaliła woskowa świecę.

– Czy masz coś, co do niej należy? – zapytała.

– Do tej córki? – upewniał się.

– Tak – potwierdziła. Wyciągnęła rękę i niecierpliwie poruszyła zgrabiętymi ze starości palcami.

Adam pomyślał, że dziennik Magdaleny właściwie powinien teraz należeć do Juliany i wyjął go z plecaka.

– Proszę – podał dziennik Jasiukowej i uważnie ją obserwował.

Staruszka położyła na nim obie ręce i znowu zaczęła się modlić. Nagle przerwała modlitwę i spojrzała na Adama.

– Znasz imię tej, której szukasz?

– Znam. Juliana.

Teraz w modlitwę szeptucha wplatała imię Juliany. Przymknęła oczy i kołysała się równomiernie. Potem uważnie przyjrzała się płomykowi świecy, który pochylił się lekko ku oknu.

– Jedźcie do Starej Łuplanki. Tam była – powiedziała Jasiukowa i zdmuchnęła świecę.

Adam wyszedł z chaty pod ogromnym wrażeniem. Toffi głaskała burego kota, który przyszedł nie wiadomo skąd i teraz łasił się do jej nóg. Na widok Adama podniosła się i patrzyła na niego pytająco.

– Co tak długo? – rzuciła w końcu z nutką pretensji w głosie.

– Załatwiałem nocleg – powiedział wymijająco.

– I nic więcej? – dopytywała się, mając nadzieję na wysłuchanie jego wrażeń po wizycie u szeptuchy.

– Co chcesz więcej? Kolację przy świecach i szampana? – zachnął się.

– Nie o to pytam – obruszyła się.

– Nic więcej – skłamał. – Chodź.

Podniosła plecak i ruszyła za nim. Nawet nie zdziwiła się, że prowadzi ją do stodoły. Wdrapali się na górę po drabinie. Zjedli przywiezione zapasy, potem zeszli na dół i umyli się pod studnią.

Zapadał zmrok. Toffi była zachwycona perspektywą noclegu na sianie.

Śpiwory, które wydobyli z plecaków, okazały się niezbędne. Siano dostawało się pod ubrania i drapało nieprzyjemnie. Adam westchnął. Toffi była tak blisko. Słyszał, jak wierci się w swoim śpiworze szukając wygodnej pozycji. Po chwili dotarł do niego jej równy oddech. Zrezygnowany zamknął oczy. W środku nocy obudził ich jakiś hałas. W pierwszej chwili nie mogli się zorientować, co jest jego źródłem. Hałas powtórzył się, w dodatku bardzo blisko.

– Burza! – zawołała Toffi i zakopała się głębiej w śpiwór. – Co tak szumi? – zapytała po chwili, wysuwając nieco głowę ze swojej kryjówki.

– Ulewa. Deszcz łomocze o dach stodoły. I chyba wichura się zerwała – wyjaśnił Adam. – Czekał, wyjrzę na zewnątrz.

Wynurzył się z ciepłego śpiwora i uchylił niewielkie drzwiczki stodoły. Musiał je mocno trzymać, bo wiatr wyrwał mu je z rąk. Drzewa gięły się we wszystkie strony, pozostawione na podwórku blaszane wiadro tańczyło oberka obijając się o napotykaną przeszkodę. Uchylona furka trzaskała wściekle to otwierając się, to znów zamykając. Adam wzdrygnął się i wrócił do wygrzanego gniazdka.

– Odsuń się trochę – mruknęła Toffi. – Taka wielka stodoła, a ty musisz spać akurat tutaj, gdzie ja.

– Przeszkadzam ci? – zapytał zaczepnie.

– Chrapiesz – skwitowała.

Obrażony zabrał swoje poślanie i przeniósł się w inny kąt. Nie zdążył jeszcze dobrze umościć się w sianie, gdy rozległ się krzyk Toffi. Niech sobie krzyczy. Nie obchodzi mnie, co się stało – pomyślał. Toffi wrzasnęła jeszcze raz i usłyszał, jak szamocze się ze śpiworem. Pewnie wlaź jej do środka pajak albo inny robak – uśmiechnął się złośliwie i postanowił wytrwać w milczeniu. Zdziwił się więc, gdy zobaczył ją nagle nad sobą potarganą, w dresie z przydługimi rękawami.

– Adam – szepnęła.

Nie odezwał się.

– Adam – powtórzyła. – Śpisz?

– Nie śpię. O co chodzi? – zapytał z udaną obojętnością.

– Woda... Woda z dachu zalała mój śpiwór... – jęknęła i zaszczekała zębami.

Zareagował natychmiast. Nie mogło spotkać go nic lepszego. Toffi wsunęła się do środka jego śpiwora i przylgnęła do niego. Ogarnęła go delikatna woń zielonej herbaty i czegoś jeszcze, czegoś nieuchwytnego.

– Jesteś, Toffi – szepnął. – Nareszcie...



Ranek wstał rześki i słoneczny. Na podwórku stały wielkie kałuże. Woda w studni była lodowata i poranna toaleta przyniosła Adamowi i Toffi natychmiastowe orzeźwienie. Nie mieli już nic do jedzenia, na szczęście Jasiukowa poczęstowała ich mlekiem. Pożegnali się z nią i ruszyli w dalszą drogę. Toffi wyjęła mapę z plecaka.

– Zaraz przekonamy się, dokąd pojedziemy. Zamknij oczy i wylosuj – zwróciła się do Adama.

– Nie będę losował – sprzeciwił się. – Jedziemy do Starej Łuplanki – zdecydował.

– Dlaczego tam? – zdziwiła się. – Nie możemy na przykład do... – zerknęła na mapę – do Choroszcza?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo tam nie znajdziemy śladów Juliany – odpowiedział.

– A w tej Starej... Starej... No jak to się nazywa? – zniecierpliwiła się i zaczęła szukać nazwy na mapie.

– Łuplance – odpowiedział jej usłużnie. – W Starej Łuplance. Owszem, tam znajdziemy – oznajmił z pewnością siebie.

– Skąd jesteś tego taki pewien? – Spojrzała na niego z ironią. – Magdalena odpowiedziała ci w jakimś sennym koszmarze?

– Odpowiedziała, ale nie Magdalena.

– A kto?

– Szeptucha – odparł i zerknął na Toffi, chcąc sprawdzić, czy wywarło to na niej wrażenie.

Wywarło. Toffi aż się zatrzymała.

– Szeptucha? Powiedziałeś jej o Julianie? Znała ją czy co? Skąd wiedziała, gdzie mamy jej szukać? – zasypała go pytaniami.

– Zaraz, nie tak szybko! Przede wszystkim nie myśl, że Juliana tam na nas czeka. Jasiukowa wyraźnie powiedziała, że ona tam była. Była, rozumiesz?

– Jasne, że rozumiem. Nie jestem nierozgarnięta. Ale skąd szeptucha o tym wie?

– Wywróżyła czy wymodliła. Nie wiem, jak to nazwać. Zapaliła świeczkę i zaczęła coś mamrotać. I na własne oczy widziałem, jak płomyk świecy nagle



zwrócił się w stronę okna.

– Może podmuchała na niego? – wyraziła powątpiewanie Toffi.

– Na nic nie dmuchała – obruszył się. – Przyjrzała mu się tylko i powiedziała, żebyśmy jechali do Starej Łuplanki, bo ona tam była. To znaczy Juliana tam była.

– Na pewno nasza Juliana? Skąd ta pewność? – Tym razem Toffi była sceptyczna.

– Szeptucha poprosiła mnie o jakiś przedmiot Juliany. Dałem jej dziennik Magdaleny. I ona z tego dziennika wywróżyła.

– To niesamowite... – szepnęła Toffi i ruszyła szybko w kierunku przystanku.

Po przybyciu do Starej Łuplanki Toffi bezradnie rozejrzała się dokoła.

– Może Jasiukowa powiedziała, kogo mamy pytać o Julianę? – wyraziła nadzieję.

– Niestety, musimy poradzić sobie sami – odpowiedział Adam i przysiadł na najbliższej ławce.

– Wiesz co? – wpadła na pomysł. – Zapytajmy o jakąś miejscową szeptuchę. Może nam coś podpowie.

– Plan jest niezły – zgodził się Adam. – Możesz złapać tego faceta, który nas przed chwilą minął.

– Sam sobie go łap – zdenerwowała się Toffi. – Jeszcze pomyśli, że go podrywam!

Adam podbiegł do mężczyzny, idącego energicznym krokiem.

– Przepraszam, szukam jakiejś szeptuchy – powiedział zdyszczanym głosem.

– Wstydź się pan – zbeształ go tamten. – Jeśli jest pan chory, zapraszam. Jestem lekarzem. To zgroza, żeby w dwudziestym pierwszym wieku kultywować jakieś gusła! Potrzebuje pan pomocy medycznej? Jeśli nie, to przepraszam, śpieszę się.

Odszedł pozostawiając Adama z niezbyt mądrą miną.

– Słyszałaś? – zwrócił się do Toffi, gdy podeszła bliżej. – Nie będę pytał o żadne szeptuchy, więdźmy i czarownice. Facet posądził mnie o okultyzm!

– Źle trafiłeś. Przecież na oko było widać, że to jakiś inteligent. Czekaj, teraz ja zapytam... Proszę pani, halo, proszę pani – zawołała w kierunku babiny idącej po drugiej stronie drogi. Kobieta natychmiast się zatrzymała. Toffi podbiegła do niej. Adam nie słyszał ich rozmowy, ale po twarzy wracającej dziewczyny widział, że była owocna.

– Mam! – zawołała z satysfakcją. – Siemieniukowa! Drewniany domek z takim czymś niebieskim.

– Z niebieskim? Czym niebieskim? – Adam skrzywił się.

– Nie wiem. Szlaczkiem? Może z niebieskim szlaczkiem! – mówiła

podeksycytowana. – Musimy zawrócić i iść prosto. A potem, za takim dużym dębem, w lewo.

Poszli. Chata z szerokim niebieskim paskiem, wymalowanym tuż pod dachem, z daleka rzucała się w oczy. Weszli na podwórko i rozejrzeli się. Wisząca w niedużym okienku firanka uchyliła się i już po chwili na ganku stała tęgawa starsza kobieta. Trzymała się prosto. Włosy miała zaczesane do góry i skryte pod niebieską chusteczką zawiązaną z tyłu. Widocznie gustowała w niebieskim kolorze.

– Dobry dzień – odezwała się po białorusku, czym wywołała konsternację na twarzach swoich gości. – A dze Bog wiadzie? Wy szukajecie dapamogi?

Adam i Toffi patrzyli na nią jak zaczarowani, następnie spojrzeli bezradnie po sobie. Kobieta widocznie odczytała to po swoim, bo niezrażona kontynuowała:

– Wiadoma, wy chacieli b mieć dziciaci i wy nie możacie?

Ponieważ nie odzywali się nadal, dodała domyślnie:

– Wy nie rozumiejecie pa białarunku? Dobra, dobra, ja pasprabuju gawarić pa polsku. Chcesz moża zaciażaryć? – zwróciła się bezpośrednio do Toffi. – Znaczy w ciążę zajść, rozumiesz... dzicia. – Zrobiła wymowny gest ręką pokazując wypukły brzuch.

– A... Nie! Broń Boże! – zastrzegła się Toffi, która pojęła wreszcie, o czym kobieta mówi i zerknęła z popłochem na Adama. – Zupełnie nie o to chodzi, proszę pani!

– Eta nie toje? A szto? Niechta kinuju zaczarawannie? Znaczy urok kto niebądź rzucił?

– Nie, nie – starał się wyjaśnić Adam. – Szukamy kogoś.

– Kogo? – zapytała i przyjrzała mu się wnikliwie. Adama przeszedł dreszcz.

– Kobiety, która była tu w pięćdziesiątym czwartym roku. Wtedy jeszcze jako piętnastoletnia dziewczyna. Może pani nam pomóc? – zapytał z nadzieją.

– Ja dapamagu. Idzi dadomu. Proszu, proszu. – Ruszyła przodem, oglądając się za nimi.

W chacie było duszno. Adam tęsknie spojrzął na zamknięte na cztery spusty okno. Kobieta wskazała im krzesła i tak, jak Jasiukowa, najpierw okadziła izbę ziołami, następnie poprosiła o przedmiot należący do poszukiwanej. Adam ponownie posłużył się dziennikiem Magdaleny i podał imię Juliany. Szeptucha zapaliła grubą woskową świecę i przymknąwszy oczy zaczęła modlić się po białorusku. Obeszła izbę dookoła, sypiąc popiół ze spalonych ziół na podłogę. Potem zlała wosk ze świecy do miski z wodą i długo przyglądała się zastygłemu kształtowi. W końcu zwróciła się do Toffi.

– Wy należycie da swajoj sami, znaczy ty jej rodzina. Jana żiwaja, żyje, ale tut nie żywie, nie mieszka. Ja nie wiedaju, nie znaju, znaczy nie wiem, gdzie jon zaraz, gdzie ona teraz. Ale tady jana była na starym, to jest u starej

Romańczukowej. Jana, znaczy się ta Romańczukowa, zamierała dawno. Umarła. Jaje syn żywie. Syn, rozumiesz?

Toffi z zapalem pokiwała głową, nie spuszczać oka z szeptuchy.

– Jen wiedaju, znał Dżuliani. Można być nieszta skazać, powiedzieć wam co o niej.

– A gdzie go szukać? Tego syna, gdzie szukać? – zapytał Adam.

– Jon żywie na uskrajne, na końcu wsi żywie. U niewialikim białym domkie.

– Dziękujemy! – Toffi poderwała się z miejsca i z rozpędu ukloniła zgięta wpół. Adam uśmiechnął się i z wdzięczności ucałował obie ręce szeptuchy.

– A dajta spokój, dajta spokój! – Schowała ręce za siebie, ale widać było po minie, że cieszy się z udzielonej pomocy.

– Idziemy do tego syna – zdecydowała z zapalem Toffi.

Niewielki biały domek ujrzeli na skraju wsi. Wyglądał dokładnie tak, jak opisała go szeptucha Siemieniukowa. Syn Romańczukowej był już wiekowym człowiekiem. Na szczęście mówił po polsku, i to dobrze. Na wspomnienie Juliany uśmiechnął się rzewnie.

Zaprosił Adama i Toffi do sadu i poczęstował ich dorodnymi czereśniami.

– Jedzcie – zachęcał. – Inaczej szpaki oskubią. Ja sam nie dam wszystkiemu rady.

Zasiedli na ławeczce i raczyli się owocami, gdy tymczasem Romańczuk zaczął snuć wspomnienia.

– Ona tu przez przypadek trafiła – powiedział. – Przyjechała z Torunia. Uciekła stamtąd, ale nie powiedziała, dlaczego. Najpierw przygarnęła ją Babcia Olena. Tak ją tu wszyscy nazywali: Babcia Olena, bo ona całą wieś znała i każdy ją znał. Dobra to była kobieta, każdemu nieba chciała przychylić, więc nie dziwota, że ulitowała się nad sierotą. Pewnego dnia babci wszystkie stawy zaczęły dokuczać, szklanki wody nie mogła do ust podnieść. Wszyscy myśleli, że już po niej. Nawet moja matka, choć była szeptuchą, nic nie mogła poradzić. „Lekarza – rzekła – lekarza trzeba wołać”. Ale Babcia Olena nie chciała słyszeć o lekarzu. Wtedy Juliana się nią zajęła. Karmiła babcię cebulą, czosnkiem, poiła wodą, kazała jeść dużo surowego, znaczy owoców i warzyw. Gdzie ona, taka młoda, tego pielęgnowania się uczyła, nikt nie wiedział. Juliana nie chciała nic mówić. Babci Olenie się polepszyło. Ale moja matka, jak usłyszała, że dziewczyna ma uzdrawiające ręce, chciała zabrać ją do siebie i uczyć na szeptuchę.

– Na szeptuchę? Julianę? – zdziwiła się Toffi.

– A tak. Bo każda szeptucha, co córkę ma, stara się jej dar uzdrawiania przekazać. A u mojej matki tylko ja byłem. Juliana była pojętna, szybko się uczyła, a i mojej matce niejedno od siebie przekazała. Dziewczyna znała się na ziołach. Do dziś pamiętam, jak taka nieduża po łąkach chodziła, zbierała... Trawa jej do pasa

sięgała! Aż któregoś dnia przypadła do rąk mojej matce, podziękowała za opiekę i powiedziała, że swojej rodziny będzie szukać. Cośmy ją naprosili, cośmy się napłakali! Nie pomogło. Odeszła, nie wiadomo dokąd. Ale ludzie ją pamiętają. Nieraz wspominają małą Julianę, nawet ci, co nigdy jej nie widzieli, a tylko słyszeli. Niejednemu zdrowie wróciła. – Staruszek zamilkł nagle i nie wiadomo dlaczego, powiedział ze złością:

– Ot i wszystko. Mogła tu żyć, jak u Pana Boga za piecem. Nie chciała.

– Nie wie pan, w jakie strony się udała?

– Nie wiem. Nikt nie wie – odpowiedział zniecierpliwiony, potem wstał z ławki i powiedział: – No, zmitrężyłem tu z wami dużo czasu. Południe niedługo.

– Spojrzał wymownie, dając im do zrozumienia, że koniec pogawędki.

– Bardzo panu dziękujemy – powiedział Adam i uściśnił mu serdecznie rękę.

– A dlaczego jej szukacie? Po co? – zapytał jeszcze staruszek zatrzymując się wpół drogi.

– To moja rodzina – wyjaśniła Toffi. – Muszę ją odnaleźć.

– Rozumiem, rozumiem – mruknął cicho i poszedł do swoich obowiązków.

Adam i Toffi opuścili gospodarstwo Romańczuka i skierowali się do przystanku autobusowego.

– Poszło lepiej, niż myślałem – stwierdził Adam nieco zdumiony.

– To dzięki szeptuchom, bez nich szukalibyśmy wiatru w polu – stwierdziła Toffi.

Do Wrocławia wrócili pociągiem. Po drodze, zachęteni powodzeniem w poszukiwaniach, zaplanowali podróż do – jak sądzili – ostatniego już miejsca, gdzie mogliby spotkać Julianę. Do Konstancina. Postanowili nie zwlekać.

Warszawa przywitała ich upałem.

– Zapraszam cię do siebie – zaproponowała Toffi. – Weźmiemy prysznic i napijemy się czegoś chłodnego.

– Jak to do siebie? – zdziwił się Adam.

– Zapomniałeś, że jestem stąd? Mam mieszkanie po mamie. Własne, nie takie wynajęte, jak we Wrocławiu!

– Ach, rzeczywiście – powiedział stuknąwszy się palcem w czoło. – Zupełnie o tym zapomniałem!

Mieszkanie Toffi oczarowało go. Było nieduże, ale urządzone z ogromnym smakiem. Toffi wskazała mu łazienkę i powędrowała do kuchni przygotować chłodne napoje. Po kilkunastu minutach pławienia się pod prysznicem wyszedł jak nowo narodzony. Rozsiadł się w wygodnym fotelu i czekając na Toffi, z lubością pociągał przez słomkę zimny napój.

Do Konstancina wybrali się około południa. Stara część miasta, bo tam postanowili szukać domu Brzeskich, była całkowicie wyludniona. Szli środkiem

pustej, szerokiej ulicy, kopiąc co pewien czas jedną z szyszek, których tu nie brakowało. Piękne, bogate i zadbane wille przeplatały się z opuszczonymi resztkami dawnych perełek architektury. Te zamieszkałe obwarowane były wysokimi ogrodzeniami, które dobrze strzegły prywatności mieszkańców. Te natomiast, których czas nie oszczędził, tonęły w zieleni, pozostawione naturze. Czarne oczodoły okien spoglądały żałośnie w przeszłość. Na wielu ogrodzeniach widniały ogłoszenia, że posesja przeznaczona jest na sprzedaż.

– Nie mamy szans znaleźć tu domu Brzeskich – zauważył Adam. – Nie znamy adresu, nawet nie wiemy, jak ten dom wyglądał.

– Znamy tylko nazwisko dawnego właściciela – przyznała smętnie Toffi. – Ale i tak nie ma tu kogo o to zapytać. Może w Urzędzie Miasta udzielono by nam jakiejś informacji? – zastanawiała się głośno.

– Chodźmy tam – postanowił Adam.

Miła pani w urzędzie odesłała ich do Klubu Miłośników Konstancina. Tam potraktowano ich sprawę bardzo poważnie.

– Brzeski... Brzeski... – mrucał pod nosem starszy pan, przeglądając grubą księgę. – Mam! Witold Brzeski. – Czy o niego państwu chodzi? – zwrócił się do Adama. Ten spojrzął na Toffi pytająco.

– Tak, Witold! – zawołała. – To mój pradziadek!

– Proszę państwa, dom został sprzedany przez syna pana Witolda, Stanisława, w 1983 roku. Teraz należy do... zresztą to dla państwa nieistotna informacja. Nie wiem, dokąd wyprowadził się Stanisław.

– Wyprowadził się do Warszawy, ale może pan wie, dlaczego sprzedał dom? – zapytała Toffi.

– To prywatna sprawa każdego właściciela. Oficjalnie – nie wiem. Ale dotarły do mnie informacje... Oczywiście nie mogę stwierdzić, na ile prawdziwe – zastrzegł się. – Podobno tam o sprawy finansowe poszło. Pani, jako członek rodziny, nic nie wie? – zapytał.

– Niestety... Kiedy się urodziłam, dziadka już nie było – odparła Toffi. – No cóż. Dziękujemy panu.

– Zaraz! – zatrzymał ich. – Zapiszę wam adres tego domu. – Podał Toffi kartkę. – Może sąsiedzi coś wiedzą.

Toffi podziękowała ponownie i wyruszyli pod wskazany adres. Bryła domu była szara, ponura, dość okazała. Wokół rosły wysokie sosny. Niewiele więcej mogli zobaczyć przez wysoki parkan, pod którym rósł gęsty żywopłot.

– Spróbujmy porozmawiać z sąsiadami – zaproponowała Toffi.

– O ile zastaniemy kogoś w domu. Tu nie ma żywego ducha – zwątpił Adam.

W jasnym, piaskowym domku po prawej stronie nie było nikogo. Duży pies za płotem rozszczekał się donośnie. Zadzwonili domofonem przy furtce willi po

lewej stronie. Po chwili, która wydawała się wiecznością, odezwał się męski głos.

– Słucham.

– Dzień dobry... – zaczęła Toffi i nie bardzo wiedziała, jak najkrócej powiedzieć, o co chodzi.

– No, słucham. – Głos był znieczcierpliwiony.

– Mógłby pan otworzyć? Chcielibyśmy porozmawiać.

– Świadkom Jehowy dziękuję – oznajmił głos, po czym coś chrobotnęło i zamilkło.

– Co teraz? – zapytała Toffi patrząc bezradnie na Adama.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział i z determinacją nacisnął guziczek domofonu.

– Halo! – Głos nie był zachęcający. Adam zerknął na Toffi.

– Proszę pana, nie jesteśmy świadkami Jehowy. Chcemy porozmawiać o Brzeskim. Witoldzie Brzeskim! – zawołał.

– O kim? – zapytał głos.

– Witoldzie Brzeskim.

– Nie znam – odparł głos.

– Stanisławie! O Stanisławie Brzeskim! – krzyknęła Toffi, oparła się plecami o murek i przymknęła oczy.

– Stasio? O Stasiu chcecie porozmawiać? – rozrzewnił się głos, następnie usłyszeli przyjazny dźwięk brzęczyka i furtka stanęła otworem.

– Uważaj na psy – szepnął Adam na widok dwóch długowłosych chartów afgańskich.

– Jakie piękne! – zachwyciła się Toffi i aż przystanęła na ich widok.

– A skąd znacie Stasia? – zawołał radośnie, pojawiwszy się na schodkach, niewysoki, za to bardzo okrągły człowieczek w owalnych, połączanych okularach.

– To mój dziadek – odpowiedziała Toffi i chyba po raz pierwszy miało to dla niej jakieś znaczenie.

– Dziadek... Więc on był dziadkiem? Kiedy się stąd wyprowadzał, jego córka była podlotkiem. Miała wtedy... Ile masz lat, dziecko? – zwrócił się do Toffi.

– Dwadzieścia dwa – odparła.

– Dwadzieścia dwa. Ona wtedy ze czternaście miała, nie więcej. To ty chyba swojego dziadka nie znałaś. Staś umarł jakieś cztery lata po wyprowadzce. Nie służyła mu widać Warszawa. Nie służyła... No chodźcie, chodźcie do domu. Tam chłodniej i napijecie się czegoś dobrego.

– Wandziu! Wandziu! – zawołał w głąb domu, kiedy znaleźli się w dużym, przestronnym holu.

W drzwiach jednego z pomieszczeń pojawiła się rumiana twarz w siwej oprawie krótko ściętych, ale elegancko ułożonych włosów.

– Popatrz, Wandziu, gości mamy! – wykrzyknął radośnie okrągły pan i wskazującym palcem poprawił okulary, które wciąż zsuwały mu się z nosa. – Wyobraź sobie, wnuczka Stasia przyjechała z... – spojrzał pytająco na Adama.

– Z... kolegą – powiedział pośpiesznie Adam, bo tak naprawdę sam nie wiedział, jak ma siebie określić.

– Z narzeczonym – poprawił gospodarz. Widocznie status kolegi nie bardzo mu pasował.

– Jakiego Stasia? – zainteresowała się Wandzia i podchodząc bliżej zlustrowała oboje. – Chojnowskiego?

– A skąd Chojnowskiego! Skąd Chojnowskiego! – Okrągły pan lubił powtarzać część wyrazów, zapewne dla wzmocnienia wrażenia, jakie powinny wywołać. – Brzeskiego! – zawołał w taki sposób, że Adamowi przed oczami ukazały się wielkie, drukowane litery.

– Stasia Brzeskiego?! – wykrzyknęła Wandzia i aż klasnęła w ręce. – Pokaż się, dziewczyno! Trochę jakby nawet podobna jesteś do niego. – Oglądała Toffi jak konia na wystawie. Adam nie mógł oprzeć się wrażeniu, że za chwilę zajrzy jej w zęby. – Prowadź Włodziu do pokoju. Zaraz herbatki zrobię.

Adam stwierdził w duchu, że imię „Włodzio” do okrągłego pana bardzo pasuje.

– E tam, herbatki, herbatki, coś mocniejszego podamy. Dorośli są! Winko z piwnicy przyniosę. Własnej roboty. Dobre, schłodzone! – zachęcał. – Takie spotkanie! Takie spotkanie! – wykrzyknął radośnie i zadreptał w miejscu.

Od razu można było zauważyć, że Wandzia i Włodzio byli bardzo zaprzyjaźnieni z dziadkiem Toffi.

– No to opowiadajcie! – powiedziała Wandzia, rozsiadła się wygodnie na kanapie i przyjęła od Włodzia lampkę czerwonego wina. Adam z Toffi spoczęli na małej sofce stojącej *vis-à-vis* kanapy. Włodzio usiadł obok pani domu i czuwał, żeby komu wina nie zabrakło. Sam zresztą pierwszą lampkę wychylił niemal duszkiem. Znać, że za kołnierz nie wylewał.

– My? – zdziwiła się Toffi. – Myśleliśmy, że od państwa dowiemy się czegoś.

– Od nas? A co chcielibyście wiedzieć? – zapytał Włodzio.

– Właściwie wszystko. Urodziłam się sześć lat po śmierci dziadka. Mojej mamy też już nie ma. Chciałabym poznać korzenie.

– Ach, rozumiem, rozumiem... – zamruczał pan domu i zerkając z ukosa na żonę nalał sobie wina.

– Włodziu – upomniała go. – Nie pij tyle, bo znowu ci zaszkodzi.

– E, nie zaszkodzi. Tacy goście, tacy goście – mamrotał pod nosem upijając solidny łyk. – Ja z twoim dziadkiem razem piłkę kopaliśmy, jak byliśmy mali. Jego ojciec... Jak mówiłaś, że się nazywał? Waclaw? – zwrócił się do Toffi.

– Witold – odpowiedziała.

– A właśnie. Witold. Był adwokatem, jak mój. I u każdego był jeden syn. Jeden syn – powtórzył z westchnieniem, jakby żałował, że los nie dał mu rodzeństwa.

– Jeden syn? – zdumiała się Toffi – Przecież mój dziadek miał siostrę!

– Jaką siostrę? Nie było tam żadnej siostry! – zaprotestował.

– Była. Magdalena – sprostowała Toffi.

– Niemożliwe. Na pewno nie było – upierał się Włodzio. – Może i jestem stary, ale przecież takie rzeczy pamiętam. Nie było siostry.

– Zaraz, zaraz – wtrąciła się Wandzia. – Ty nie wiesz, a ja jednym uchem słyszałam, ale nie chciałam ci plotek powtarzać. Słyszałam, że kiedyś u nich była dziewczyna, tylko uciekła. Z jakimś gachem uciekła. Nie dziwota, że nie opowiadali, bo to przecież wstyd! Ale podobno ojciec nie chciał jej znać i od tamtej pory słuch po niej zaginął.

– A wiesz, Wandziu, że to nawet zgadzałyby się, bo pamiętasz, jak Stasio taki zdenerwowany raz przyszedł, że musi majątek sprzedać, bo ktoś się o połowę upomniał? To musiała być ta Magdalena. Żona Stasia aż pogotowie do niego wołała. Pamiętasz? Od tej pory ciągle na serce zapadał. Nic dziwnego, że zabrał się tak szybko. Już ta Magdalena całej rodzinie krwi napsuła.

– Nie osądzaj, bo nie wiesz, jak było naprawdę. Staś milczał na ten temat, więc nie wiemy, kto go do grobu wpędził – powiedziała Wandzia.

– Może mi pan coś o dziadku opowiedzieć? – poprosiła Toffi.

– Pewnie, że mogę – zgodził się ochoczo Włodzio i ponownie napełnił kieliszek. Wandzia skrzywiła się tylko, ale nic nie powiedziała.

– Tak, jak już mówiłem, razem kopaliśmy piłkę – zaczął.

– Już ty tam piłkę kopalesz, jak taki brzdąc byłeś! – zauważyła Wandzia. – Przecież zaraz wojna wybuchła. Ile wtedy miałeś lat? Trzy latka. Tylko trzy latka, a już piłkę kopał. Akurat!

– No tak, no tak. Rzeczywiście. Ale potem kopaliśmy piłkę. Po wojnie kopaliśmy.

– A co się działo w czasie wojny? – chciała wiedzieć Toffi.

– Powiem wam, że tu w czasie wojny nam akurat nie było najgorzej. W Konstancinie było wiele pięknych willi, więc Niemcy ich nie niszczyli, tylko za mieszkania sobie obrali. Tubylców wysiedlali, a Żydów mordowali. Z tej ulicy tylko niektórych wysiedlili. Nas i Brzeskich zostawili w spokoju, kazali tylko na górę się przenieść, a cały dół dla swoich zajęli. U nas mieszkał taki jeden niemiecki generał, a u Brzeskich jacyś niżsi rangą. Ale źle nie mieliśmy. Pamiętam, że ten generał często dawał mi cukierki. Potem, jak wyrosłem, dowiedziałem się, że Konstancin też walczył. Dużo osób uczestniczyło w konspiracji. Jak było Powstanie Warszawskie, sporo mieszkańców zginęło pod Lasem Kabackim.



Spoczywają na cmentarzu w Powsinie. Wiecie, gdzie to jest?

– Nie – zaprzeczyli jednocześnie Adam i Toffi.

– A szkoda, bo ojciec Stasia, czyli twój pradziadek – Włodzio spojrział na Toffi – też tam leży. Od Powstania Staś sam z matką został. Ciężko im było bez ojca w domu. Najważniejsze jednak, że przeżyli. Kiedy skończyła się wojna i Niemcy wynieśli się od nas, to zaraz nam tu lokatorów naprzysyłali. Ludzie po wojnie nie mieli gdzie mieszkać. Nie liczyła się już własność i nikt nikogo nie pytał o zdanie. Trzeba było wszystkim dać dach nad głową. U nas tu pięć rodzin mieszkało. U Brzeskich cztery. Ale oni mieli trochę mniejszy dom. Bałagan od razu się zrobił! Rejwach! Dzieci, starzy, kobiety, mężczyźni... A zazdrośni jeden o drugiego! A ten ma więcej, a tamten ładniejsze, a jeszcze inny lepsze! Nie mogli się dogadać. Kobiety w kuchni się kłóciły, jedzenie podkładały sobie nawzajem, toaleta brudna, sedes zapchany! Słodko nie było. I u Stasia to samo. Właściciele mieli za nic. „Teraz nie ma własności – mówili. – Skończyło się, burzuje!” Matka Stasia nijak sobie z nimi nie mogła poradzić. Czasem mojego ojca wołała, żeby jej pomógł pogodzić lokatorów. Nic więc dziwnego, że każdy chciał się ich pozbyć. Ale to było niemożliwe. Niemożliwe – powtórzył i dołał sobie wina. – Potem, kiedy Warszawę odbudowywano, wynosili się. Nie chcieli na kupie mieszkać. Ale byli też tacy uparci, którym się mieszkanie w willi podobało i nie zamierzali nigdzie iść. Tak było z jedną rodziną u Stasia. Jeszcze się domagali dodatkowego pokoju, bo dzieci to chyba czwórkę mieli... Brzeską nerwy wykończyły. Umarła i Stasia samego z tym wszystkim zostawiła. To było chyba w sześćdziesiątym drugim. No, ale on miał wtedy już dwadzieścia sześć lat. Wykształcony był, a jakże! Mimo trudnych warunków, uparty taki był, że ho, ho! Medycynę kończył. Ale matki nie udało mu się niestety uratować. Po studiach założył gabinet i przyjmował chorych. Potem ożenił się i po dwóch latach na świat przyszła twoja matka. Stasiowi jakoś udało się pozbyć lokatorów. Jako lekarz, szanowany był i dobrze zarabiał. Piął się coraz wyżej, nawet na uczelni w Warszawie wykładał. Jeździł też po wsiach, żeby z ciemnotą walczyć i pouczać ludzi, że dzieci mają szczepić i z porad znachorów nie korzystać. Ile go to wszystko nerwów kosztowało! A potem jeszcze ten dom musiał sprzedać. Nic dziwnego, że zabrał się na tamten świat. Nic dziwnego...

Wandzia nic nie mówiła, tylko smutno kiwała głową.

– Chyba już wszystko wam opowiedziałem. Szczegółów nie znam, bo człowiek swoje życie miał i nasze więzi z dzieciństwa i wczesnej młodości nieco osłabły, choć nadal byliśmy dobrymi sąsiadami i przyjaciółmi. Ale wiecie, jak to jest. Żona, dzieci, praca. Każdy swojego patrzył.

– A pamiętasz, jak na Warmię pojechał? – wtrąciła się Wandzia. – Znachorka tam leczyła. Kilka razy jeździł ją pouczać, żeby zaprzestała praktyk. A ludzie tam strasznie byli uparci. Staś swoje, a oni swoje, że będą się u niej

leczyć, bo pomaga lepiej niż lekarze.

– Nie było mu lekko, oj, nie było – rozrzewnił się Włodzio, aż oczy mu zwilgotniały. Na tę okoliczność nalał sobie kolejną lampkę wina, które duszkiem wypił.

– Nie będziemy więcej państwu przeszkadzać – powiedziała Toffi i podniosła się z miejsca, widząc, jak pan domu chwieje się nieco, a oczy same mu się zamykają. – Bardzo dziękujemy za pomoc. Być może jeszcze się spotkamy.

Adam też wstał, uściśnął rękę Włodzowi i ucałował dłoń Wandzi, która odprowadziła ich do drzwi. Pan domu nie kwapił się ruszyć z miejsca. Może to i lepiej...

Toffi wyciągnęła się na kanapie. Zatrzymali się w jej warszawskim mieszkaniu, by omówić wrażenia z podróży do miejsc, gdzie natknęli się na ślady Juliany. Teraz mieli przed sobą rozwiązanie łamigłówki, która prowadziła ich do celu, czyli do samej poszukiwanej.

– Szczerze mówiąc, chętnie odpocząłbym po tym wszystkim – westchnął Adam popijając kawę z przepastnego kubka. – Marzy mi się spacer i rozmowa o niczym.

– Tak? A z kim ten spacer? – zapytała zaczepnie Toffi sięgając po słodkie ciasteczko.

– Jak to, z kim? – zdziwił się. – Z tobą.

– Ja nie rozmawiam o niczym. Rozmawiam o czymś albo wcale – prychnęła Toffi i zagryzła kolejnym ciasteczkiem.

– Może być wcale, byle nie o Julianie. Jestem już tym zmęczony – jęknął odstawiając kubek.

– Nie ma mowy. Nie dam ci spocząć, dopóki jej nie znajdziemy – odparła.

– A potem?

– Co potem? Potem możemy iść na spacer i o niczym nie mówić – zgodziła się łaskawie.

– Iść na spacer czy chodzić na spacery? Bo wiesz, dla mnie to spora różnica.

– Możemy chodzić na spacery, jeśli ci na tym zależy.

– Zależy. Nawet nie wiesz, jak bardzo. I nie tylko na tym.

– A na czym jeszcze? – zapytała i Adam nie wiedział, czy przekomarza się tylko, czy rzeczywiście niczego się nie domyśla.

– Chciałbym być z tobą. Zamieszkać razem, stworzyć dom... – rozmarzył się.

– Gdzie?

– We Wrocławiu, to oczywiste. Oboje tam mieszkamy.

– Przepraszam, Adam, ale ja mieszkam tutaj. W przyszłym roku kończę studia i wracam do Warszawy.

– Właściwie mogę się przenieść. Nie mam jeszcze pracy, nic mnie tam nie trzyma.

– Adam – spoważniała nagle. – To ty tak chcesz. Ja nie palę się do związku. Na razie dobrze mi samej. Układaj więc swoje życie pomijając mnie w swoich planach.

– Toffi... Nie bądź okrutna – powiedział cicho biorąc ją za rękę. – Zapomniałaś już, jak było nam cudownie tam, na Podlasiu? Pamiętasz burzę, przeciekający dach i... I nas?

– Przestań! – krzyknęła i wyrwała mu swoją rękę. – To jeszcze o niczym nie świadczy. I wcale nie znaczy, że teraz będę z tobą na wieki wieków, amen! – zakończyła.

Adam zamilkł. Zraniła go. Miał nadzieję, że po tylu wspólnych przeżyciach coś w niej drgnie, coś się narodzi.

– Toffi – próbował jeszcze. – Myślisz, że to całe szukanie Juliany jest dla kogo?

– Jak to dla kogo? – zdumiała się. – Dla Magdaleny!

– Nie dla Magdaleny. Gdyby nie ty, nie zawracałbym sobie tym głowy! – powiedział rozdrażniony.

– Nie. Ty nie. To ona zawracałaby ci głowę, przychodząc po nocach i żądając spełnienia jej życzenia.

– Bajdy – obruszył się.

– Bajdy? Nie pamiętasz już swoich sennych koszmarów? Ona nie zazna spokoju, dopóki nie znajdziesz Juliany!

– Czy to nie wszystko jedno, kto znajdzie Julianę? Przecież ty też jej szukasz.

– Tak, ale mnie Magdalena nie straszy po nocach. Ja szukam z woli mojej matki, nie Magdaleny. To ciebie obarczyła tym zadaniem.

– Bądź sprawiedliwa. Gdybyś nie doprowadziła do mojej obecności w leśnym domku, nie wiedziałbym o istnieniu Juliany ani Magdaleny. To twoja sprawka.

– Nie wiedziałbyś też o moim istnieniu – powiedziała zalotnie.

– No więc dobrze. Wiem o twoim istnieniu. Sprowokowałaś to. Konfrontując jednak naszą znajomość z tym, co mówiłaś przed chwilą, trudno mi znaleźć sens tego wszystkiego. Po co mnie w to wciągnęłaś, jeśli nie chcesz mieć teraz ze mną nic wspólnego? – powiedział z pretensją w głosie.

– Chciałam, żeby ktoś mi pomógł. Maks wytypował ciebie. Jeśli ci się to nie podoba, obwiniaj jego, nie mnie – rzuciła ostro.

– W takim razie nie podoba mi się. Dziękuję za miłe chwile. I za kawę – obrzucił spojrzeniem wielki kubek. – Dalej radź sobie sama. Niewiele ci zostało. Zresztą, jak twój ojciec powiedział, jesteś niezła w tropieniu śladów.

Wstał z miejsca i ruszył do przedpokoju.

– Nie wygłupiaj się! – zawołała za nim patrząc, jak wiąże buty.

– Nie wygłupiam się, zapewniam cię – powiedział spokojnie, podniósł plecak i zbiegł po schodach.

Szedł szybkim krokiem, nie bardzo wiedząc, dokąd. Nie znał Warszawy i szczerze mówiąc, było mu wszystko jedno, dokąd w końcu trafi. Po upalnym dniu czuł teraz przyjemny, chłodny wietrzyk. Zapadał zmierzch, ale Adam nie zastanawiał się, gdzie spędzi noc. Myślał o Toffi. Żal, który przepelniał mu serce po ponownej utracie dziewczyny, przeplatał się ze złością na nią, na Maksa, na samego siebie. Gdyby nie zaczął tej rozmowy, mógłby teraz spokojnie gawędzić z nią przy kolacji, którą zaplanowali robiąc wspólnie zakupy. Zapowiadał się przyjemny wieczór, być może nawet noc i on to wszystko zmarnował, będąc zbyt natarczywy. Wiaterek nasilał się i Adam dostrzegł ciemne chmury pełzające po niebie. Zaniepokoił się. Najrozsądniej byłoby dotrzeć teraz do dworca i poczekać na pociąg jadący do Wrocławia. Zatrzymał się przy najbliższym przystanku i sprawdził na rozkładzie trasę miejskiego autobusu. Niestety, widniejące na nim nazwy nic mu nie mówiły. Skręcił w najbliższą ulicę i sprawdził kolejny rozkład. Gdzieś daleko usłyszał głucho pomruki burzy. Po cichu liczył, że Toffi zadzwoni, powie, żeby wracał. Podroczy się z nią chwilę i z ulgą wróci do przytulnego mieszkanka. Po drodze kupi butelkę wina, przygotowują razem kolację i będą przez okno obserwować przetaczającą się burzę. Będą się do siebie uśmiechać i rozmawiać, poruszając przyjemne tematy. A potem... Adam nie chciał tak odważnie wybiegać w przyszłość nawet w marzeniach. Nic takiego jednak się nie stało. Telefon milczał i Adam co jakiś czas sprawdzał, czy na pewno jest naładowany. Był. Ale Toffi nie zadzwoniła. Rozżalony wskoczył do autobusu, który podwiózł go bliżej centrum. Tu było mu łatwiej trafić na właściwą linię. Pomruki grzmotów stawały się coraz głośniejsze, wiatr przybrał na sile. Na szczęście był już blisko dworca. Sprawdził rozkład jazdy pociągów i kupił bilet w kasie. Do odjazdu miał ponad dwie godziny. Burza rozszalała się na dobre i spędzenie tego czasu poza dworcem stało się niemożliwe. Kupił gazetę i usiadł na ławce w hali dworcowej. Ale nie mógł skupić się na czytaniu. Pochłaniała go myśl o Toffi i utraconych złudzeniach. Gapił się na podróżnych. Niektórzy snuli się sennie w oczekiwaniu na właściwy pociąg, inni biegali nerwowo, dźwigając wielkie torby podróżne. Jakaś matka uspokajała płaczące dziecko, grupa młodych chłopaków przeszła śmiejąc się głośno. Adam wstał i kupił bułkę z szynką w pobliskim kiosku spożywczym. Kiedy przełknął ostatni kęs, usłyszał z megafonu zapowiedź swojego pociągu. Przeszedł na peron. Jak zwykle w wakacje, podróżnych było wielu. Stali na całej długości peronu, spoglądając w kierunku, z którego powinien nadjechać pociąg. Gdy pojawił się na horyzoncie, tłum zafalował. Adam z małym plecaczkiem wskoczył zwinnie do wolnego przedziału.

Zajął miejsce przy oknie i rozłożył gazetę. Przeglądał ją obojętnie, gdy tymczasem przedział wypełniał się pasażerami. Usłyszał zapowiedź odjazdu. Wtedy jego uwagę przykuł nagłówek, który go na moment sparaliżował. Pociąg zaczynał ruszać, gdy Adam złapał swój plecak i wybiegł z przedziału. Otworzył drzwi nabierającego rozpędu pociągu i wyskoczył na peron. Zachwiał się, ale udało mu się złapać równowagę. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Toffi. Na szczęście odebrała.

– Możesz się gniewać albo nie. Ale mam ją. Znalazłem Julianę!



Zdyszany i przemoczony zadzwonił do drzwi Toffi. Kiedy je otworzyła, zauważył, że oczy ma czerwone jak królik. Chusteczką wycierała zapuchnięty nos.

– Ty płaczesz? – zapytał zaskoczony.

– No coś ty – powiedziała oburzona. – Wcale nie płaczę! Tylko... – nie dokończyła i oplótła mu ręce wokół szyi, wylewając nową porcję łez.

– Toffi, kochanie – próbował ją pocieszyć przytulając mocno do mokrej koszulki. Z włosów kapąca mu woda i zlewała się ze łzami Toffi. – Nie płacz, przecież jestem, wróciłem...

– Co ty głupi jesteś? – Oderwała się od niego i głośno wysiąkała nos. – Myślisz, że ja przez ciebie płaczę?

– Nie? – zdumiał się. – A przez kogo?

– Przez Julianę. To z radości, że ją znalazłeś – odparła wycierając oczy.

– Nie wierzę ci – powiedział. – W ani jedno słowo ci nie wierzę!

– Twoja sprawa. Możesz mi nie wierzyć. Idź do łazienki i przebierz się. Jesteś cały mokry. – Rzuciła mu swój podkoszulek i zniknęła w kuchni.

Wyszedł owinięty ręcznikiem. Spojrzała zdziwiona.

– Twoja koszulka sięga mi do pępka – wyjaśnił.

Toffi zaczęła się śmiać. Nie mogła się opanować. Próbowwała coś powiedzieć, ale dopadał ją kolejny atak śmiechu. To było tak zaraźliwe, że po chwili dołączył do niej Adam. Kiedy wreszcie przestali, Adam wziął ją w ramiona. Trwali tak przez moment, w którym oboje poczuli się naprawdę szczęśliwi. A potem było tak, jak w jego marzeniach. Wspólna kolacja i nawet wino, które Adam kupił w nocnym sklepie na dole. I to, o czym nie śmiał marzyć, a jednak się spełniło.

Rankiem przy kawie łączyli zlepkę informacji o Julianie w jedną konkretną całość. Zaczęli od notatki, którą Adam znalazł w gazecie. Okazało się, po uważnym przeczytaniu artykułu, że sprawa nie jest tak oczywista, jak się Adamowi na pierwszy rzut oka wydawało.

– Czekaj. – Toffi przyniosła notes, w którym postanowiła zapisywać w punktach to, czego udało im się dowiedzieć. – Najpierw była w jakiejś wsi pod Toruniem, gdzie opiekowała się cudzymi dziećmi. Potem wybuchł tam pożar i uratowała dzieci z płomieni, sama lądując w toruńskim szpitalu, z którego zabrała ją salowa i wychowywała jak swoją córkę. Po śmierci salowej Juliana uciekła, bo zakochał się w niej ten listonosz. No widzisz? – zwróciła się zniecierpliwiona do Adama.

– Co widzę? – zdziwił się.  
– Jak się zakochał, to ona uciekła.  
– I co z tego? – nie rozumiał.  
– To z tego, że lepiej z tym ostrożnie. Nie zakochuj się.  
– Sugerujesz, że mi uciekniesz? – zapytał.  
– Sugerujesz, że jesteś zakochany? – przekomarzała się. – Co było dalej? – spoważniała nagle i wróciła do notatek.

– Trafiła nie wiadomo dlaczego na Podlasie – podpowiedział Adam.

– Tam przygarnęła ją Babcia Olena, a potem Romańczukowa, która uczyła ją fachu uzdrawiania. Stamtąd Juliana też umknęła, mówiąc, że będzie szukać rodziny.

– Ale w Konstancinie nie znaleźliśmy jej – zauważył Adam.

– Nie. I tu trop się właściwie urywa. Nie wiem, dlaczego uznałeś, że artykuł o jakiejś znachorce z Pomorza dotyczy Juliany. W dodatku taki artykuł.

– Jak to, dlaczego? Proszę bardzo: po pierwsze znachorka. Po drugie inicjały się zgadzają: J. D. Czyli Juliana Dors. Po trzecie...

– No właśnie. Trzeciego argumentu nie ma. No i ten artykuł. To do Juliany niepodobne. Nie wierzę, żeby Juliana otruła cztery pacjentki ziołami, po których wszystkie trafiły do szpitala i walczą o życie. Po prostu nie wierzę.

– Nie zaszkodzi sprawdzić. To J. D. jest, moim zdaniem, najsilniejszym argumentem.

– Nie byłabym tego taka pewna. Mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko.

– Mimo wszystko uważam, że powinniśmy to sprawdzić. A te trujące zioła... Nie winiłbym jej tak bardzo. Ostatecznie każdy może się pomylić. A ona jest już stara, mogła niedowidzieć. Przecież nie zrobiła tego celowo. Pojedźmy tam.

– Dobrze, pojedźmy – zgodziła się Toffi.

Na Pomorze ruszyli następnego dnia. Autobus do Gdańska w sezonie letnim załadowany był po brzegi.

– Spójrz, jakie piękne lasy – Toffi zwróciła się w stronę okna i przez chwilę patrzyła zachwycona. – Nie może mi się pomieścić w głowie, że Magdalena spędziła tyle lat w samym środku lasu, nie widząc ludzi i nie korzystając z niczego, co wydawałoby się niezbędne w życiu codziennym.

– I poradziła sobie. Wszystkiego się nauczyła. Można? W gruncie rzeczy cywilizacja jest zupełnie zbędna. Jak się okazuje, można obejść się bez samochodów, komórek, komputerów i tych wszystkich wynalazków. Ziemia byłaby zdrowsza, gdyby człowiek mniej myślał i nie wydziwiał. I zostawił naturę w spokoju. Nie uważasz?

– Jasne. Myślę, że mogłabym spróbować obejść się bez tego wszystkiego i mieszkać tak, jak ona. Ale nie sama. Musiałabym mieć przy sobie faceta. Bardziej żywego niż Piotr i młodszego niż Ivan.

– Ja mógłbym nim być? – zapytał Adam z nadzieją i zajął Toffi w oczy.

Nie odpowiedziała, a on się nie narzucał. Znał już Toffi i wiedział, że jeśli będzie chciała, sama mu powie o swoich uczuciach. Postanowił być cierpliwy.

Na miejsce przybyli po prawie pięciu godzinach jazdy. Z ulgą wysiedli z autobusu i rozprostowali zesztywniałe kości.

– Dokąd teraz? – zapytała Toffi.

– Pójdziemy coś zjeść, a potem przywitamy się z morzem – odpowiedział Adam, po czym wziął Toffi za rękę i pociągnął w stronę najbliższego baru. Zamówili naleśniki z serem i koktajl truskawkowy. Po obiedzie, który znakomicie podziałał na ich nastroje, wybrali się na plażę. Od morza wiał chłodny wiatr. Plażowiczów było niewiele. Ludzie woleli spacerować brzegiem, ubrani w lekkie sztormiaki chroniące przed wiatrem. Niektórzy zbierali muszelki i drobne bursztyny, pochylając się i wybierając je z mokrego piasku. Fale uderzały o brzeg, szumiąc głośno. Miały w sobie coś dostojnego, tajemniczego, jakby zawarła się w nich cała historia, o której niedawno opowiadał Adam. Ludzie nie doceniali powagi fal, przeskakując przez nie bosymi stopami, piszcząc i popychając się wzajemnie z głośnym śmiechem. Adam i Toffi przysiedli na suchym piasku i zapatrzyli się w spienioną wodę, rytmicznie uderzającą o brzeg. Byli zmęczeni podróżą i monotony szum fal przynosił im ukojenie. Po pewnym czasie Toffi położyła się na piasku.

– Mogłabym tu zostać do śmierci – mruknęła leniwie. – Zauważyłeś, że nad wodą prawie nie ma chmur, a nad nami jest mnóstwo białych kłębuszków?

Adam spojrział w górę.

– Faktycznie – przyznał. – Pogoda nad morzem zwykle jest specyficzna, a w nocy wcale nie jest chłodniej, niż za dnia. Możemy tu przenocować – uśmiechnął się, podniósł dłoń Toffi, strzepnął z niej piasek i pocałował, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

– Spójrz, widzisz okręt? – wyrwała mu rękę i wskazała stronę, z której płynął statek. – Tam na horyzoncie!

– Widzę – odparł wcale nie patrząc w tym kierunku. Za to z zachwytem przyglądał się Toffi zafascynowanej jak dziecko zabrane po raz pierwszy w nieznane miejsce.

Tego dnia postanowili nie szukać Juliany. Wynajęli na jedną noc pokój, co zdecydowanie uszczupliło ich zasoby finansowe. Wieczór spędzili blakając się po Starówce, kupując drobne pamiątki i odwiedzając urokliwe kafejki.

Rankiem następnego dnia wybrali się do Dąbrówki, miejsca, gdzie według artykułu w gazecie mieszkała i działała znachorka, która mogłaby okazać się Julianą. Ponieważ nie mieli pojęcia, gdzie należy jej szukać, zaczęli kobietę niosącą torbę z zakupami. Widocznie wracała z pobliskiego sklepu.

– Przepraszam – zagadnęła ją Toffi uśmiechając się nieśmiało. – Szukamy



znachorki.

– Pani! Ona nie przyjmuje! – oburzyła się kobieta. – Od zeszłego tygodnia nikogo nie przyjmuje. Bo jej zabronili! Za te zioła, co nimi niby truła. A ona nie truła. Ona niewinna jest. Wszyscy mówią – kobieta ściszyła głos – że to prowokacja. Wie pani. Mówią, że te kobiety, co w szpitalu leżą, są zdrowe, tylko komuś przeszkadzało, że znachorka leczy i lekarzom pacjentów odbiera.

– Rozumiem – powiedziała Toffi. – Ale może pani wie, gdzie ta znachorka mieszka.

– Pewno, że wiem. Ale nie powiem. Może wy też z gazety? Albo z policji! A ja nie dam naszej znachorce do więzienia iść.

– Nie jesteśmy z gazety – zapewnił Adam. – Szukamy naszej babci, która jest znachorką. Może to ona.

Kobieta przyjrzała się im podejrzliwie.

– Babci? A prawdę mówicie?

– Prawdę! – zapewniła Toffi i uderzyła się pięścią w piersi, jakby dla podkreślenia swoich słów.

– No dobrze. Powiem wam. To niedaleko stąd. Zaraz za tamtym żółtym domem. Widzicie te trzy drzewa? To za nimi trzeba skręcić w lewo. I tam ona mieszka. Pierwszy domek za zakrętem. Drewniany. A jakby pytała, kto wam pokazał, to nie mówcie!

– Dobrze, nie powiemy. Dziękujemy pani – powiedział Adam i kobieta poszła w swoją stronę. – Wszystko mi mówi, że to ona – zwrócił się do Toffi i z zadowolenia zatarł ręce.

– Nie byłabym tego taka pewna – powątpiewała Toffi.

Drewniany domek odnaleźli szybko. Jednak mimo głośnego pukania nikt im nie otwierał.

– A wy czego tu szukacie? – zainteresował się mężczyzna z bujnym zarostem na twarzy.

– Znachorki – bąknęła Toffi.

– Wynocha stąd! Teraz spokoju jej nie dają. Gryzpiórki, psiakrew! Odczepcie się wreszcie od niej!

– Niech pan nie krzyczy. Co pan sobie wyobraża? – zdenerwowała się Toffi. – Potrzebuję pomocy!

– Pani Janina żadnej pomocy teraz nie udziela!

– Jak pan powiedział? Jak ona się nazywa? – zapytał Adam i spojrzał znacząco na Toffi.

– A co wam do tego?

– Szukam kogoś. Też jest znachorką. Nie wiem, czy to nie ta – wyjaśniła Toffi. Starła się być grzeczna.

– Janina. Janina Dymek. Pasuje? – odpowiedział zaczepnie mężczyzna.

– Toffi... Nie pukaj już. Przestań. To jakaś Janina Dymek. – Adam nie mógł ukryć rozczarowania. – Idziemy stąd.

Zawiedzeni powlekli się w stronę przystanku.

– Adam, musimy to zweryfikować. Nie wiadomo, czy jesteśmy na właściwym tropie – powiedziała smętnie Toffi. – Sama nie wiem, dlaczego uparliśmy się, że Juliana jest znachorką?

– Wszystko jakoś na to wskazuje. Wychowywała się w lesie, pielęgnowała chorą matkę, leczyła ją ziołami, sama też leczona była w ten sposób, potem na Podlasiu szeptucha uczyła ją uzdrawiania... Chyba dlatego uczepiliśmy się tej wersji – odparł.

– Czekaj. Usiądźmy na tej ławeczce i przypomnijmy sobie, co mówił ten okrągły facet w Konstancinie. Ten... – Toffi zmrużyła oczy i usiłowała sobie przypomnieć imię sąsiada Brzeskich.

– Włódzio – odpowiedział jej Adam.

– O właśnie – ucieszyła się. – Włódzio.

– Mówił, że Stanisław był lekarzem. Musiał z kimś podzielić się majątkiem. Jeśli nie z Julianą, to z kim? On i córka jego siostry, Magdaleny, jako jedyni mieli prawo do dziedziczenia po rodzicach. Gdyby Stanisław nie sprzedał tej willi, po nim dziedziczyłaby twoja matka, a po matce ty. Ale sprzedał.

– Niestety – przyznała.

– Włódzio mówił jeszcze, że Stanisław walczył z praktykami znachorskimi – przypomniał sobie Adam.

– A moja matka powiedziała, że on skrzywdził Julianę – dodała. – Może z nią też walczył?

– I wytoczył jej sprawę w sądzie! – dorzucił Adam. – A ona miała jakąś sprawę, pamiętasz? Listonosz o tym mówił.

– Mówił, rzeczywiście. Ale tamta była z Podlasia, a Stanisław jeździł wypleniać gusła na Warmię. Coś mi się nie zgadza – zastanowiła się Toffi.

– Z Podlasia? Z tego wniosek, że nie opuściła Podlasia tak szybko. Kto sądziłby kilkunastoletnią dziewczynkę? Musiała jeszcze tam pomieszkać, jeśli to była ona. – Adam złapał się za głowę i zaczął kiwać się rytmicznie. – Muszę się skupić.

– Nie znajdziemy jej. To mnie przerasta! – zawołała Toffi.

– Znajdziemy – powiedział z wiarą w głosie Adam.

– Tylko nie każ mi jechać na Warmię – jęknęła.

– Musimy pojechać. Ślady tam prowadzą – oświadczył Adam.

– Zlituj się! Życia nam nie wystarczy. Wiesz, gdzie szukać jej na tej Warmii?

– Oczywiście, że nie wiem. Na razie wróćmy do Warszawy. Tam się zastanowimy, dobrze? – zaproponował.

– Dobrze – zgodziła się zbolalym głosem.

Do Warszawy dotarli późnym wieczorem. Marzyli o odpoczynku. Ustalanie dalszych planów odłożyli na kolejny dzień.

Rankiem Toffi zaczęła na nowo pakować plecak.

– Dokąd ty się znowu wybierasz? – zdumiał się Adam.

– Nie pytaj, tylko wstawaj – powiedziała. – Mówiłeś, że jedziemy na Warmię.

– Na miłość Boską! Przecież nie mamy pojęcia, gdzie możemy jej tam szukać. Poczekaj, to trzeba jakoś przygotować!

– Nad niczym nie będę się zastanawiać. Jakoś do tej pory nam się udawało. Teraz też nam się uda. Trzymaj kanapkę – podała mu kawałek chleba z pomidorem.

– Toffi, bądź rozsądna. Proponuję dowiedzieć się, gdzie pracował Stanisław Brzeski i dokąd jeździł, by likwidować praktyki znachorskie. Tylko w ten sposób mamy szansę znaleźć ślady Juliany na Warmii.

– Dobrze. Masz rację. W szpargałach mojej matki być może są jakieś dokumenty z jego pieczętką.

Toffi otworzyła szufladę, gdy tymczasem Adam umknął do łazienki. Wyszedł ogolony i kompletnie ubrany.

– Znalazłaś coś? – zapytał i zajrzał jej przez ramię widząc, że skupiła się nad jakąś kartką.

– Tak. Tu jest pieczętka, trochę niewyraźna... Może ty spróbujesz ją rozszyfrować?

– Czer...nia...kowski – przesyłabizował. – Chyba Czerniakowski.

– No więc co?

– Myślę, że powinniśmy się tam udać i dowiedzieć się czegoś osobiście.

Informacje, które zdobyli, były bardzo cenne. Jeden z lekarzy, który cudem znalazł czas, zaprosił ich do dyżurki. Tam podniósł słuchawkę telefonu służbowego i wybrał jakiś numer.

– Wojtuś – powiedział do słuchawki. – Ty pamiętasz może, dokąd jeździł Staszek Brzeski na Warmię? Nie, nie chcę jechać tam na urlop... Wiem, że przywoził szczupaki, wiem... Jacyś młodzi ludzie są tu u mnie i... Co? A nie wiem. Zapytam. – Zatkał ręką słuchawkę i zwrócił się do nich: – Przepraszam, kim wy właściwie jesteście?

– Ja jestem wnuczką Stanisława – pośpieszyła z odpowiedzią Toffi.

– Wnuczka Staśka – przekazał odpowiedź. – Co? Wnuczka! No pewnie, że ładna! – Spojrzał na Toffi i mrugnął do niej okiem, chociaż włosy na głowie miał zupełnie siwe. – Dobra, dobra, powiem. No, dziękuję ci za informację. Dobrze, pojedziemy. Cześć!

– Pan znał mojego dziadka? – zdziwiła się Toffi.

– Jako młokos byłem jego praktykantem. Potem zostaliśmy kolegami po fachu. Równy był, chociaż tyle lat ode mnie starszy. Lubiliśmy go wszyscy. Mógł jeszcze pożyć, ale nerwy go chyba zjadły. Między innymi przez tę cholerną Warmię. Ale nie tylko. Jeździł w okolice Nidzicy. Zawsze drań opalony wracał i chwalił się, jakie to on tam ryby łowił. No, ale co się naużerał, to naużerał. Szczególnie jedną wieś sobie upodobał. Jeden doktor, ten, co dzwoniłem do niego, był tam z nim raz, ale nazwy tej wsi nie pamięta. Mówi, że to niedaleko Grunwaldu. Dosłownie parę kilometrów. Wiecie, tam, gdzie była bitwa.

– Tak, w 1410 roku. Wiemy – mruknął Adam, a Toffi uśmiechnęła się nieznacznie.

– Jakoś ta nazwa kojarzy mi się z czymś leczniczym. Czekaście... Torf? Borowina!

– Ta wieś nazywa się Borowina?

– Nie, ale z borowiną mi się kojarzy. Wiecie, taki torf z rozłożonej roślinności bagiennej. Sami polecamy go na stany zapalne i bóle stawów. Świetnie działa bakteriobójczo i ściągająco.

– Aha, słyszałam o tym – bąknęła Toffi i spojrzała na Adama.

– Dobrze. Bardzo dziękujemy za pomoc, panie doktorze – powiedział Adam. – Nie chcemy dłużej przeszkadzać.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Powodzenia – odparł tamten i pośpiesznie wyszedł z dyżurki.

Opuścili szpital w bardzo optymistycznych nastrojach.

– Uważam, że zrobiliśmy krok naprzód. Przynajmniej wiemy, w jakim rejonie szukać – cieszył się Adam. Co powiesz na kawę? – zapytał i zajrzał w oczy Toffi.

– Powiem: z przyjemnością – odpowiedziała i uśmiechnęła się.

Usiedli w małej kafejce, zamówili kawę i lody.

– Nie możemy tak szaleć – mitygowała Adama Toffi, jednocześnie łakomie spoglądając na lody.

– Nie możemy – potwierdził żarliwie, pakując do ust pełną łyżeczkę.

Roześmiali się. Kawa smakowała wyśmienicie.

– To co? Kierunek Grunwald? – zapytał Adam.

– Grunwald – przytaknęła. – Opowiesz mi coś?

– O Grunwaldzie?

– Nie. O Warmii.

– Jasne! Warmia była częścią regionu historycznego Prus. Nazwa pochodzi od...

– Nie – skrzywiła się Toffi. – Nie opowiadaj mi takiej suchej historii. Znowu niczego nie zapamiętam.

– To o czym mam ci opowiedzieć? – zdziwił się lekko urażony.

– O ludziach. Ich zwyczajach. To jest ciekawe.

– No dobrze. – Przez chwilę zamyślił się, jakby usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego sam się dowiedział. – Było takie plemię, pruskie plemię Warmów.

– I od nich pochodzi nazwa Warmia – wtrąciła Toffi.

– Tak. W trzynastym wieku ziemie te podbili Krzyżacy.

– Nie, nie mów mi o Krzyżakach. Chciałam o zwyczajnych ludziach – powiedziała nadąsana.

– Ach tak, o ludziach – droczył się. – Dobrze, o ludziach. Otóż oni... otóż oni...

– Przyznaj się, że nic nie wiesz!

– Ależ wiem! Słuchaj. Mieszkańcy Warmii bardzo czcili chleb. Zawsze mówili, że chleb nigdy się nie przeje. Wypiekali po sześć albo osiem bochenków naraz, ale tylko raz w tygodniu. I to nie były takie małe, jednokilogramowe chlebki, tylko takie po trzy, cztery kilo!

– Trzydzieści dwa kilogramy chleba na tydzień! Zgroza!

– Może i zgroza, ale to była podstawa. Każdy miał piec chlebowy. Musiał on być bardzo rozgrzany do wypieku. A potem to już była cała ceremonia. Pierwszy do chleba zbliżał się ojciec rodziny, podnosił taki bochen i robił na nim znak krzyża. Muszę ci powiedzieć, że to był bardzo religijny naród.

– Ale o tym chlebie... Mów!

– Czasem ktoś przychodził, żeby pożyczyć chleb.

– Pożyczali?

– Pożyczali, ale nigdy nie dawali całego bochenka. Zawsze kawałek odkroili i zostawiali dla siebie. Był taki przesąd, że jak się cały bochen da, to odwróci się błogosławieństwo od domu. Jeśli kawałek chleba spadł na ziemię, to podnosili i całowali go na przeprosiny. A spleśniały chleb palili. Nigdy go nie wyrzucali. Wierzyli, że ogień ma właściwości oczyszczające. Chaty budowali wzdłuż drogi, po obydwu stronach, a wsie zakładali nad brzegiem jezior albo rzek. Wzgórze zawsze było miejscem do postawienia kościoła, ewentualnie kaplicy. A przy drodze jeszcze stawiano małe kapliczki albo krzyże.

– Mówiłeś, że byli religijni.

– Tak. To widać było w każdym ich działaniu. Byli religijni, ale jednocześnie bardzo przesądni.

– To się trochę kłóci.

– Ano kłóci. Mnie się jednak wydaje, że chodzi tu ogólnie o ich wierzenia. Religię traktowali też trochę jak przesąd. Na przykład budowanie chaty wyglądało wręcz magicznie. Najpierw zabijali zwierzę na ofiarę. Takie martwe zwierzę zakopywali w fundamentach nowo powstającego domu. Zakopywali też gliniany garniec z pieniędzmi, a pod próg kładli biblię albo przynajmniej święty obrazek. To wszystko po to, żeby w domu było bogato, zdrowo i pomyślnie.

– Jak będziemy budować dom, też tak zrobimy – roześmiała się Toffi, ale Adam nagle spowaźniał.

– A będziemy? Toffi, chciałabyś ze mną budować dom? Dla nas? Powiedz Toffi...

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Opowiadaj.

– No, taki dom, jak już wiecha wisiała na szczycie, trzeba było sownie opić. Wódkę fundował wszystkim robotnikom gospodarz, a gospodyni musiała ich nakarmić. W ogóle trzeba przyznać, że na Warmii alkohol lał się strumieniami. Mężczyźni pili wódkę niemal do każdego posiłku. Wręcz mieli ją wpisaną w menu! Ale to taka dygresja – uśmiechnął się. – Po poczęstunku wszyscy siadali i niuchali tabakę. Dużą rolę w budowaniu takiej chaty odgrywał księżyc.

– Nie gadaj, że budowali przy blasku księżyca!

– Nie, ale budowę zaczynali przy pełni, żeby w domu był dostatek. Potem już budowali normalnie, za dnia. Jak już chałupa była gotowa, nikt nie mógł od razu do niej wejść, bo to przyniosłoby nieszczęście.

– Jak to?

– Najpierw wrzucali tam psa albo kota. A w niektórych rejonach wchodziła baba z miotłą i wymiatała nieszczęście z kątków. Potem wnosili chleb, sól i pieniądze, czyli pomyślność i bogactwo. Znalezionej podkowie koniecznie przybijali do progu. Na szczęście. Pod progiem zakopywali stal do wyłapywania piorunów. Jeśli gospodarzowi umarła żona, a potem następna, to kolejnej nie wprowadzał już drzwiami, tylko przez okno. A w ogóle mieli taki zwyczaj, że po śmierci żony do chałupy natychmiast wprowadzała się inna kobieta, przywłaszczając sobie wszystko, co do nieboszczki należało, i pełniła jej obowiązki. Wprowadzała się już w dniu pogrzebu. Pewnie interesuje cię, jak taka chata wyglądała w środku.

– Uhm... – Toffi siedziała zaszuchana i patrzyła z podziwem na Adama. Lubiła, kiedy tak opowiadał.

– Szału z tym nie było. Chałupa miała tylko jedną izbę, w której wszyscy musieli się pomieścić. Nawet służąca i parobkowie. Na jedną rodzinę, zaznaczam: rodzinę, przypadało jedno łóżko. Ściany obwieszali świętymi obrazami, a na oknie stawiali figurkę, przeważnie Matki Boskiej. Za łóżkiem obowiązkowo musiała stać beczka z kiszoną kapuchą.

– Dlaczego za łóżkiem?

– A gdzie miała stać?

– Nie wiem...

– Na Warmii nie bawili się w czułe słówka ani gesty. Twardy to był naród. Chłop lał swoją babę, niejeden kij na niej połamał, a ona nie miała prawa się skarżyć. Musiała mu być posłuszna. Jak szli razem do miasta, to on przodem, a ona kilka kroków za nim. Rozmaite tłumoczki też ona musiała za nim nosić.

– Masz jakiś cel, żeby mi o tym mówić?! Może ci się to podoba?! – zdenerwowała się Toffi.

– Jaki cel, Toffi? Przecież to ty chciałaś poznać ich zwyczaje. Zresztą nie tylko kobiety tak traktowano. Dzieci też wychowywano bardzo surowo. Tak naprawdę, to stanowiły one dla rodziców tanią siłę roboczą. Ale nie było tak źle. Po wsiach wędrowali żydowscy handlarze i klatnicy, u których kupowano dzieciom zabawki.

– Klatnicy?

– Tak, to ludzie, którzy skupowali szmaty i najróżniejsze klamoty, a płacili za nie fajansowymi naczyniami, garnkami, tandetną biżuterią i zabawkami właśnie. Warmiacy kąpali się raz w roku.

– Żartujesz?!

– Wcale nie. W balii albo w jeziorze, czy rzece.

– Musieli ciągnąć za sobą niezły zapaszek...

– Zapaszek? Zapaszek to oni mieli z kupy gnoju, która leżała pod gankiem.

– Nie mogli gdzieś dalej od domu wywalać ten gnój?

– A po co? Oni na tę kupę załatwiali własne potrzeby fizjologiczne, to po co mieli chodzić tak daleko? Wyszli sobie przed chałupę i już! Nigdy nie wietrzyli chaty.

– Jak bym miała pod gankiem kupę gnoju, też bym nie wietrzyła – skrzywiła się Toffi.

– A to cię powinno zainteresować, bo dotyczy ich leczenia.

– Pewnie leczyli się ziołami.

– Niezupełnie. Kowal na przykład pełnił rolę miejscowego dentysty, a jeśli ktoś złamał sobie kończynę, to szedł do owczarza, który się na tym znał. Zimnicę...

– Czyli malarię?

– Tak.

– Malaria tutaj?

– Owszem, występowała. No więc leczyli ją wódką. Febrę – Ewangelią św. Jana.

– Aha.

– Jeżeli ktoś zaniemógł na żółtaczkę, podawali mu chleb z masłem posypanym robactwem.

– Fuj! Jakim robactwem?

– Nie wiem. Co znaleźli, to dali. Na ból głowy najlepszy był garnek wypełniony wodą z żelastwem w środku. Stawiali choremu ten garnek na bolącej głowie.

– I co?

– No i stał. Jak kogoś bolały zęby, powinien pogapić się na księżyc

w nowiu. Jeśli nie pomogło, trzeba było przytknąć do chorego zęba kość z cmentarza. A jak i to nie pomogło, to już kowal interweniował. No i jakoś żyli... Dopiero dzuma ich załatwiła. Epidemia wybuchła w siedemnastym wieku, a przywlekli tę zarazę Szwedzi. Strasznie ich wtedy spustoszyło. Do tego stopnia, że zaczęto zasiedlać warmińskie tereny Ślązakami. Niemcy nauczyli Warmiaków uprawiać len i konopie, a potem rozwinęło się tu tkactwo. Ludzie przede wszystkim tym się zajmowali. Kobiety zbierały się w jednej z chat ze swoimi kołowrotkami i tkwały, przy tym sobie śpiewały, a nieraz taki wieczór kończył się tańcami.

– Taki Dom Kultury?

– Domem Kultury była karczma. Tam odbywały się zebrania, pogaduszki i tańce. Najczęściej właścicielem takiej karczmy był Żyd albo Niemiec. To było chyba najważniejsze i najbardziej popularne miejsce w całej wsi. Idziemy?

– Już? – Toffi była rozczarowana.


– Siedzimy tu bardzo długo. Powinniśmy przygotować się do podróży. Myślę, że jutro możemy wyjechać.

– Intryguje mnie ta Warmia – powiedziała Toffi, uśmiechnęła się i wstała z krzesła.

– Nie myśl, że tam nadal jest tak, jak ci opowiadałem – dodał Adam. – Ogarnęli się mniej więcej w dwudziestoleciu międzywojennym. Teraz są ucywilizowani.

– Wiem, ale przez to twoje opowiadanie stali mi się jakby bliżsi – stwierdziła.





W Nidzicy zjawili się około dziesiątej. Na dworcu autobusowym przestudiowali nazwy miejscowości. Żadna z nich jednak nie pasowała do opisu przedstawionego przez lekarza.

– Uważaj, czytam jeszcze raz. – Adam zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć tablicę i zaczął czytać: – Zakrzewko, Napiwoda, Robaczewo, Zembrzus-Mokry Grunt... Może to?

– Mokry Grunt? – przerwała mu Toffi.

– Zembrzus-Mokry Grunt... Ten Mokry Grunt mnie zastanawia. Może właśnie to miał na myśli lekarz z Warszawy?

– Eee, chyba nie. Czytaj dalej.

– Pokrzywnica Wielka, Zabłocie Kanigowskie...

– Zabłocie? Z błotem się kojarzy. Może Zabłocie? Co tam jeszcze masz?

– Brodowo, Browina...

– Browina! Jest! Na pewno chodzi o Browinę! Jedziemy tam. Autobus mamy za czterdzieści minut. – Toffi była w swoim żywiole.

Przystanek w Browinie był kolorowy. Zafascynowana Toffi obeszła go dookoła. Na tylnej, zielonej ścianie wymalowany był wiatrak, na bocznej, niebieskiej – jeleń, zając i jakieś białe ptaki w locie. Dach był bordowy.

– Nigdy nie widziałam takiego przystanku! – zawołała.

Ruszyli ubitą drogą, gdzieniegdzie porośniętą trawą, wzdłuż której stały murowane domy. Wieś była ładna i zadbana.

– Zupełnie nie wiem, dokąd mamy pójść i o co pytać – powiedziała Toffi.

– Rozejrzyjmy się tu trochę. Rozwiązanie samo przyjdzie, zobaczysz – pocieszał ją Adam, który sam nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Minęli niewysoki budynek, który okazał się świetlicą, ale nie zauważyli tam żadnego ruchu.

– Chodźmy do sołtysa! – wpadł nagle na pomysł Adam.

Przygodnie spotkana młoda dziewczyna wskazała im drogę. Sołtys na szczęście był w domu i przyjął ich życzliwie.

– Mógłby nam pan powiedzieć coś o swojej wsi? – zagadnął Adam.

– No... przede wszystkim to, że jesteśmy bardzo dumni. Nasza wieś otrzymała drugie miejsce w konkursie na najładniejszą zagrodę – poinformował sołtys.

- Brawo! – pogratulowali z uśmiechem jego goście.
- A państwo na wypoczynek? Mamy tu agroturystykę – pochwalił się.
- Nie... Wie pan, szukamy kogoś.
- Niech pan mówi śmiało – zwrócił się do Adama – znam wszystkich jak samego siebie. Tu niewielu ludzi mieszka.

– Ale chodzi o to, że szukamy kogoś, kto przebywał tu w latach pięćdziesiątych – wtrąciła Toffi.

– Oj, to nie pomogę. W pięćdziesiątym, a nawet w sześćdziesiątym roku jeszcze mnie tu nie było. Możemy pójść do babci Kucickiej, to chodząca historia.

– Zaprowadzi nas pan? – wyraziła nadzieję Toffi.

– A pewnie, pewnie. Sam chętnie posłucham.

Domek babci Kucickiej nie był duży, za to wypełniony po brzegi. Po podwórku biegały rozchełstane, umorusane dzieci, trzech mężczyzn gawędziło przy stoliku pod ogromnym parasolem, kobiety opalały się na leżakach i opowiadały sobie coś półgłosem.

– To letnicy – objaśnił im sołtys. – U babci Kucickiej zawsze najtaniej.

Weszli po kilku schodkach do sieni, odgródzonej od podwórka zwiewną zasłonką. Babcia Kucicka stała nad parującym garnkiem i coś w nim mieszała. Na widok sołtysa zmarszczyła brwi.

– I po co ty mi ich prowadzisz? Chałupa pełna gości, gdzie ja ich spać położę? U mnie nie ma miejsc. Gdzie indziej idźta.

– Pani Kucicka, oni nie na nocleg, tylko chcieli się czegoś dowiedzieć.

– Czasu nie mam! Nie widzita, że obiad muszę gotować? Letniki zaraz głodne będą. Idźta, idźta. Nie przeszkadzajta.

– Pani Kucicka, ale ja powiedziałem, że pani najmądrzejsza we wsi, a oni mają parę pytań.

Babcia Kucicka ogarnęła ich wzrokiem i łapiąc garnek przez fartuch, odstawiła go z ognia.

– Walercia! – zawołała. – Walercia! Chodź ino tu! W garnku trzeba zamieszać.

Po chwili przybiegła kilkunastoletnia dziewczynka i posłusznie stanęła nad kuchnią.

– Chodźta do pokoju. Chodźta – zaprosiła ich wycierając ręce o fartuch. – No, jakie to pytania? – Usiadła na krześle głośno stękając. – Siadajta – zachęciła też gości.

– Proszę pani, czy pani mieszkała tu w roku pięćdziesiątym czwartym? – zapytał Adam, a Toffi wbiła w kobietę uważne spojrzenie.

– A jakże! Ja tu od urodzenia jestem.

– My szukamy jednej zielarki, która była tutaj w pięćdziesiątych albo nawet sześćdziesiątych latach.

– Tu dużo zielarek było. Prawie wszystkie kobiety stąd zioła zbierały. W dolinie strumienia są podmokłe łąki, tam tego najwięcej.

– Nie pamięta pani takiej młodej dziewczyny...

– A kto by je spamiętał! Niektóre to z daleka przyjeżdżały po chućkogój. Tutaj u nas tego najwięcej. Ludzie z całej Polski przyjeżdżali.

– Po co przyjeżdżali? – nie zrozumiała Toffi.

– Po żywokost lekarski, po naszymu chućkogój. Na zranienia dobry. Ale nie tylko. Ludzie z tego nalewkę robili i leczyli rozmaite choroby. A chłopcy to inne roboty mieli. Zielony węgiel kopali. Wiecie, torf na opał. Kopali, potem suszyli i w piecu tym palili. Ale żebym jakąś młodą zielarkę знаła, to nie... – zastanowiła się, patrząc gdzieś w siebie tylko znaną przeszłość.

– A może przypomina sobie pani jakąś znachorkę?

– Była, była, ale zmarła. Miała już swoje lata, to i nie dziwota.

– Nikt jej do sądu nie podał?

– Przyjeżdżał tu taki doktor z Warszawy. Bardzo był zły na nią i nawet sądem groził, ale w końcu dał jej spokój...

Babcia Kucicka nagle zakryła usta rękami i spojrzała na nich szeroko otwartymi oczami.

– A wiecie, że ten doktor to mi coś przypomniał. Przyjeżdżała tu taka jedna młoda. Ale nie w pięćdziesiątym czwartym, tylko później, w sześćdziesiątym chyba to było... On się tak na nią zawziął! Ta dziewczyna nawet nie była żadną znachorką. Zioła to zbierała, sama widziałam. I wszystkie opisywała. Raz nasza sołtysowa zachorowała. Boleści takich dostała, że strach! Ta zielarka akurat szła na przystanek, jak sołtys konia zaprzęgał, żeby po lekarza jechać. I mówi do niej: „Jak pani do Nidzicy, to podwiozę. I tak po lekarza tam jadę”. Nie dziwota, że tak powiedział, bo zielarka śliczna, jak z obrazka! „A co się stało? Może ja mogłabym pomóc?” – zapytała. Sołtys na to: „Żona w boleściach leży, nic jej nie pomaga. Jęczy biedaczka, jak na mękach”. To ta młoda kazała się do niej zaprowadzić. Pół wsi wtedy za nią polecało. A ona ręce sołtysowej do brzucha przyłożyła, zamknęła oczy i tak siedziała. Długo siedziała, aż niektórzy, co byli bardziej niecierpliwi, porozłazili się do swojej roboty. Nagle sołtysowa przestała jęczeć i patrzy na zielarkę jak na jakieś чудо. „Nie boli – mówi. – Nic a nic nie boli!” „Może i nie boli. Ale pani ma problem z woreczkiem żółciowym i powinna się zgłosić do lekarza. Koniecznie!” – rzekła ta zielarka. Pech chciał – kontynuowała babcia Kucicka – że akurat ten doktor był we wsi. Jakoś się dowiedział, że zielarka u chorej sołtysowej siedzi. Przybiegł czym prędzej i jak ją zobaczył, to najpierw zaniemówił ze złości, a potem zaczął krzyczeć, że praktyki znachorskie uprawia i on na to nie będzie beczynn timerzł, tylko zrobi wreszcie porządek.

– Przestraszyła się? – zapytała Toffi z zapartym tchem.

– A gdzież tam! Wyprostowała się, bo ona taka dumna była, no więc

wyprostowała się, podeszła do niego i tak mu w twarz popatrzyła, tak popatrzyła, że... że ja do dzisiaj ten jej wzrok pamiętam. Nic nie powiedziała, tylko wyszła. A on tak stał jeszcze chyba z pięć minut i też wyszedł. Potem nagonki na nią robił. Jak czasem przyjeżdżała, to i on zaraz był. Wojna taka między nim a zielarką rozpętała się, że aż strach! W końcu ona tu przestała przyjeżdżać i od tej pory nikt jej nie widział.

– Nie wie pani, skąd ona była? – zapytał Adam.

– Nie. Nie wiem – odparła babcia Kucicka.

– A jak się nazywała?

– My nazywaliśmy ją po prostu „zielarka”. I tyle. Idźta już. – Babcia Kucicka poderwała się z krzesła. – Moje letniki głodne, obiad muszę dawać. Co wiedziałam, to powiedziałam.

– Dziękujemy pani. Bardzo dziękujemy – powiedziała i dygnęła Toffi.

– Nie ma za co. Do widzenia – odparła babcia Kucicka i zamachała rękami, jakby oganiała się od dokuczliwej muchy.

Wyszli, podziękowali też sołtysowi, który nie omieszkął zaprosić ich na wakacje do swojej pięknej wsi, i ruszyli w kierunku przystanku.

– Szkoda, że tu szeptuch nie ma – powiedziała Toffi.

– Po co ci szeptuchy? – zdziwił się Adam.

– Może wywróżyłyby coś z popiołu. A tak znowu ślad nam się urwał. Nie wiemy, czy na pewno była to Juliana. Mamy za mało informacji.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy sami zapalili świeczkę.

– Świeczkę? Po co?

– W którą stronę odwróci się płomyk, tam pojedziemy!

– Nie kpij.

– Nie kpię. W tej chwili mamy taką samą wiedzę, to znaczy żadną.

– A jeśli poszlibyśmy do tej sołtysowej?

– Do której?

– No do tej starej sołtysowej. Może ona wie więcej niż babcia Kucicka?

– Wiesz, że ten pomysł jest niezły? – przyznał i podrapał się po głowie Adam. – Wobec tego musimy wrócić do obecnego sołtysa i o nią zapytać.

– Wracamy – zdecydowała Toffi i odwróciła się na pięcie.

Sołtys był zdziwiony ich ponownym pojawieniem się, ale wysłuchał gości z uwagą.

– Ona nazywa się Zaniewska – poinformował. – Mieszka niedaleko, ale czy będzie cokolwiek pamiętać? To taka starowinka...

– Spróbujemy – powiedziała Toffi.

Sołtys wskazał im drogę i wrócił do swoich obowiązków.

Pani Zaniewska siedziała na ławeczce pod oknem swojego domu. W palcach obracała paciorki różańca i modliła się bezgłośnie. Adam i Toffi spojrzeli na siebie.

– Chyba nie możemy jej przeszkadzać. Poczekajmy, aż skończy – szepnęła Toffi, ale staruszka już ich zauważyła i przyłożyła rękę do czoła przed rażącym słońcem, żeby lepiej im się przyjrzeć.

– Dzień dobry, czy możemy z panią chwilę porozmawiać? – zapytał Adam.

– Porozmawiać zawsze można – odparła.

– Pamięta pani zielarkę, co wyleczyła pani woreczek żółciowy?

– A jakże! – Zaniewska rozpromieniła się. – Ach, jakaż ona była dobra.

Anioł!

– A skąd ona przyjechała, pamięta pani?

– Nie pamiętam. Ktoś mówił, że ze wschodu, ktoś inny, że z południa, ale ja nie wiem.

– Z południa? – zastanawiała się głośno Toffi.

– Kto ją tam wie. Ona nic o sobie nie mówiła. Pewnie nie chciała, żebyśmy wiedzieli.

– A dlaczego nie chciała? – zapytał Adam.

– Uczepił się jej taki doktor z Warszawy, zarozumialec. Co ona tu przyjechała, to on też. Ach, co to był za drań! Przez niego miała same kłopoty, bo ona nie była doktorką, a ludziom pomagała. To mu się nie podobało, chociaż leków żadnych nie przepisywała, tylko zioła. I ręce – tu Zaniewska ściszyła głos – ręce miała takie, że jak je przyłożyła, to zaraz wszystko odeszło. Mnie wtedy do lekarza odsyłała, ale po co, jak już nie bolało.

– A jak miała na imię? – zapytała Toffi i wlepiła w Zaniewską pełne nadziei spojrzenie.

– Na imię? – Zaniewska zastanowiła się. – Nie wiem – powiedziała w końcu. – Chyba nikt we wsi nie wiedział. Zielarka na nią mówili.

– A często przyjeżdżała?

– Latem to raz na dwa, trzy tygodnie przyjeżdżała. Po łąkach chodziła. Mówiła, że tam, gdzie mieszka, nie wszystkie zioła można znaleźć. Ale wiosną i jesienią rzadko była. A zimą to już wcale. No bo po co?

– To nie przyjeżdżała specjalnie po to, żeby leczyć?

– Nie. Jakbym wtedy nie zachorowała na ten woreczek, to nikt by nawet nie wiedział, że ona to potrafi. Bardziej na rusalkę niż na doktorkę wyglądała. Włosy miała długie i zawsze jakiś kwiatek w nie wpięła albo wianuszek uwiła. Buzię miała taką ładną, wszyscy się dziwili, że ten doktor tak na nią... Pewnie przez to, że ona była od niego mądrzejsza, ot co!

– Rozumiem... – mruknął Adam. – No cóż, to dziękujemy i przepraszamy za kłopot.

– Jakiż tam kłopot – zachnęła się.

– Do widzenia pani – powiedział Adam, a Toffi tylko się uśmiechnęła i skinęła lekko głową.

– Do widzenia.

Zaniewska popatrzyła za nimi jeszcze chwilę, potem powróciła do swoich paciorków, które obracała w palcach, szepcząc modlitwę.

– No i co teraz? – zapytała Toffi.

– Nic. Wracamy do Warszawy – powiedział Adam. – Niczego się nie dowiedzieliśmy, nawet tego, czy ona mówiła o Julianie. – Zamilkł i zamyślił się głęboko. – Wiesz, że przez Browinę przemaszerowały wojska polsko-litewskie, idąc na Grunwald? – dodał po chwili. – Był to końcowy przemarsz na rozkaz Jagiełły. Potem tę wieś spalono. Tak przynajmniej podaje Długosz w swojej kronice.

– Skąd wiesz? Wydawało mi się, że nie słyszałeś nic o tej wsi.

– Przypomniało mi się – powiedział i przyśpieszył kroku.

Na przystanku czekali niedługo. Po kilku minutach przyjechał autobus, który zabrał ich z pięknej, zielonej Warmii.

– Chyba nie ma sensu, żebyś dłużej siedział w Warszawie. Nie chcę być niegościnna, ale na razie nic nowego nie wymyślimy – powiedziała Toffi szorując garnek po obiedzie. – Kończą nam się pieniądze, więc i tak nie pojedziemy na kolejną wycieczkę.

– Trudno odmówić ci racji, ale przywiązałem się do ciebie przez ten czas. Może razem pojedziemy do Wrocławia? – zaproponował nieśmiało Adam.

– Nie. Muszę pozałatwiać kilka spraw.

– No cóż. Wobec tego we Wrocławiu rozejrzę się za jakąś pracą. Na razie dorywczą, żeby coś zarobić. Nie będę rozmyślał o tobie, kiedy znajdę sobie jakieś zajęcie – powiedział smętnie. – Pojadę jutro po południu.

– Dobrze – uśmiechnęła się Toffi i żeby jakoś rozładować narastające napięcie, zaproponowała:

– A co powiedziałbyś na to, żebyśmy zrobili sobie taki pożegnalny spacer? Przy okazji kupimy coś na kolację, dobrze?

– Jasne – zgodził się chowając do kieszeni wychudzony portfel.

W sklepie Adam zatrzymał się nagle.

– Co się stało? – zapytała Toffi wrzucając do koszyka paczkę krakersów i przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Toffi, przecież ona była już duża, musiała gdzieś chodzić do szkoły!

– I co? Chcesz sprawdzać wszystkie szkoły? Przecież teraz są wakacje, szkoły pozamykane.

– Pozamykane dla uczniów, ale sekretariaty są czynne!

– Zastanowiłeś się, co ty mówisz? Mamy oblecieć wszystkie szkoły na wschodzie i południu? W dodatku w sześćdziesiątym roku ona miała już dwadzieścia jeden lat! Co nam z tego, że dowiemy się, w jakich wiejskich szkółkach się uczyła. Po skończeniu edukacji pewnie zajęła się jakąś pracą.

Sprzedawała zioła czy coś takiego...

– Może poszła na studia.

– Na studia? Popukaj się. Dziewczyna wychowana w lesie miałaby pójść na studia? Dobrze, jeśli skończyła jakąś zawodówkę. Przecież musiała też zarobić na chleb. Studia. Rzeczywiście... – mruknęła z przekąsem.

– To po co spisywała te zioła? Słyszałaś, że miała zielnik.

– Ja wiem? Hobby takie.

– Hobby... Może. Ale mogła też studiować medycynę. Fitoterapię czy jak to się tam nazywa.

– Przecież walczano z medycyną naturalną – zaproponowała.

– Jedni walczyli, inni jej bronili. Nie zapominaj, że ziołolecznictwo znane jest od czasów szlaku bursztynowego, kiedy to przewożono liczne zioła z dalekich krajów i próbowano, zresztą z dobrym skutkiem, hodować je w przydomowych ogródkach. W czasach średniowiecza leczenie ziołami najbardziej się rozwinęło. I nikt tego nie tępił. Zielarze, czy inaczej znachorzy, naprawdę pomagali ludziom.

– To dlaczego potem ich tępił? – zapytała Toffi obracając w dłoniach słoik z dżemem.

– Przez Kościół katolicki. W trzynastym wieku mnisi zaczęli mordować zielarzy i odbierać im herbarze, to znaczy księgi o ziołach i receptury.

– Dlaczego? Uważali, że są złe?

– Wręcz przeciwnie. Odtąd leczenie stało się domeną zakonów i mnichów. Oni czerpali z tego olbrzymie zyski. Mimo wszystko zielarstwo przetrwało jednak wśród zwykłych ludzi. Przekazywali sobie wiedzę z pokolenia na pokolenie.

– Wiem. Nawet kobiety na dworach miały domowe apteki. Takie spiżarnie z przetworami, likierami i ziołami. Musiały znać się na leczeniu, żeby pomagać chorym. – Czytałam o tym – wtrąciła Toffi.

– Sama widzisz, że medycyna naturalna była w stanie przebić się przez wszystkie trudności i przetrwać do dziś. Jeśli Juliana tak się nią interesowała, mogła wybrać związany z nią kierunek na jakiejś uczelni. A o ile wiem, w Białymstoku jest Uniwersytet Medyczny.

– Nie przesadzaj. Nie widzę wiejskiej dziewczyny, którą edukowano na szeptuchę, na uczelni medycznej.

– Może i przesadzam, ale warto to sprawdzić.

– To bzdury. Mówię ci, że nie wzniosła się wyżej niż wiejska chałupa. Bierzemy to? – postukała palcem w pudełko z jakimś serkiem.

– Bierzemy – westchnął widząc, że jej nie przekona.

Wyszli ze sklepu z drobnymi zakupami. Musieli panować nad wydatkami, które coraz bardziej trzeba było ograniczać. Kiedy wracali do domu, Adam zatrzymał się przy bankomacie, z którego spodziewał się wyjąć jeszcze jakieś pieniądze. Toffi postanowiła pójść dalej sama, by w tym czasie zająć się

przygotowaniem czegoś do jedzenia. Pod drzwiami Adam usłyszał strzępki rozmowy telefonicznej. Toteż zdziwił się, gdy zastał Toffi w kuchni zajętą płukaniem warzyw.

– Kto dzwonił? – zapytał zamykając drzwi.

– Nikt nie dzwonił – odpowiedziała i spojrzała na niego z udanym zdziwieniem.

– Wydawało mi się, że z kimś rozmawiałaś – powiedział niepewnie.

– Przesłyszałaś się – skwitowała.

Telefon Toffi leżał w pokoju na komodzie. Dotknął go dłonią. Był ciepły. Toffi z jakiegoś powodu skłamała. Adam jednak tego nie skomentował. Wszedł do kuchni i pomógł jej w przygotowaniu obiadu. Toffi była ożywiona, paplała o wszystkim i o niczym, co było do niej niepodobne. Zupełnie jakby chciała coś zagadać – stwierdził w duchu. Po obiedzie weszła do łazienki i spędziła tam kilka minut. Zauważył delikatny makijaż, czego zwykle nie robiła. Zaraz usłyszę, że wychodzi na chwilę – pomyślał. – Umówiła się z kimś i nie chce się do tego przyznać. A to znaczy, że ten ktoś nie jest dla niej bez znaczenia. To z kolei oznacza, że nie jest bez znaczenia i dla mnie. Zastanawiał się, jak powinien zachować się w przypadku, gdyby scenariusz się sprawdził. Toffi usiadła na kanapie i wzięła do ręki książkę. Adam sięgnął po gazetę, ale był przyczajony jak kot nad dziurą, do której schroniła się mysz.

– Chcesz coli? – zapytała obojętnie, jakby cała lodówka nie była wypełniona niczym innym.

– Przecież nie mamy coli. Wczoraj się skończyła.

– Tak? – zdziwiła się, choć to ona wyrzuciła pustą butelkę. – Wobec tego wyskoczę do sklepu – poderwała się ochoczo.

– Możesz napić się czegoś innego. Został jakiś napój owocowy.

– Mam ochotę na colę – powiedziała zapinając buty.

– Zostań. Sam pójde i kupię kilka butelek, skoro tak ją lubisz. – Mówiąc to wstał z fotela.

– Nie trzeba, naprawdę – zatrzymywała go wyraźnie spłoszona.

– To pójde z tobą – zaproponował i sięgnął do szafki po buty, doskonale zdając sobie sprawę z burzy, jaką właśnie wywołał.

– Czy ty zawsze musisz za mną wszędzie łązić?! – podniosła głos. – Nie chcę, żebyś ze mną szedł. Poradzę sobie z przyniesieniem do domu jednej butelki coli.

– Masz rację – zgodził się. – Nie jest daleko. Colę widziałem w sklepie na dole. Istotnie, poradzisz sobie.

Adam usiadł przed komputerem i po raz nie wiadomo który wpisał nazwisko Juliany Dors. Wciąż łudził się, że znajdzie tam jakąś informację na jej temat. Toffi tymczasem złapała portfel, który zostawiła na komodzie, i wyfrunęła z domu,



pozostawiając po sobie delikatny zapach perfum.

– Cholera – zaklął pod nosem Adam i wyrzwał przez okno.

Toffi szła szybkim krokiem. Obserwował ją do czasu, aż zniknęła za zakrętem.

– Cholera – powtórzył półgłosem.

Toffi nie było dokładnie godzinę i osiemnaście minut. Adam gapił się w ekran komputera i czytał wciąż jedno zdanie, którego sensu nie rozumiał. Przez godzinę i osiemnaście minut jego wyobraźnia tworzyła obrazy, które gotowały mu krew w żyłach. Kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, schronił się w sypialni, żeby nie słuchać kłamliwych wyjaśnień. Cierpiał bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić w czasie, gdy była przy nim i nie musiał niczego podejrzewać. Przez drzwi słyszał, jak chodzi między kuchnią a pokojem szybkim, nerwowym krokiem. Układała zapewne słowa, którymi nie będzie chciała go ranić, a jednak zrani. Wymyślała gesty, które mogłyby złagodzić rozstanie. Adam usiadł na brzegu łóżka i ukrył twarz w dłoniach. Kochał Toffi. Może nie okazywał tyle ciepła, ile pragnęła, może ją zaniedbywał, ale kochał i nie wyobrażał sobie życia bez niej. Za drzwiami zaległa cisza. Widocznie Toffi uspokoiła się trochę i teraz czeka na niego przygotowana do rozmowy. Ostatniej, jak mniemał.

– No, nareszcie! – usłyszał jej głos, gdy wysunął głowę z sypialni. – Już myślałam, że umarłeś – zażartowała i obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem. Zdziwił się, że zachowuje się tak naturalnie i pogodnie.

Toffi zapaliła świece. W tle sączyły się dźwięki *Sonaty księżycowej*, którą tak uwielbiał.

– Kupiłaś colę? – zapytał bez sensu.

– Zapomniałam – odparła zupełnie nie zmieszana.

Dopiero teraz zauważył wielki tort na stole. Obok chłodził się szampan.

– Okradłaś bank? – wyjąkał głupio. – Mam urodziny?

– My mamy! My mamy urodziny! – zawołała z miną, jakby udał się jej świetny żart. – Świętujemy rocznicę!

Nigdy jeszcze nie poczuł się tak idiotycznie. Ona pamiętała. Poświęciła ostatnie pieniądze.

– Rok temu zaczęłam cię na Świdnickiej, pamiętasz?

– Toffi, na śmierć zapomniałem – powiedział ze skruchą w głosie.

– Brzydal! – zawołała i podała mu pokrytą rosą butelkę szampana. – Otwórz. Teraz mogę ci powiedzieć, z kim rozmawiałam przez telefon.

– No? – bąknął, choć w tej chwili nic a nic go to nie obchodziło.

– Z cukiernikiem! – zawołała śmiejąc się.

Rankiem następnego dnia Adam usiadł przy stole, który Toffi nakryła właśnie do śniadania.

– Toffi, nie mogę jeszcze wyjechać do Wrocławia. Musimy ponownie

wyruszyć na Podlasie. Coś mi się wydaje, że Juliana zakotwiczyła tam na dłużej, tylko trzeba odkryć miejsce, gdzie mieszkała – powiedział smarując chleb masłem. – Nie ma jakiejś wędliny albo sera? – zapytał i rozejrzał się po stole.

– Ano nie ma. Bieda – stwierdziła i na dowód tego wywróciła kieszenie spodni na lewą stronę, demonstrując ich beznadziejną pustkę. – Dlatego też na razie nie pojedziemy na żadne Podlasie.

– U mnie to samo, bieda – mruknął zmartwiony i zamyślił się. Nie miał ochoty rozstawać się z dziewczyną, w której był po uszy zakochany.

Po śniadaniu Toffi zabrała się za porządki w swojej szafie, Adam natomiast rzucając przez ramię „zaraz wracam”, wyszedł z mocnym postanowieniem wyszukania szybkiego zarobku. Autobusem podjechał do centrum. Zanim zdobył gazetę z ogłoszeniami, w oczy rzucił mu się chłopak przebrany za ogromną pszczołę.

– Cześć – zagadnął go Adam. – Możesz mi powiedzieć, gdzie można załatwić sobie taką idiotyczną robotę?

– Jezu, koleś! – zadudnił pszczoła. – Z nieba mi spadłeś!

– Co?

– Chodź! Idziemy do sklepu. – Pszczoła złapał go za łokieć i zaprowadził do najbliższego sklepu z damską odzieżą. – Do przymierzalni, szybko!

Adam nic z tego nie rozumiał, ale nie chciał się szarpać i robić jeszcze większego widowiska.

W przymierzalni chłopak zdjął głowę pszczoły i zaczął zdzierać z siebie resztę żółtego stroju w czarne paski.

– Przebieraj się, szybko! Potem ci powiem, co i jak.

Adam błyskawicznie wciągnął na siebie kostium, a chłopak dokończył dzieła wsadzając mu na głowę wielki pszczeli łeb.

– Idziemy! – rzucił rozkazującym tonem.

Stojąca za ladą ekspedientka prawdopodobnie była zbyt zaskoczona tym widokiem, by ich zaczepić. Znaleźli się ponownie na ulicy, tyle że role były odwrócone.

– Słuchaj, koleś, nie mogę dzisiaj być pszczołą. Dostałem pilny telefon i właśnie myślałem, jak się z tego wymigać. – Poszperał w kieszeni, z której wyjął jakąś karteczkę. – Tu masz adres biura, do którego zgłosisz się o osiemnastej. Ani wcześniej, ani później. O osiemnastej, kapujesz?

– Jasne! – zadudnił tym razem Adam.

– Wyszedłem stamtąd o dziesiątej, więc pół godziny mam w plecy. Ale niech tam! Ważne, że mnie od tego uwolniłeś. Płacą trzynaście złotych za godzinę bycia pszczołą. Za osiem godzin dostaniesz sto cztery złote. Pasuje?

– Pasuje. Ale nie będą mnie pytać o nazwisko i tak dalej?

– Będą. Powiesz, że nazywasz się Karaś. Filip Karaś. Wtedy wyplacą ci

kasę. Lecę, koleś!

– Zaraz! Co ja mam robić jako pszczoła?

– Nic. Łazić po ulicach. Na plecach i na brzuchu masz wszystko napisane.

Cześć!

– Cześć...

Adam przez chwilę stał oszołomiony. Nie jest tak źle – myślał. – Ostatecznie mogę chodzić osiem godzin po ulicach. Przynajmniej zarobię na kolację.

Około południa zrobiło się upiornie gorąco. W wielkim pszczelim łbie nie było czym oddychać. Starał się chodzić blisko budynków, które dawały trochę cienia.

– Zobacz, pszczołka! – wołały zachwycone mamusie do swoich dzieci. – Przywitaj się z pszczołką!

Zatrzymywał się, podawał wielką czarną łapę, kiwał wielkim żółtym łbem, pozwalał się dotykać, a niekiedy nawet szarpać za skrzydełko. Na szczęście nie musiał się uśmiechać. O piętnastej pot spływał mu z czoła strugami. Był przeraźliwie głodny i dużo dałby za kawałek suchej bułki i łyk wody. Pół godziny przed osiemnastą postanowił opuścić stanowisko pracy i odnaleźć biuro. Błądził i kluczył, w rezultacie wpadł do biura w ostatniej chwili.

– O, jest ostatnia pszczoła – usłyszał czyjś głos. – Nazwisko?

Jak on się nazywał? – gorączkowo usiłował przypomnieć sobie nazwisko chłopaka. – Jakaś ryba, ale jaka?

– Hej, ogłuchłeś? Jak się nazywasz?

– Filip. Filip Leszcz – rzucił szybko.

– He, He! Żartowniś. Ściągnij to z siebie i połóż tam, na stosie.

Adam z ulgą pozbył się stroju pszczoły i otarł pot z czoła.

– Podpisz tu. – Mężczyzna, którego teraz dopiero mógł dokładnie zobaczyć, postukał długopisem w miejsce, gdzie należało złożyć podpis. Adam przeczytał, że jako pszczoła nazywa się Filip Karaś.

– Jutro też pracujemy? – zapytał mężczyzna.

– Pracujemy – zdecydował Adam i z pierwszymi ciężko zarobionymi pieniędzmi opuścił biuro.

Po drodze do domu wstąpił do sklepu i zrobił zakupy. Mimo męczącego dnia miał doskonały humor. Mina zrzędła mu dopiero po spotkaniu Toffi w drzwiach mieszkania. Była wściekła.

– Zwariowałaś?! Wychodzisz rano, mówiąc, że zaraz wracasz, i znikasz na cały dzień! W dodatku nie odbierasz telefonu!

– Dzwoniłaś? – zapytał głupio.

– Owszem. Jedenaście razy!

No tak, przez pszczeli łeb nic nie było słyhać.

– Nie będę pytać, gdzie byłeś, bo w gruncie rzeczy nic mnie to już nie

obchodzi.

– Toffi, uspokój się. Pozwól mi wyjaśnić...

– Szkoda, że wcześniej nie przyszło ci to do głowy. Teraz nie chcę słuchać żadnych wyjaśnień.

– Masz rację, to moja wina. Powinienem cię zawiadomić, że wrócę dopiero wieczorem. Przepraszam.

Toffi wzruszyła ramionami i założyła słuchawki na uszy, dając Adamowi do zrozumienia, że nie zamierza go słuchać. Wyszedł do kuchni, rozpakował zakupy i zajął się przygotowaniem kolacji. Kiedy nakrył stół, podszedł do Toffi, zdjął słuchawki z jej uszu i pocałował ją w zaczerwieniony na samym czubku kształny nos. Toffi zawsze miała czerwony czubek nosa, kiedy była zdenerwowana.

– Chodź, zapraszam cię na kolację.

– Mam gdzieś twoją kolację – burknęła.

– Toffi, przeprosiłem cię i gdybyś dała mi możliwość wytłumaczenia się, przestałabyś się boczyć.

Toffi wstała niechętnie i obrzuciła wzrokiem stół.

– Skąd to wszystko?

– Zarobiłem! – powiedział z dumą. – Byłem w pracy, dlatego nie miałem możliwości do ciebie zadzwonić.

– W jakiej pracy? – zainteresowała się.

No nie. Na pewno nie powie jej, że łaził cały dzień po ulicy w charakterze gigantycznej pszczoły. Nie zamierza się ośmieszać.

– A, w takiej dorywczej. Nic stałego. Płacą trzynaście złotych za godzinę – odpowiedział zdawkowo.

– Ale co robisz? – chciała wiedzieć.

– To taki... punkt informacyjny. Informuję klientów.

– O czym?

Cholera, nawet nie przeczytał, co pszczoła miała na brzuchu.

– O miodzie – palnął.

– O miodzie?

– No tak. O zaletach miodu.

– Sprzedajesz ten miód? – zapytała nakładając na bułkę plaster wędliny.

– Nie, tylko informuję.

– Aha. I co mówisz o miodzie?

– No, że... że jest zdrowy i w ogóle.

– I co? Ludzie przychodzą do ciebie, żeby posłuchać, a potem zaraz gnają gdzieś po ten miód?

– Nie wiem, czy gnają. Daj spokój. To dorywcza praca, żeby doraźnie zarobić na chleb. Nie ma o czym mówić.

– Jutro też tam idziesz?

- Tak. Chyba tak. Popracuję tam do czasu, aż trafi mi się coś lepszego.
- A co z Julianą?
- Z Julianą?
- No tak, kiedy będziesz jej szukał, jeśli będziesz pracował?
- No cóż. Przeznaczę na to weekendy.
- Jasne – skwitowała i zamilkła, przyglądając mu się z namysłem.

Następnego dnia Adam pojechał wprost do biura.

– O, drugi Karaś. Ten pierwszy już tu był – powiedział mężczyzna wydając mu strój pszczoły. – A ty jak się naprawdę nazywasz? Leszcz? – mrugnął do niego okiem.

Adam podał nazwisko i biorąc strój przeczytał informację zamieszczoną na plecach i brzuchu kostiumu: „Jestem pracowity jak pszczołka. Firma sprzątająca oferuje swoje usługi na terenie miasta Warszawa...” O rany! – pomyślał. – Co ja tej Toffi naopowiadałem!

Wychodząc natknął się na Filipa Karasia, który stojąc tuż przy drzwiach ćmił spokojnie papierosa.

- Widzę, że spodobało ci się, koleś – uśmiechnął się krzywo.

Adam nie odpowiedział. Założył pszczeli łeb i wyszedł na ulicę. Przechadzał się tam i z powrotem, pozwalając na zaczepki dzieci i czasem niewybredne komentarze młodzieży. Był otumaniony upałem i zupełnie odmóżdżony charakterem pracy, jaką wykonywał. Nagle zobaczył ją. Minęła go właśnie w zwiewnej sukience, z opadającymi na plecy włosami i nie zwracając na niego uwagi, poszła szybkim krokiem dalej.

– Toffi – szepnął i zapominając o swoim stroju, ruszył szybko za nią. Obejrzała się i widząc, że wielka pszczoła zmierza w jej kierunku, przyspieszyła kroku. W tym momencie przypomniał sobie, w co jest ubrany. Toffi pod żadnym pozorem nie powinna dowiedzieć się, jaką pracę wykonuje. Odwrócił się i popędził z powrotem, potrącając zdumionych przechodniów. Zatrzymał się dopiero wpadając do miejskiego szaletu. Wszedł do kabiny, zdjął pszczeli łeb i otarł czoło papierem toaletowym. Nad umywalką umył twarz zimną wodą. Kiedy mijał babcie klozetową, ta pokiwała głową.

- Chciało się, co? Dwa pięćdziesiąt – powiedziała i wyciągnęła rękę.

Wysupłał drobne i podał jej mrużąc coś pod nosem. O osiemnastej zainkasował swoje pieniądze i z postanowieniem, że następnego dnia nie będzie pracował jako pszczoła, wrócił do domu.

Toffi obierała cebulę i co pewien czas wycierała oczy rękawem.

- Cześć. Co szykujesz? – zapytał.
- Sałatkę z pomidorów z dużą ilością cebuli – odparła siąkając nosem. – Miałam dziś idiotyczny dzień – dodała.

- Tak? A co ci się przydarzyło? – zapytał, choć domyślał się, o czym chce

mu opowiedzieć.

– Szłam ulicą i nagle bez żadnego powodu zaczęła mnie gonić wielka pszczoła.

– Pszczoła? Matrix mi opowiadasz?

– Tak, pszczoła! Nagle zniknęła i zobaczyłam ją przed sobą. Wyraźnie szła z naprzeciwka, chociaż przed chwilą miałam ją za plecami.

– Przefrunęła.

– Głupi jesteś! Jak mogła przefrunąć, przecież to był człowiek. Kiedy mnie mijał, mijała... zaczęłam ją i kazałam się odczepić. I wtedy ta pszczoła strasznie się wkurzyła i powiedziała, że ta, co mnie goniła, to inny koleś i że jak go dorwie, to mu wleje... No, wiesz.

– Wiem – odparł Adam i wszedł czym prędzej do łazienki.

Postanowił nie pokazywać się więcej w biurze, żeby nie natknąć się na Filipa Karasia. Licho wie, na ile poważnie podejździe do sprawy „prześladowanej” kobiety. Toffi podała kolację i do tematu ulicznych pszczół już nie wrócili.



Adam zbiegł po schodach w radosnym nastroju. Fakt, że nie musi dzisiaj wykonywać idiotycznej pracy, żeby przeżyć kolejny dzień, wyzwolił w nim całe pokłady pozytywnej energii. Obudził się wcześniej i wybrał się na poranny, orzeźwiający spacer. Toffi czytała wczoraj do późna, nie chciał więc jej budzić, pozwalając na odespanie zaległości. Szedł teraz poświstując przez zęby skoczną melodię i obmyślał, jak mógłby spędzić miły wieczór w jej towarzystwie. Mijając kiosk Ruchu zauważył okładkę nowego numeru czasopisma historycznego. Lubił je czytać, więc wysupłał z kieszeni kilka złotych i poprosił o egzemplarz. Zwinął go w rulonik i uderzając nim rytmicznie o nogę, gwizdał dalej swoją melodię. Usmażę naleśniki – myślał – z pysznym, puszystym białym serkiem. I truskawkowo-śmietankową polewą. Toffi będzie zachwycona.

Wracając z przechadzki kupił wszystkie potrzebne artykuły i zadowolony nacisnął dzwonek do drzwi. Toffi widocznie wyszła, bo odpowiedziała mu cisza. Odstawił torbę z zakupami i wydobył klucz. W domu było duszno. Otworzył wszystkie okna i podszedł do lodówki, żeby włożyć do niej ser i śmietanę. Wtedy zobaczył przypiętą do lodówki kartkę:

*Adam, pojechałam do ojca po pieniądze. Zabawię we Wrocławiu kilka dni. Czuj się jak u siebie, do zobaczenia, T.*

Kopnął ze złością krzesło i zaklął pod nosem. Ochota na naleśniki ulotniła się wraz z dobrym nastrojem. Poszedł do pokoju, usiadł w fotelu i sięgnął po czasopismo. Jedynie ono mogło nieco złagodzić jego wściekłość. Przeglądając stronę po stronie zauważył wypisany grubym drukiem temat konkursu: „Miłość z Powstania – Powstanie z miłości”. Przeczytał regulamin i serce zabiło mu mocniej, gdy stwierdził, że nagrody są wysokie. Za pierwsze miejsce organizatorzy obiecywali pięć tysięcy złotych, czyli kwotę odpowiadającą pięćdziesięciu dniom prezentowania pszczelich wdzięków. Bez wahania usiadł do komputera i zastygł nad klawiaturą.

O Powstaniu Warszawskim chyba wszystko już zostało powiedziane – pomyślał Adam i przez chwilę kołysał się na krześle z przymkniętymi oczami. Potem wyprostował się i położył dłonie na klawiaturze. Spod jego palców zaczęły płynąć słowa o miłości do ojczyzny i o rodzącej się miłości między walczącymi w Powstaniu dziewczętami i chłopcami, czego efektem było ponad dwieście pięćdziesiąt zawartych w pośpiechu związków małżeńskich. W ten wyścig do życia

i do szczęścia Adam wplótł zgrabnie informacje o stanowisku Armii Czerwonej w czasie Powstania Warszawskiego, która z rozkazu Stalina czekała na bieg wydarzeń na linii Wisły, pozwalając Niemcom na zdławienie powstańczego zrywu. Nasi sojusznicy nie zamierzali nam pomóc. Gdyby włączyli się w walkę, nie byłoby tylu poślubnych nocy w zbiorowych mogiłach.

Tekst zajął cztery strony, gdzie Adam zawarł mnóstwo faktów, o których niewiele mówiła historia. Przeczytał swoją pracę i przesłał ją na podany adres. Niech się dzieje, co chce. Ostatecznie nic mnie to nie kosztuje – pomyślał.

Teraz bardziej skupił się na nieobecności Toffi i był na nią naprawdę zły. Resztę dnia poświęcił na czytanie ogłoszeń o pracy, ale oprócz kelnerów, kasjerów i operatorów wózków widłowych niczego nie znalazł.

Toffi wróciła w poniedziałek, kiedy Adam miał ostatnie trzy złote w kieszeni. Była w złym humorze. Nawet powitanie wypadło zimno i nieprzyjemnie. Zerwał się z fotela słysząc dźwięk klucza w zamku, ale ona powstrzymała go gestem ręki.

– Postawmy sprawę jasno – powiedziała bez ogródek – mój ojciec nie będzie utrzymywał naszej dwójki. Jeśli chcesz tu mieszkać, weź się za jakąś pracę.

Po tych słowach weszła do sypialni i nogą zatrzasnęła za sobą drzwi. Po chwili otworzyła je, wysunęła głowę i oświadczyła:

– Choć oczywiście wolałabym, żebyś tu nie mieszkał.

Usłyszał ponowne trzaśnięcie. Stał na środku pokoju zaskoczony jej zachowaniem. Dlaczego nie porozmawiała z nim na ten temat? Powiedziałby jej przecież o próbie podjęcia pracy. Powiedziałby nawet o pszczole.

– Toffi, możemy porozmawiać? – krzyknął w kierunku drzwi, ale odpowiedziała mu cisza.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Najrozsądniej byłoby spakować rzeczy i wynieść się stąd. Kocha jednak Toffi i nie zamierza poddawać się tak łatwo. Ale trudno korzystać z gościnności dziewczyny, która wyraźnie tego sobie nie życzy. Mógłby wrócić do Wrocławia, ale dopóki Toffi jest w Warszawie, taka opcja nie wchodzi w rachubę. Chce być blisko niej. Poza tym nie chce być na garnuszku u rodziców. Jest dorosły, skończył studia i ma swój męski honor. Poprosi Toffi o jeszcze jedną noc, a jutro pomyśli, co dalej.

Włożył buty i wyszedł na ulicę. Nie chciał pozostawać w domu, gdzie był niemile widziany. Kupił świeżą gazetę, usiadł na pobliskim skwerku i zaczął przeglądać ogłoszenia o pracy. Wśród licznych anonsów dotyczących pracowników biur obsługi klienta, konsultantów do spraw sprzedaży i rozmaitych menadżerów dostrzegł niewielkie ogłoszenie jednego z muzeów, poszukującego przewodnika na okres wakacyjny. Wyjął komórkę, zadzwonił pod podany numer i umówił się na spotkanie następnego dnia o godzinie jedenastej. Uspokojony nieco, przynajmniej w kwestii podjęcia tymczasowej pracy, wrócił do domu Toffi.



Stała przy kuchennym oknie i bębniła palcami w parapet. Czekwała na wrzątek, bo czajnik był włączony, a na szafce stała przygotowana filiżanka. Adam wyjął drugą i nasypał do niej dwie łyżeczki kawy. Toffi nie obdarzyła go nawet spojrzeniem, ale gdy woda zagotowała się, naląła ją do obu filiżanek, po czym wzięła swoją i ruszyła do pokoju. Adam poszedł za nią i usiadł naprzeciwko niej.

– Czy możemy wreszcie porozmawiać? – zapytał.

– Oczywiście – odparła i odłożyła słuchawki, którymi właśnie miała zamiar odgrodzić się od Adama. – Słucham – powiedziała mało zachęcająco.

– Powiedzmy, że rozumiem twoje zachowanie – zaczął. – Jesteś wkurzona, bo skończyły się nam pieniądze. Nie mówiłem ci o tym, ale od dłuższego czasu usiłuję znaleźć pracę, która pomoże nam przetrwać okres, kiedy zajmujemy się poszukiwaniem Juliany.

– Nie musisz tu być – prychnęła i wydeła usta. – Zresztą nie będę już szukać Juliany – dodała. Była naprawdę niesympatyczna.

– Muszę tu być, ponieważ ty tutaj jesteś – powiedział twardo.

– Jestem tu tylko dlatego, że ty zamieszkałeś u mnie. Nie obchodzi cię, że teraz może wolałabym chodzić po górach albo pływać się w morzu? Możesz sobie siedzieć w dusznej Warszawie przez całe lato, ale czy nie rozumiesz, że ja nie mam na to najmniejszej ochoty?

– Przecież nie masz pieniędzy.

– Już mam – zauważyła z nutką satysfakcji w głosie.

– Rozumiem, Toffi. No cóż. Możesz jechać, jeśli chcesz.

– Zwariowałeś?! – oburzyła się. – Nie pytam cię o zdanie! Zrobię to, co będę chciała. Jestem tu tylko dlatego, że ty...

– Nie musisz tego powtarzać. Dobrze, wyprowadzę się. Jutro już mnie tu nie będzie – powiedział spokojnie.

Spojrzała na niego, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale zrezygnowała. Podniosła się z zamiarem opuszczenia pokoju.

– Toffi – zatrzymał ją – a co będzie z naszą miłością?

– Z jaką miłością? Czy tu była jakakolwiek miłość? – prychnęła i wyszła do sypialni.

Tej nocy Adam spał na kanapie w pokoju. Nawet nie próbował rozmawiać z Toffi, widząc, że nie zdoła uratować czegoś, co wymyka mu się z rąk. Wypowiedziane lekko słowa Toffi legły ciężarem na jego sercu i nie pozwalały nawet na moment o sobie zapomnieć. W rezultacie wstał bardzo wcześnie, zmęczony i w kiepskim nastroju. Z szafki wyjął plecak i swoje ubrania. Z łazienki zabrał szczoteczkę do zębów i przybory do golenia. Rozejrzał się po pokoju i ruszył w kierunku sypialni, by pożegnać się z Toffi. Uchylił lekko drzwi. Toffi spała. Ramiona swoim zwyczajem rozrzuciła nad głową. Włosy zasypywały jej twarz. Adam z trudem oparł się pokusie, by je odgarnąć i pocałować Toffi w lekko

rozchylone usta. Tak zwykle ją budził. Dziś nie miał już do tego prawa. Zamknął cicho drzwi i usiadł na najbliższym stojącym krześle. Coś ścisnęło go za gardło, mocno, boleśnie. Westchnął spazmatycznie i pozbierał wszystkie siły, żeby nie rozbeczeć się jak dziecko, bo postanowił być twardy. Sprawdził w komputerze najprostszy dojazd do muzeum, gdzie umówiony był na spotkanie. Zapisał numery autobusów i odruchowo otworzył swoją pocztę. To, co zobaczył, na chwilę odjęło mu mowę.

Redaktor naczelny czasopisma historycznego po przeanalizowaniu jego pracy konkursowej zaprasza go na spotkanie w trybie pilnym. Z dalszej części pisma wynika, że spotkanie miałyby się odbyć dzisiaj, o godzinie dziesiątej. Jeżeli Adam z jakiegoś powodu nie mógłby przybyć, proszony jest o zaproponowanie innego terminu.

Adam na wolnym skrawku kartki zanotował adres redakcji i zamknął komputer. Co się mogło stać? Czyżby napisał coś, czego nie powinien napisać? Wydawałoby się, że czasy cenzury już minęły.

Zerknął na zegarek. Była dopiero ósma. Nabazgrał na kartce słowa podziękowania dla Toffi i wetknął ją w drzwi sypialni. Złapał plecak, drzwi wejściowe zamknął na klucz, który na dole wrzucił do skrzynki na listy. Wraz z nim zostawił tu najszczęśliwsze chwile z Toffi. Na ulicę wyszedł ze ściśniętym sercem. Nie miał pojęcia, czy spotka ją jeszcze, czy dane mu będzie patrzeć na nią, dotykać, kochać.

W redakcji pojawił się trzy minuty przed czasem. Pani, którą spotkał w korytarzu, zapytała go o nazwisko, po czym oświadczyła, że bardzo się cieszy. Powód jej radości poznał już po kilku minutach w gabinecie redaktora naczelnego, gdzie wprowadziła go sekretarka.

– Witam, panie Adamie – zagrzmiął naczelny i Adam stwierdził w duchu, że głos pasuje do jego niedźwiedziej postury. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Adam usiadł na wskazanym miejscu. – Drogi panie – zaczął jowialnie – nie miesza mi się wprawdzie do wyników konkursu, do tego powołani są jurorzy, jednak po przeczytaniu pańskiego tekstu, urzeczony jego stylem, poletem i pańską wiedzą historyczną, pragnę zaprosić pana do współpracy w naszym niewielkim zespole redakcyjnym. Oczywiście przez pierwszy miesiąc pracowałby pan jako stażysta. Co pan na to?

– Panie redaktorze, bardzo mnie pan zaskoczył... – zaczął Adam.

– Potraktujmy to jako swoistą rozmowę kwalifikacyjną – roześmiał się redaktor. – Dziennikarz powinien być przygotowany na zaskakujące sytuacje.

– Nie jestem mieszkańcem Warszawy, przyjechałem tu na kilka dni. Propozycja jest kusząca, ale nie mam mieszkania – zastanawiał się głośno Adam.

– A cóż to za problem? Mieszkanie można wynająć na każdym rogu.

– No i skończyły mi się pieniądze – westchnął.

– I to jest właśnie sedno sprawy – zatarł ręce naczelny. – Jak nie ma pieniędzy, trzeba iść do pracy! Wypłacimy panu, nazwijmy to, zaliczkę. Będzie pan miał pieniądze na zagospodarowanie się. Zgoda?

– Zgoda! – ucieszył się Adam i pomyślał, że natychmiast zadzwoni do rodziców z informacją, że zostaje w Warszawie.

Redaktor naczelny dał Adamowi czas do poniedziałku. Od nowego tygodnia miał rozpocząć staż w redakcji czasopisma historycznego. Otrzymał kilka formularzy do wypełnienia, niewielką zaliczkę i udał się na kolejne spotkanie. Okazało się, że w muzeum potrzebują przewodnika na weekendy we wzmożonym okresie wakacyjnym. Zarobek niewielki, ale tu z kolei Adam miał szansę na otrzymanie pokoju służbowego w jednym ze skrzydeł gmachu muzeum. Mógł korzystać z niego do końca września. Zgodził się bez wahania. Podpisał jakieś dokumenty i otrzymał klucz do pokoju, w którym natychmiast mógł się zadomowić. Trudno mu było uwierzyć, że wszystko potoczyło się tak gładko. Jedynie świadomość, że nie może podzielić się swoim szczęściem z Toffi, kładła się cieniem na jego radości.

Pokój był niewielki, ale wystarczający na jego potrzeby. Grube ściany ze starej cegły znakomicie chroniły przed upałem. Małe okienko znajdowało się we wnęce, a jego parapet, pod który wsunięte było krzesło, najwyraźniej służył za biurko. W lewym rogu był mały aneks kuchenny, wyposażony w szafkę, na której stała dwupalnikowa kuchenka elektryczna, zlewozmywak i niewielka lodówka. Przymocowany do ściany blat, pełnił rolę stolika. Po przeciwległej stronie znajdował się tapczan z nocną szafką i szafa na ubranie. Łazienka była na korytarzu. Adam usiadł na brzegu tapczanu i rozejrzał się z zadowoleniem po swoim królestwie. Sięgnął po telefon i wybrał numer matki.

– Halo – usłyszał w słuchawce spokojny głos.

– Dzień dobry mam – powiedział – nie miałem wprawdzie takich planów, ale zostaję w Warszawie na dłużej. Dostałem tu pracę i...

– Mieszkaś z nią, to znaczy z tą dziewczyną? Z Toffi? – przerwała mu matka.

Adam zawahał się.

– Nie, już nie – odpowiedział. – Mam pokój służbowy. Mogę tu zostać do października.

– Co to za praca? – zmieniła temat.

– W redakcji – powiedział z dumą.

– To pięknie – pochwaliła go. – Powiem o tym ojcu, będzie zadowolony.

– Na razie będę stażystą, a potem zobaczymy.

– Będzie dobrze, zobaczysz. Wpadnij na weekend, opowiesz nam szczegóły i zabierzesz trochę ubrań, pościel, jakieś ręczniki. Przecież ty tam nic nie masz – zatroskała się.

– Nie mogę – odparł. – W weekendy pracuję w muzeum. Dzięki temu mam pokój – wyjaśnił.

– No cóż, w takim razie będziesz chyba musiał podać mi swój adres. Prześlę ci te rzeczy kurierem.

– Dobrze – zgodził się. Wymienili jeszcze kilka uwag i zakończyli rozmowę.

Przez chwilę trzymał słuchawkę w dłoni. Kusiło go, żeby zadzwonić do Toffi, usłyszeć jej głos. Może przeszła jej złość i zechce, żebym do niej wrócił? – pomyślał z nadzieją. Jednak wspomnienie wczorajszej rozmowy powstrzymało go przed próbą kontaktu z dziewczyną.

Zaparzył mocną kawę i popijając ją małymi łykami zastanawiał się, jak mógłby wykorzystać resztę tygodnia. Był wtorek. Pracę w muzeum rozpoczynał w sobotę, natomiast w redakcji dopiero w poniedziałek. Teraz powinien wrócić do poszukiwań Juliany, ale od czego zacząć? Wyjazd na Warmię nie przyniósł nic nowego. Postanowił udać się ponownie do Konstancina i wydobyć więcej informacji z pana Włodzia i jego żony. Na myśl o tym, że Toffi nie będzie mu towarzyszyć, ogarnął go smutek. Nie odważył się jednak zaprosić jej na wycieczkę. Powiedziała przecież, że Juliana już jej nie interesuje.

Nazajutrz wczesnym rankiem wsiadł do podmiejskiego autobusu. Podróż nie trwała długo, a dom sympatycznego małżeństwa odnalazł bez trudu. Nie zdążył jednak dotrzeć do furtki, gdy ujrzał panią Wandzię kroczącą z dużym wiklinowym koszem. Za nią podążał pan Włodzio, ciągnąc za sobą torbę na małych kółeczkach. Wyraźnie zmierzali po jakieś większe zakupy.

– Dzień dobry – przywitał ich niepewnym głosem. – Widzę, że państwo wychodzą, a ja chciałbym zamienić jeszcze parę słów...

– A, dzień dobry – rozpromieniła się na jego widok Wandzia, a jej mąż przyśpieszył kroku, by nie uronić ani jednego słowa.

– Dzisiaj środa, idziemy na targ – powiedział wyciągając do Adama rękę, którą ten serdecznie uściśnął. – U nas tylko w środy i w soboty można kupić świeże warzywa i owoce.

Widząc zawiedzioną minę gościa Wandzia zaproponowała:

– A może wybierzesz się z nami? To duży targ, jest na co popatrzeć. Potem wrócimy i spokojnie porozmawiamy.

– Dobrze – zgodził się Adam, bo perspektywa długiego oczekiwania pod domem nie była zachęcająca.

Szli szeroką asfaltową aleją usłaną sosnowymi szyszkami. Wzdłuż drogi ciągnęły się wysokie parkany i nieco niższe płoty, zza których wyglądały fragmenty domów i pięknych reprezentacyjnych willi. Włodzio podążył za spojrzeniem Adama, który przyglądał się budynkom z niekłamanym podziwem.

– Perełki, co? – powiedział z dumą, jakby sam był ich twórcą. – Szkoda, że

tak dużo ich niszczeje. A gdzie ta ładna dziewczyna, co była tu ostatnim razem? – zmienił nagle temat. – Nie mogła przyjechać? – zapytał.

– Nie mogła – bąknął Adam i zamilkł.

Wandzia widocznie wyczuła coś w głosie Adama, bo zerknęła na niego z ukosa, a potem zaczęła mówić szybko, zręcznie omijając przykry dla niego temat.

– Sezon ogórkowy w pełni, trzeba ogórki na małosolne nastawić. Kupimy, Włodziu?

– Kupimy, Wandziu, kupimy – powiedział jak do dziecka, które domaga się lizaka na patyku.

– I wiśnie na konfitury. Zimą do herbaty będą jak znalazł.

– E tam, na konfitury. Lepiej nalewkę zrobić. Herbatę zimą pije się z rumem, a nie z konfiturą – sprostował po swoim.

– Dobrze Włodziu, zrobimy nalewkę – odparła ugodowo. – Pomidory to chyba weźmiemy malinowe, co? Jak myślisz?

– Dobrze Wandziu, malinowe – powiedział i uśmiechnął się do Adama. – Innych nie jem, nie lubię – wyjaśnił.

Adam jeszcze przez chwilę przysłuchiwał się ich rozmowie, po czym pograżył się we własnych myślach. Zastanawiał się, co teraz robi Toffi i z kim wyjedzie na wakacje. Bo o tym, że nie sama, był przekonany. Prawdopodobnie ktoś nowy pojawił się w jej życiu, skoro chciała tak szybko się go pozbyć.

– A ty lubisz botwinkę? – dobiegł go nagle głos Wandzi.

– Lubię, bardzo lubię – powiedział i natychmiast poczuł w nozdrzach apetyczny zapach.

– To w takim razie zrobię ją na obiad. Musimy Włodziu kupić młode buraczki.

Już z daleka słyhać było muzykę. Przy wejściu na targowisko „Supergrajek” – jak głosiły odręcznie nabazgrane napisy na papierowej czapce śmiesznego jegomościa – przygrywał na harmonijce, przyklękając przed starszymi niewiastami i domagając się grosza.

– Do grobu pani nie weźmie – zachęcał. – Taka bogata, ale biednemu nie da! – kwitował, gdy odmawiały i głośno intonował: „a wszystko te czarne oczy...”

Dźwięki akordeonu spletały się z etniczną indiańską muzyką serwowaną przez niskiego człowieka o egzotycznej, peruwiańskiej urodzie.

Na targu ludzie tłumnie przepychali się między rzędami straganów. Kupić tu można było dosłownie wszystko: buty, grabie, spławiki, ciastka, a nawet stół i kanapę. Oczywiście między tymi różnościami królowały świeżutkie warzywa i poukładane w skrzynkach owoce. Jakiś mężczyzna stojący z boku szeptał tajemniczo: „papierosy, papierosy”, oferując widocznie towar z przemytu. Człowiek na wózku inwalidzkim donośnym głosem prosił o wsparcie. „Dego dego” – wołał jękliwie, co pewnie w jego kalekim języku miało znaczyć: „dla głodnego”.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, pewnie był stałym elementem straganowego krajobrazu. Kobieta siedząca na odwróconym do góry dnem wiadrze zapraszała do zakupu martwej, sonej kury, która wczoraj zapewne biegała jeszcze po podwórku. Wandzia przebierała w kapuście i pęczkach koperku, targowała się o jajka i soczyste gruszki. Adam rozglądał się ciekawie. Kiedy torba na kółkach przestała się domykać, Wandzia dała hasło do odwrotu. Przepychali się między ludźmi do wyjścia. Adam kupił dla siebie kilka pomidorów i cebulę. Już cieszył się na smakowitą kolację. Po powrocie do domu Wandzia zniknęła w kuchni, Włodzio zaś sięgnął do zakamarka, skąd wyjął butelkę śliwownicy.

– Chłapniemy po jednym za miłe spotkanie, co? – mruknął do Adama okiem i przełknął ślinę. – Póki Wandzi nie ma – dodał konspiracyjnie. Wypili po kieliszku, po czym Włodzio nalał sobie drugi i sprawnie go opróżnił. Dopiero teraz usiadł na kanapie.

– No, opowiadaj, czy udało ci się czegoś dowiedzieć. Znaleźliście tę kobietę?

– Julianę? Nie. Zgubiliśmy trop. I dlatego właśnie jestem tu dzisiaj. Może państwo przypomnieli sobie coś jeszcze? Może ten Stasio jeździł również w inne miejsca, nie tylko na Warmię? – zapytał z nadzieją Adam.

– Z tego, co wiem, to przede wszystkim na Warmię. Warmia przecież duża, miał tam co robić. W jakiej okolicy szukaliście? – zadał pytanie Włodzio rozglądając się nerwowo. W jego głosie zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie. Po chwili wstał i sięgnął po śliwownicę.

– W okolicach Nidzicy, Grunwaldu – odparł Adam przyglądając się, jak Włodzio odkręca butelkę i drżącą ręką stara się nalać alkohol do kieliszka.

– Ach, Grunwaldu – rzekł rozkojarzony i opróżnił kieliszek. – Wtedy miał jakąś przygodę. Nie chciał za bardzo opowiadać, ale jak tam jeździł, mało do rozwodu z żoną nie doszło. Zakochał się biedaczysko nieszczęśliwie i nie mógł znieść, że kobieta jego amory odrzuca. Ambitny był. Ambitny – powtórzył i wypił kieliszek.

– A gdzie miał tę przygodę? Na Warmii?

– Czy na Warmii, to nie wiem. Ale zakochał się po uszy i nic z tego nie wyszło.

– A dokąd jeszcze jeździł? – chciał wiedzieć Adam, nie bardzo zainteresowany romansami Stasia.

– Dokąd? Czy ja wiem... – Włodzio ukrył śliwownicę i kieliszki za kanapą i zawołał w kierunku kuchni: – Wandzia! A dokąd jeszcze Stasio jeździł użerać się ze znachorami?

Wandzia stanęła w drzwiach z kraciastą ściereczką w rękach.

– Piłeś – stwierdziła i skrzywiła się z obrzydzeniem. – Już ja znajdę te twoje kryjówki i wszystkie butelki powyrzucam – zagroziła, po czym dodała: – Gdzieś

koło Kłodzka bywał. Kamienica? Jakoś tak to miejsce się nazywało – poinformowała i przy okazji upomniała Włodzia: – Nie pij tyle, na wątrobę ci szkodzi. Potem będziesz jęczał całą noc.

– Jęczał, jęczał – mruknął sięgając za kanapę. – Na coś przecież trzeba umrzeć. Napijesz się jeszcze? – zerknął w kierunku Adama, który odmówił grzecznie:

– Dziękuję. Muszę jakoś wrócić do domu.

– Nie, to nie. Sam sobie poradzę. – Włodzio wylał resztę śliwownicy do kieliszka i odstawił pustą butelkę. – Teraz Wandzia może to sobie wyrzucić – zachichotał złośliwie.

Widać było, że nieco przesadził z ilością i Adam stracił nadzieję na nowe informacje. Zostawił więc Włodzia i zajrzał do kuchni.

– Pojadę już – powiedział patrząc z żalem na parujący garnek – niczego więcej się nie dowiem.

– Ale botwinka... – jęknęła Wandzia – miałeś przecież zjeść z nami obiad.

– Żałuję, ale coś pilnego sobie przypomniałem. Przepraszam – wykręcił się. Nie miał ochoty znosić dłużej towarzystwa pijanego Włodzia i utyskującej Wandzi.

– No, jak tak, to trudno. Może innym razem – uśmiechnęła się ze źle ukrywaną ulgą w głosie.

Adam podziękował i odprowadzony przez gospodynię do drzwi wyszedł na zewnątrz. Za furtką przystanął, wciągnął głęboko pachnące igliwem powietrze i obejrzał się na sąsiedni dom. Jakie tajemnice kryją w sobie mury, w których mieszkała kiedyś Magdalena?



Adam postanowił skorzystać z ostatnich wolnych dni i wybrać się do Kamienicy, którą odnalazł na mapie niedaleko Stronia Śląskiego. Mieszkając we Wrocławiu poznał nieco te tereny jeżdżąc na krótkie, weekendowe wycieczki, najpierw z rodzicami, a potem z grupą znajomych. Kamienicy jednak nie znał i słusznie uważał ją za zabita deskami wieś „tam, gdzie diabeł mówi dobranoc”. Jadąc nie liczył na nic. Nie wierzył, że w jakiś cudowny sposób natknie się na przeszłość Juliany, odnajdzie jej ślady, które poprowadzą go do upragnionego celu. Chciał jednak oderwać się od wciąż nurtujących go myśli o Toffi, uwolnić od jej obrazu pod powiekami, gdy zamykał oczy, od głosu, który słyszał, kiedy zostawał sam. Kłodzko przywitało go purpurą zachodzącego słońca. W okolicach przystanku, gdzie czekał na autobus do Stronia, przewijało się mnóstwo turystów z gigantycznymi plecakami, kryjącymi chyba cały dobytek właściciela. Autobus spóźniał się i ludzie zaczynali tracić cierpliwość. Większość czekających gdzieś się ulotniła i Adam pozostał niemal sam. Obok siedział chłopak w jasnej koszulce i krótkich spodenkach. Pochłonięty lekturą nie zwracał uwagi na nic, co działo się wokół. W pewnym momencie wzdrygnął się i potarł dłońmi ramiona.

– Zimno, cholera – mruknął i spojrzał na zegarek. Potem rozejrzał się nieprzytomnie i zwrócił się do Adama: – Był już autobus do Stronia?

– Nie. Planowo miał być siedemnaście minut temu. Ale nie przyjechał.

– No to już nie przyjedzie – westchnął chłopak i kopnął kawałek ukruszonego betonu. – A to ostatni autobus. Idę. – Zatrzasnął książkę, wstał z ławki i podnosząc na pożegnanie rękę oddalił się szybkim krokiem.

Adam został sam. Nie bardzo wiedział, co ma teraz zrobić. Planował dostać się jeszcze dziś do Stronia, gdzie miał zarezerwowany nocleg.

– Hej! – zawołał za chłopakiem. Chyba nie usłyszał, bo szedł dalej, nie zwalniając kroku. Adam zerwał się z ławki i pobiegł w jego kierunku. – Zaczekaj!

Chłopak obejrzał się i przystanął zdziwiony.

– Nie jedziesz do Stronia? – zapytał Adam zasapanym głosem.

– Czym? Przecież nie ma autobusu.

– Może wiesz, jak tam się dostać?

– Teraz to najlepiej autostopem – odparł.

– Nie jedziesz? – powtórzył pytanie Adam.

– Aż tak bardzo to mi nie zależy. Matka kazała mi odwiedzić babcię. Ale



jak nie ma autobusu, to trudno.

– A ten autostop to gdzie złapać? – zapytał Adam, wnioskując, że chłopak jest miejscowy, więc pewnie wie.

– Wyjdź na wylotówkę. Teraz dużo turystów jeździ. Może ktoś się zatrzyma.

Adam podziękował i ruszył we wskazanym kierunku. Ruch był spory, nikt jednak nie kwapił się, by zareagować na jego machanie. Zrezygnowany podniósł z ziemi plecak i już miał wracać, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Po szosie toczył się tabor. Cygański tabor złożony z pięciu drewnianych wozów ciągniętych przez konie. Adam zamrugał oczami i wyteżył wzrok. Nie mylił się, choć wiedział, że taborów nie ma już od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Wtedy wydano zakaz podróżowania w ten sposób. Teraz jednak zbliżały się do niego drewniane, kryte papą wozy z niewielkimi oknami, malowane w wielobarwne wzory. W górnych rogach pierwszego wozu umieszczono rzeźby smoków. Pojazd minął go, a po chwili konie stanęły zatrzymane wołaniem woźnicy.

– Ty dokąd? – zawołał z kozła gruby Rom w rozpiętej kamizelce.

– Do Stronia – wyjąkał Adam i z trudem powstrzymał się, by nie przetrzeć zdumionych oczu.

– Siadaj! – zawołał Cygan i posunął się na kozle. – Jedziemy w tamtą stronę. Jak chcesz, możesz się z nami zabrać.

Adam nie dał się prosić. Wdrapał się na wóz i zajął miejsce obok woźnicy, który natychmiast zaciął konia i powóz gładko potoczył się po szosie. Chciał o coś zapytać, ale zerknął tylko z ukosa, a widząc, że Cygan zapatrzony przed siebie poświstuje przez zęby jakąś rzewną melodię, dał spokój. Jechali w milczeniu. Koń biegł lekkim truchtem. Ściemniało się i Adam zaniepokoił się, że do Stronia dotrze w samym środku nocy.

– Skąd jesteś? – zapytał nagle Cygan ochrypłym od długiego milczenia głosem.

Adam zawahał się. Właściwie jest wrocławianinem, ale teraz mieszka w Warszawie.

– Z Warszawy – odparł.

– Aha, z Warszawy. Jak bym wiedział, to bym nie zabrał. Nie lubię – splunął i zamilkł.

– Od miesiąca mieszkam w Warszawie. Pochodzę z Wrocławia – sprostował Adam, widząc, że wywarł niekorzystne wrażenie na swoim rozmówcy.

– Warszawa lepiej brzmi, co? Wstydzisz się swojego miasta? A ja mam sentyment do Wrocławia. Mieszkałem tam przez trzy lata. I dobrze było. A z Warszawy znałem takiego jednego. Ścierwo – powiedział z przekąsem i znowu splunął.

– Nie wszyscy są tacy – bąknął Adam, byle coś powiedzieć.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko turkot toczących się po asfalcie kół i stukot końskich kopyt. Adam przyglądał się zaroślom wokół drogi i ścianie lasu tuż za nimi, która ciemniała z każdą upływającą minutą.

– Skąd tabor w dzisiejszych czasach? – odważył się w końcu zapytać.

– Jesteśmy artystami. Śpiewamy, tańczymy, gramy. Dajemy występy po różnych miastach. Pozwolili nam, bo te wozy i konie to element scenografii – wyjaśnił Rom. „Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma” – zanucił i roześmiał się nieprzyjemnie. – Zabrali nam naszą wolność, ot co! Kiedyś mieszkaliśmy w tych wozach. To był nasz dom i nasza swoboda. A teraz w betonowych klatkach każą nam mieszkać i narzekają, że nie umiemy się dostosować. Nie umiemy, bo od zawsze tak wyglądało nasze życie. Wozy, namioty, konie. Niebo nad głową, ziemia pod nogami, przestrzeń, powietrze i ogień. Nasze życie – westchnął i zadumał się.

Koń zwolnił kroku i teraz włókł się leniwie noga za nogą. Adam dyskretnie zerknął na zegarek.

– Śpieszysz się? – zapytał Cygan i śmignął lekko batem. – To nie maszyna, tylko żywe stworzenie. Żal batem chłostać. Zmęczony. Niedługo się zatrzymamy.

– To już Stronie? – zapytał z nadzieją Adam i poprawił się niecierpliwie na koźle.

– A kto powiedział, że jedziemy do Stronia? Mówiłem, że w tamtym kierunku. My zatrzymamy się w lesie. Rozbijemy obóz i tam przenocujemy.

– Rozumiem – mruknął Adam i zerknął na krzaki przy drodze. Przeszedł go dreszcz. Od dłuższego czasu nie przejechał tędy żaden samochód. Będzie musiał iść pieszo ciemną szosą, mijając lasy, które o tej porze dnia nie wyglądały zachęcająco.

Po kolejnych kilku minutach gruby Rom zatrzymał konia i zapytał Adama:

– Wsiadasz? Wjeżdżamy w tę leśną drogę. Poszukamy jakiejś polany, żeby rozbić obóz.

Adam niechętnie zeskoczył na ziemię, podziękował i usunął się na pobocze, by przepuścić pozostałe wozy. Patrzył za nimi tęsknie. Pewnie rozpalą ognisko, będą śpiewać i tańczyć, jak to Cyganie. Potem zasną w przytulnych namiotach, chroniących przed chłodem, wiatrem i nieprzyjaznym mrokiem. Kiedy minął go ostatni wóz, zarzucił na ramię niewielki plecak i powłócząc nogami ruszył przed siebie. Nie uszedł nawet stu metrów, gdy usłyszał za sobą szybkie kroki. Obejrzał się.

– Ej, ty! – zawołał ktoś. – Możesz z nami zostać!

Adam zatrzymał się. Czarny, rozmazany nocą cień zbliżył się i nabral ludzkich kształtów. Był to młody chłopak, szczupły, niewysoki, o przyjemnym głosie.

– Możesz zostać – powtórzył. – Znajdzie się jakieś miejsce do spania.

Ojciec kazał to powiedzieć.

Ponieważ zaskoczony Adam milczał, chłopak zniecierpliwił się:

– To jak? Idziesz czy nie?

– Tak, idę! – zdecydował Adam z ulgą.

Na polanie było dużo Cyganów w różnym wieku. Kobiety, mężczyźni i dzieci. Te starsze zbierały chrust na ognisko, młodsze baraszkowały śmiejąc się i hałasując. Nikt ich nie strofował, mimo że plątały się pod nogami i przeszkadzały w organizacji obozu. Adam pomyślał, że to najbardziej rozpuszczone dzieci, jakie kiedykolwiek widział. Stał z boku, przyglądając się małej cygańskiej społeczności. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy uwijali się jak mrówki. Mężczyźni ustawiali namioty, kobiety paliły ogień i przygotowywały coś w sporym kociołku. Od czasu do czasu wycierały nosy umorusanym Cyganiątkom. Adam zauważył, że nie zwracały uwagi na to, czyje dziecko właśnie podbiegło. Wszystkimi zajmowały się jednakowo. Kiedy ognisko było gotowe i potrawa smakowicie bulgotała w kociołku, wzięły się za urządzenie gotowych namiotów. Wyciągały z wozów kołdry, piernaty i mościły legowiska. Niektóre wygrzebywały dołki przed namiotem i rozpałały w nich ogniska. Zaintrygowany tym Adam podszedł do jednej z nich.

– Nie boicie się palić ognia tak blisko namiotu? – zapytał. – Po co to robicie?

– A żeby ciepło było – odparła Cyganka i przyjrzała się mu z ciekawością.

– A ty skąd tu się wziąłeś?

– Przyjechałem pierwszym wozem.

– Penko cię tu przywiózł. On lubi czasem z miejscowymi się pokumać.

Przynieś no trochę więcej chrustu. Dzieciaki będą tu spały, niech się dobrze namiot nagrzeje.

Adam korzystając z blasku ogniska znalazł sporo suchych gałęzi i całe naręczce rzucił obok namiotu. Cyganka łamiąc je na drobniejsze patyczki ułożyła zgrabne ognisko i podpaliła zapalką.

– Dlaczego nie śpicie w wozach? – zainteresował się.

– Nie ma tam miejsca. Cały dobytek wozimy i jeszcze instrumenty oraz stroje do występów. Chcesz zobaczyć, jak to wygląda? Chodź, pokażę ci.

Podeszli do jednego z wozów i Adam zajrzał ciekawie.

– Ciemno – stwierdził i poszperał w plecaku w poszukiwaniu latarki.

Omiótł światłem wnętrze wozu. Było tu mnóstwo tłumoków, na których można od biedy siedzieć, ale trudno znaleźć miejsce do wygodnego spania dla tylu osób.

– Sam widzisz, że nie bardzo jest gdzie spać. A człowiek musi czasem nogi rozprostować – westchnęła Cyganka. – Chodź, ludzie zbierają się koło ogniska, trzeba coś zjeść.

Adam nieco onieśmielony ruszył za nią, ale zatrzymał się w cieniu, z dala od ognia. Nie chciał wpraszać się na posiłek, na który nie był oficjalnie zaproszony przez Penko, a właśnie jego uznał za głównego gospodarza. Ten jednak wypatrzył go wśród innych i gestem przywołał do siebie.

– Chodź, zjesz z nami – powiedział i zwrócił się po cygańsku do jednej z kobiet, która naląła do miski aromatycznej potrawy i podała ją Adamowi.

Wszyscy jedli z apetytem, zagryzając chlebem. Nawet dzieci uspokoiły się i przestały dokazywać. Niektóre zasypiały w ramionach matek i te musiały odnosić je do namiotów. Po posiłku większość sięgnęła po fajki i papierosy i usadowiwszy się wygodnie, rozmawiała w swoim języku. Młode dziewczyny oddaliły się nieco i chichotały opowiadając coś i żywo gestykulując. Tylko jedna siedziała zapatrzona w ogień, z wyrazem smutku w brązowych, dużych oczach. Świetliste smugi to żółte, to czerwone tańczyły po jej twarzy, włosach, mieniły się w koralach. Adam nie mógł oderwać od niej oczu. Przyćmiewała urodą wszystkie znane mu dotąd kobiety.

– Niedawno została wdową – usłyszał nad sobą głos Penko.

– Wdową? – zdumiał się. – Nie ma więcej niż osiemnaście lat!

– U nas dziewczyny wcześniej wychodzą za mąż. Szesnastolatki bywają już matkami.

– A co się stało z jej mężem?

– Nic się nie stało. Umarł. Romowie też mogą normalnie umierać, nie tylko zadźgani nożem w jakiejś bójce. Bo tak o nas myślicie, prawda? Rzezimieszki i złodzieje. Tak nas widzicie. A tymczasem u was też bandytów nie brakuje, a u nas spokojnych, zwykłych ludzi. Chłopak miał białaczkę. Poszedł do piachu. Florika wspomina go często.

– Florika? To jej imię? Ładne.

– Bo my mamy ładne imiona. Ta, z którą rozmawiałeś, to Donka. A tamta przy drzewie – Ajshe. Jest jeszcze Sara, Violica, Karmen, Cytryna...

– Cytryna?

– A tak. I wcale nie jest kwaśna. Wiem, bo to moja żona. Kiedyś kobiety czerwoną wstążeczkę wiązały na nadgarstkach niemowląt i szeptały do ucha prawdziwe cygańskie imię, bo w urzędach to trzeba podawać imiona takie, jakie są w kraju, w którym mieszkasz. Teraz już nikomu tak bardzo na tym nie zależy. Imię to imię i już.

– Pięknie mówisz po polsku. Opowiedz coś o Romach. O was.

– Mieszkam tu od urodzenia. Poza tym jestem artystą. Mam do czynienia z wieloma ludźmi zajmującymi się kulturą. Po cygańsku prawie nie mówię. Co chciałbyś o nas wiedzieć? Jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, choć nasze tradycje różnią się od waszych. Myślicie o nas źle, bo są tacy, co pracują na tę opinię. Ale i wśród nas znajdziesz porządnych, wykształconych ludzi. Ja skończyłem akademię

muzyczną. A Florika szkołę tańca i baletu. Szkoda tylko, że nikt nie chce przyjąć nas do pracy. To nieprawda, że nie chcemy pracować. Są tacy, co nie chcą, ale ci, co chcą, mają z tym trudności. Cyganów się nie zatrudnia. Dlatego sami założyliśmy zespół, mamy swoje wozy i zarabiamy na życie, jak umiemy.

– Nie uważasz, że jesteście trochę z dala od cywilizacji?

– Zależy kto. My akurat tak, ale celowo zatrzymaliśmy się w miejscu. Takich Cyganów chce oglądać publiczność. Takich z taborami, ze starymi pieśniami, tradycyjnymi tańcami. Romowie są bardzo malowniczy. Może dlatego, że nasi przodkowie pochodzą z Indii. Najstarsi mieszkali tam tysiąc pięćset lat temu. To kawał czasu. Potem rozprzestrzenili się po świecie, także po Europie. Ale nie byli tu przyjęci z otwartymi ramionami. Teraz uważani jesteśmy za ludzi drugiej kategorii. A my staramy się żyć zgodnie z naturą. Obserwujemy przyrodę. Nam nie potrzebne są żadne kalendarze. Wiosna jest wtedy, gdy kwitną jabłonie, jesień, kiedy kopie się ziemniaki. Daty nie są ważne. Mamy też swoje tradycje i przyzwyczajenia, których nie zmienia środowisko, w jakim żyjemy. Kobiety na przykład zajmują się dziećmi, domem. Małżeństwa nadal kojarzone są przez rodziny młodych. Przyjście na świat potomka jest bardzo ważnym wydarzeniem dla całej społeczności. Wszyscy wychowujemy nasze dzieci. Jesteśmy bardzo rodzinni. Bez rodziny Cygan jest nikim. Jak ktoś przeszkobie, może zostać wykluczony z klanu. To największa kara.

– Rozumiem, że wy gracie i śpiewacie. Ty skończyłeś akademię muzyczną. Ale nie wszyscy są przecież wykształceni.

Penko rozejrzał się i skinął na dwóch młodych Cyganów rozmawiających w pobliżu namiotów.

– Ej, Zindelo, Ferka, chodźcie tutaj!

Kiedy podeszli, poprosił:

– Zagrajcie coś. Nasz gość... jak masz na imię?

– Adam.

– Adam – powtórzył. – Adam chce was posłuchać.

Kiedy chłopcy poszli po instrumenty, Penko powiedział z dumą:

– Grają i śpiewają ze słuchu. My wysysamy to z mlekiem matki. Muzyka towarzyszy nam wszędzie. Na weselach i pogrzebach, podczas czuwania przy zmarłych, śpiewamy wieczorami, kiedy odpoczywamy po całym dniu. I tańczymy. Dużo tańczymy. To nas jednoczy, uczy wspólnoty. Posłuchaj – dodał, gdy młodzi muzycy wrócili z instrumentami.

Kiedy zaczęli grać, Penko zaśpiewał. Miał mocny, przyjemny głos. Powoli zaczęli schodzić się inni. Przystawali, dołączali do śpiewu, niektórzy przynosili swoje instrumenty – gitary, akordeony, flety. Kilkunastoletni chłopak wyjął z kieszeni grzebień i zagrał na nim piękną, rzewną melodię.

– To o wędrowaniu – powiedział Penko – o naszym wędrowaniu,

o wolności.

Śpiewali już wszyscy, poza smutną dziewczyną patrzącą w ogień. W pewnej chwili Penko szepnął coś do Zindelo. Tamten uśmiechnął się i zaintonował jakąś żywą piosenkę. Dołączyły instrumenty, dziewczyny uderzały w tamburyn. Nagle smutna dziewczyna wstała i zaczęła tańczyć. Jej ciało było elastyczne i gibkie, jakby pozbawiona była kości. Adam patrzył zachwycony.

– To piosenka, którą najczęściej śpiewał Gunnar, jej mąż – wyjaśnił Penko.

Po chwili do tańca włączyli się prawie wszyscy. Pojawił się alkohol i szklanki. Rozochocony Adam dołączył do wspólnej zabawy. Starał się zbliżyć do Floriki. Podobała mu się bardzo, za bardzo.

– Nie trać czasu, nie uda ci się – szepnął ktoś, a może tak mu się tylko wydawało.

Miał ją w zasięgu ręki, gdy usłyszał skrzekliwy głos tuż przy uchu;

– Cyganka prawdę ci powie, szczęście niedaleko, ale musisz, kochany, od Cyganki dowiedzieć się, gdzie masz swojego szczęścia szukać.

– A gdzie mam szukać? – zapytał głośno i z przerażeniem stwierdził, że jego język stał się nieposłuszny, a głos bełkotliwy.

Stara Cyganka w długiej, falbaniastej spódnicy złapała go za lewą rękę i pociągnęła do ognia. Tam w blasku płomieni przyjrzała się jego dłoni.

– Szukaj nie tu, a wśród swoich. Tam czeka cię miłość, choć ty myślisz, że wszystko straciłeś. Ona cię kocha, choć sama o tym nie wie.

– Ale Florika... – zająknął się.

– Florika! – zaśmiała się nieprzyjemnie Cyganka. – Ona nie dla ciebie! Wracaj do swojej! – rzuciła i odwróciła się energicznie, aż kwiecista chusta zafurkotała na jej ramionach.

– Zaczekaj! – zawołał za nią Adam. – Możesz mi jeszcze coś powiedzieć?

Cyganka spoważniała i przyjrzała mu się uważnie.

– Chodź – powiedziała tylko i pociągnęła go za sobą.

Znaleźli się w ostatnim wozie, gdzie muzyka prawie nie docierała. Stara Cyganka zapaliła naftową lampę i postawiła ją na ciężkiej skrzyni. To wnętrze wyglądało inaczej niż wóz, który pokazała mu Donka. Był tu kąt do spania, a w rogu stała umocowana do podłogi kuchnia. Ścianę zdobiła płaskorzeźba przedstawiająca dwa splecione węże. Cyganka wyciągnęła do Adama dłoń i spojrzała na niego znacząco.

Wyjął z kieszeni banknot i podał jej. Uśmiechnęła się ledwo podnosząc kąćki ust.

– Siadaj – poleciła i wskazała mu miejsce na desce umocowanej wzdłuż wozu. – Co chcesz wiedzieć? – zapytała poważnie.

– Mówiłaś, że mnie kocha, że jej nie straciłem. To prawda?

– Prawda. Nie możesz tego zmarnować. Porozmawiaj z nią. Nie unos się

honorem. Jesteś w jej myślach i sercu.

– Na pewno ja? Nie ma innego?

– Może ma. Ale go nie kocha. Jeśli nie pojawisz się w porę, może o tobie zapomnieć.

– Skąd o tym wiesz? Przecież nawet jej nie znasz.

– Moja wiedza to telepatia, psychologia i obserwacja. Niekiedy hipnoza. Zaufaj mi. Niejednemu pomogłam i niejednego ostrzegłam.

– Co wiesz o mnie?

– Jesteś zagubiony. Sam. Szukasz kogoś. Kobiety. Tu jej nie szukaj. Nigdy tu nie była. Ale otarłeś się o nią. Jeden raz. Była bardzo blisko.

– Gdzie?

– Tego nie wiem. Szukaj w miejscach, gdzie byłeś.

Cyganka sięgnęła za dekolt, skąd wydobyla skórzany woreczek. Wysypała jego zawartość na dłoń i spośród drobiazgów wybrała kamyk wielkości paznokcia.

– Weź to – powiedziała.

– Co to jest? – zdziwił się.

– Amulet. Odstrasza demony.

– Demony?

– Tak. Nosisz w sobie czyjąś śmierć. Miej to zawsze przy sobie, dobrze ci radzę. Jeśli zgubisz, duch się ośmieli. Będzie cię nękać.

Cyganka oparła się o ścianę wozu i odetchnęła głęboko, przymykając oczy.

– Idź już, idź. Muszę pomyśleć.

Wyszedł po drewnianych schodkach, zamykając za sobą drzwi. Chłodny wiatr przyłgnał do policzków, zmierzwił włosy. Przeszył go zimny dreszcz. Szybkim krokiem ruszył w stronę ogniska, gdzie było znacznie cieplej. Wszyscy bawili się w najlepsze. Kamień od Cyganki ukrył głęboko w kieszeni, choć nie przywiązywał do niego większej wagi. Ot, cygańskie gusła. Z daleka dostrzegł Florikę. Tańczyła potrząsając ramionami i nadgarstkami. Wyglądała jak smukła brzoza drżąca na wietrze. Adama ogarnęła fala gorąca. Pragnął jej. Za wszelką cenę. Stary Cygan siedzący na kamieniu podał mu butelkę. Pociągnął solidny łyk, nie dbając o szklankę. Otarł usta wierzchem dłoni i ruszył w kierunku Floriki. Nie mówiąc nic, podszedł blisko i popchnął ją lekko przed sobą. Była tak zdziwiona, że szła posłusznie, nawet się nie odwracając. Zatrzymała się dopiero przy pierwszym wozie.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Ciebie – odparł i sam siebie nie poznawał. – Chcę ciebie.

– Jesteś pijany – stwierdziła, odwracając z niesmakiem głowę.

– Nie jestem. Rozumiesz? Nie jestem pijany! Jestem zauroczony, zafascynowany, zamroczony! Chcę ciebie! – Złapał ją za ramiona i potrząsnął mocno. Chusta Floriki zsunęła się na ziemię, odsłaniając jej gładkie ramiona.

Włosy, podtrzymywane dotąd przez spinkę, rozsypały się wokół twarzy. Z błyskiem w oczach nie wróżącym nic dobrego szarpnęła się dziko. Wyglądała zjawiskowo.

– Zostaw! – krzyknęła. – Przybłęda! Wynoś się!

– Florika – syknął przez zęby. – Pragnę cię. Zrozum, Florika... – Przygarnął ją mocno i przez ubranie poczuł jej krągłe kształty. – Jezu, dziewczyno... Proszę!

– Odczep się! Nie dla psa kiełbasa! Puść! – Z wysiłkiem oderwała od siebie jego ręce i uciekła poprawiając po drodze rozwichrzone włosy. – Powiem Penko! – zawołała jeszcze, oglądając się na niego.

– A mów – szepnął zjadliwie. – Mów! Cholera!

– Penko będzie zły – usłyszał nagle skrzeczący głos. – I po co ci to było? Mówiłam, Florika nie dla ciebie. Duch Gunnara jeszcze jej nie opuścił. Będzie kąsała każdego, kto się do niej zbliży. Ech, mężczyźni...

Stara Cyganka powlokła się w stronę ogniska, mamrocząc coś pod nosem. Adam wszedł do wozu i nakrył się jakąś porzuconą derką. Zasnął natychmiast.

Obudził go śpiew ptaków. Wstał, doprowadził do porządku ubranie i wyszedł z wozu. Ognisko dogasało, smużki dymu unosiły się ku niebu. Wokół walały się porzucone butelki i resztki jedzenia. Wszyscy jeszcze spali, niektórzy pochrapywali skuleni pod gołym niebem. Adam wołał nie czekać, aż ktoś się obudzi. Pamiętał, co wydarzyło się w nocy i było mu wstyd przed sobą, Floriką i przed Penko. Podniósł plecak i nie oglądając się za siebie, poszedł w kierunku szosy.

Do Stronia dotarł dostawczym samochodem, wiozącym towar do sklepu. Podziękował kierowcy, odnalazł przystanek i poczekał na autobus do Kamienicy. Prawdę mówiąc, nie widział sensu tej podróży. Nie spodziewał się żadnych informacji o Julianie. Może jedynie uda mu się dowiedzieć czegoś o Stanisławie, ale i na to nie miał wielkiej nadziei. Po głowie kołatały mu się wrażenia z minionej nocy, które w zderzeniu z chwilą obecną wydawały mu się snem. Florika... czy rzeczywiście była aż tak piękna? A Toffi? Co Cyganka mówiła o Toffi? Jest z kimś, ale kocha jego. Czy można wierzyć Cygance? Poszukał w kieszeni amuletu i ścisnął go mocno. Czy ten demon to Magdalena? Jeśli zgubi lub wyrzuci kamień, czy duch Magdaleny rzeczywiście będzie go zdręczać?

Autobus był zupełnie pusty. Adam drzemał oparty o szybę. Wysiadł w Kamienicy i ruszył wąską szosą przed siebie. Wzdłuż drogi pojawiały się nieliczne domy. Gdzieś wniebogłosy darł się kogut, z daleka słychać było poszczekiwanie psa. Ludzi tu prawie nie było. Jakaś kobiecina niosła puste wiadro do studni. Na widok Adama zatrzymała się i przyglądała mu się ciekawie.

– Dzień dobry! – zawołał. – Jest tu jakiś zielarz?

– Kto? – zapytała nie rozumiejąc.



– Zielarz. Ktoś, kto zbiera zioła – wyjaśnił.

– A, zielarz – uśmiechnęła się. – Nie ma. Panie, tu prawie nikt nie mieszka. Dalej jest leśniczówka, a na końcu, het, chałupa drwala. Gdzie tu jakiś zielarz? – nadąsała się.

– Tak tylko pytam, bo kiedyś był – mruknął Adam.

– Może i był. Ja nic nie wiem. Tu tylko taki jeden dziwak mieszka. Pustelnik.

– Pustelnik? – ożywił się Adam. – Gdzie?

– A kto go tam wie? W lesie.

– Ale tu wszędzie jest las – stwierdził Adam i spojrzał w górę, gdzie po jednej i drugiej stronie szosy rozciągała się gęsta ściana drzew.

– No to mówię przecież. Kto go tam wie, gdzie on mieszka. Stamtąd wychodzi – pokazała palcem – o, jak ten słup stoi. Tam jest ścieżynka i on stamtąd wychodzi.

– Dziękuję pani – ucieszył się Adam.

– E, nie ma za co. Tyle, co wiem, to powiem – odwróciła się i z pustym wiadrem wróciła do chałupy.

Adam przeszedł przez kładkę nad potokiem i wspiął się na wzgórze. Ścieżka była wąska i prowadziła w głąb lasu. Rozglądał się bacznie, ale po obydwu stronach ścieżki były tylko drzewa. Po przebyciu kilkuset metrów dotarł do sporej polany. Był głodny. Usiadł na stercie gałęzi i wydobył z plecaka słone paluszki. Chrupał je bezmyślnie, patrząc w ciemny punkt między drzewami. Nagle punkt się poruszył i przemieścił kawałek dalej. Adam schował pośpiesznie paluszki i ruszył w tamtym kierunku. Jego oczom ukazał się człowiek w szarej kapocie, z koszykiem w ręku, z którego sterczało jakieś zielsko. Adam podszedł bliżej i uklonił się niepewnie. Nieznajomy rozprostował plecy i zmrużył oczy.

– Szczęść Boże – odpowiedział na powitanie Adama.

Długie włosy i broda utrudniały sprecyzowanie wieku. Był przygarbiony, ale jego głos brzmiał wyraźnie.

– Zabłądziłeś, bracie? – zapytał.

– Nie, trudno tu zabłądzić. Ścieżka prowadziła – odparł Adam. – Pan jest pustelnikiem, prawda?

– Skoro tak mówisz, to pewnie jestem. Sam mieszkam, wokół pusto, to i można mnie tak nazwać – powiedział i schylił się po gałązkę skrzypu. – Dużo tu tego rośnie. Na stawy dobry, żeby w kościach nie skrzypiało. A i na skórę, włosy też nie zawadzi.

– Zbiera pan zioła? Kobieta we wsi powiedziała, że nie ma tu zielarza.

– Skąd może wiedzieć? Tu nikt ze mną nie rozmawia. Mówią, że jestem... – tu wymownie nakreślił palcem kółko na czole. – A zioła zbieram. Wczoraj listki brzozy obrywałem.

– Chodzi pan boso? – zdziwił się Adam, patrząc na jego nogi.

– A boso. Próbowaleś kiedy? Chodząc boso po ziemi nabieramy energii ziemskiej. Uziemiamy się – powiedział ze śmiechem i zaraz spoważniał. – Przyszedłeś specjalnie do mnie?

– Tak. Do pana. Długo pan tu mieszka?

– Czwarty rok.

– A co robił pan wcześniej?

– Co robiłem? Same głupoty robiłem. Szkoda życia. Jak czasem się obejrzę, to żal mi lat, które zmarnowałem.

– Jakie głupoty? Kradł pan? Zamordował kogoś?

– Uchowaj Boże! Bracie! Gdzieżbym mógł kogoś zamordować! Pracowałem, ożeniłem się, dochowałem trójki dzieci. Aż któregoś dnia usłyszałem głos. Wiem, że był to głos Najwyższego. „Porzuć doczesność i pójdź za mną!” – tak powiedział. Porzuć i pójdź.

– I zrobił to pan.

– Zrobiłem. Dla Niego to zrobiłem, bracie. Dla Niego, nie dla siebie.

– I trafił pan tutaj?

– Tutaj.

– Bóg pana tu przywiódł?

– No... można by tak powiedzieć, chociaż niezupełnie.

– Niezupełnie?

– Bo szwagier jest tutaj leśniczym.

– A to dobre! Nie jest więc pan takim prawdziwym pustelnikiem, co to korzonki zajada.

– Korzonków nie jem. Szwagier mi coś tam podrzuca. A ja w zamian modlę się za niego.

– Wróćmy do tematu. Kiedy pan usłyszał ten głos?

– To było cztery lata temu. Usłyszałem głos i skorzystałem z propozycji Pana naszego, amen. – Przekrzyczał się dwukrotnie i wznosił oczy do nieba. – Teraz jestem święty, modlę się i umartwiam.

– Jaki z pana święty. Pan jest wygodny, a nie święty!

– Nie grzesz, bracie. Wyrzekłem się wszystkiego. Przecież ja tu nic nie mam.

– Jak to nic? Ma pan święty spokój, świeże powietrze i żadnych obowiązków. Święty, rzeczywiście – oburzył się Adam.

– A idź do diabła! Jak ci się nie podoba, to po coś tu przyszedł?! – zdenerwował się pustelnik i rzucił koszyk na ziemię.

Adam nic nie powiedział. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku ścieżki uśmiechając się pod nosem.



Pociąg wtoczył się na peron w środku nocy. Adam ślaniając się ze zmęczenia dotarł do domu i runął na posłanie. Przez całą drogę marzył o prysznicu, a teraz nie miał sił podnieść się z łóżka. Zasnął w ubraniu i ciężkich, turystycznych butach. Obudził się parę minut po siódmej, z wrażeniem nieprzyjemnego snu i ciałem zdrętwiałym niewygodną pozycją. Zdjął buty i powłókł się do łazienki. Stał długo pod strumieniem gorącej wody, zmywając z siebie dwudniowy kurz i resztki nocnych koszmarów. Potem owinał się ręcznikiem i zajrzał do lodówki. Świeciła pustkami. Westchnął, ubrał się i wyjrzał przez okno. Było szaro i siąpił drobny deszcz. Wzdrygnął się, sięgnął do szafy po bluzę z kapturem i wyszedł na ulicę. Uderzył go hałas jadących samochodów i smród spalin. Lepkie wilgocią powietrze przylgnęło do włosów i policzków. Wróciło wspomnienie złocistego poranka w cygańskim obozie, gdzie słycać było jedynie wesoly świergot ptaków. W tej chwili wydawało się tylko snem. Ludzie śpieszący się do pracy potrącałi go, mijali obojętnie. Setki twarzy ubranych w maski na użytek czekającego dnia uświadomiły mu jego samotność. Zażęknął boleśnie za Toffi, jej głosem, gdy opowiadała śmieszne historyjki czy pomstowała na rozlane kakao. Teraz nie miał nikogo, kto rozśmieszałby go do łez lub choćby doprowadzał do furii. Wszedł do sklepu i kupił parę bułek, masło i ser. Po chwili wahania wziął wędlinę i zieloną sałatę, która o tej porze wyglądała jeszcze świeżo. Potem automatycznie wskoczył do autobusu jadącego w stronę domu Toffi. Uświadomił to sobie dopiero po kilku przystankach. Fakt ten uznał za zrzęczenie losu i postanowił wysiąść tam, gdzie zawsze, gdy wracał do domu. Tak właśnie nazywał małe, przytulne mieszkanie Toffi. Teraz nie miał domu. Wynajęty pokój nie stwarzał tego klimatu ani poczucia stabilizacji. Deszcz zmienił się w mżawkę. Niebo zasnuę było szarą płachtą chmur. Pogoda nie zachęcała do spacerów i Adam po opuszczeniu autobusu ruszył szybko przed siebie. Chciał choć przez chwilę popatrzeć w okna Toffi, z nadzieją, że mignie w nich znajoma sylwetka. Stał tak może dziesięć minut, w ciągu których nie drgnęła nawet firanka. Zniechęcony i rozczarowany już miał odejść, gdy usłyszał za plecami głos:

– Przepraszam, czy mógłbyś mi pomóc?

Odwrócił się gwałtownie. Tuż za nim stała zmoknięta dziewczyna obładowana licznymi pakunkami. Dwie pękate walizy stały obok czekając na dodatkowe ręce.

– Taksówkarz odmówił wniesienia tego na górę – powiedziała bezradnie.  
– Oczywiście – bąknął. – Gdzie mam zanieść?  
– Zaraz... – Dziewczyna z trudem sięgnęła do torebki, skąd wydobyla skrawek papieru. Przez chwilę czytała, potem zadarła głowę i zmrużyła oczy. – Drugie piętro – powiedziała i obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem.

– Drugie piętro? – upewniał się myśląc o dziwnym zbiegu okoliczności. Na tym piętrze mieszka Toffi. – Drobiazg. Zaraz to zaniesiemy. Pod który numer? – zapytał chwytając za walizki.

– Pod siódemkę.

– Na pewno? – zapytał. – Proszę dokładnie sprawdzić.

– Nie muszę sprawdzać, wiem. Pod siódemkę – odparła nieco zniecierpliwiona. – Wynajęłam to mieszkanie.

– Wynajęłaś? Kiedy?

– Dwa dni temu.

Adam bez słowa podniósł bagaż i zaniósł go na górę. Postawił pod tak dobrze znanymi drzwiami, które jeszcze niedawno otwierał własnym kluczem. Teraz dziewczyna wydobywszy klucz z torebki manipulowała przy zamku.

– Chyba nie będę ci już potrzebny – mruknął odwracając się w stronę schodów.

Nie chciał zaglądać do środka, przywoływać niechcianych wspomnień. Nawet przepowiednie Cyganki nie potrafiły rozniecić w nim nadziei na odzyskanie Toffi.

– Przepraszam, nie chciałabym cię zatrzymywać, ale coś nie tak jest z zamkiem. Nie mogę otworzyć – powiedziała zdenerwowana dziewczyna.

– Może klucz jest wykrzywiony albo wyszczerbiony.

– Chyba nie – patrzyła na klucz z zastanowieniem. – Wygląda na to, że jest w porządku.

– W takim razie powinnaś skontaktować się z właścicielką. Możliwe, że ktoś chciał się włamać i majstrował przy zamku.

– Nie mogę. Ona wyjechała. Nie ma jej w Polsce.

– Nie ma jej w Polsce? – powtórzył i przyjrzał się dziewczynie z niedowierzaniem.

– Nie ma – potwierdziła. – Zostawiła mi tylko numer swojego konta, żebym mogła opłacać mieszkanie.

– A... a kiedy wróci? – zapytał Adam i oparł się plecami o ścianę.

– Skąd mam wiedzieć? Nie spowiadała mi się. Może nigdy. To jak, pomożesz mi?

– Spróbuję – odparł przyjmując klucz, który podała mu na otwartej dłoni.

Wsunął klucz do zamka i próbował go przekręcić. Na dole trzasnęły drzwi. Ktoś szedł szybkim krokiem po schodach. Po chwili usłyszał przyśpieszony

oddech. Obejrzał się i znieruchomiał. Tuż obok stała Toffi. Była wściekła. Przerzucała spojrzenie z Adama na dziewczynę, która przyglądała się jej z zaciekawieniem.

– Co ty tu robisz? – zwróciła się do Adama. – Kto to jest? – zadała dwa pytania naraz, nie dając mu szansy na wyjaśnienie. – Poszukaj sobie innej mety na sprowadzanie panienek. To bezczelność! – dodała. – A ty – obrzuciła dziewczynę pogardliwym spojrzeniem – zabieraj się z tymi bambetłami!

Zarówno on, jak i dziewczyna patrzyli na Toffi niczego nie rozumiejąc. Kiedy sięgała do torebki po klucz na małym, zabawnym breloczku, Adam odzyskał głos.

– Toffi, to jakieś nieporozumienie. Wynajęłaś przecież to mieszkanie.

– Komu wynajęłam, tobie?! – podniosła głos.

– Nie mnie, tylko tej dziewczynie. Dwa dni temu.

Toffi na moment zaniemówiła. Potem podeszła do Adama blisko, tak blisko, że przeszedł go dreszcz, gdy poczuł jej oddech na policzku.

– Nie rób ze mnie idiotki – wysyczała.

Adam spojrział na dziewczynę, która nerwowo poszukiwała świstka papieru z adresem. Po chwili znalazła go, ale zanim zdążyła cokolwiek przeczytać, kartkę wyrwała jej Toffi. Patrzyli na nią w napięciu, gdy odczytywała zapiski.

– To nie tu, tylko dalej! – zawołała z ulgą w głosie.

– Dalej? – zdziwiła się dziewczyna i zajrzała Toffi przez ramię.

– Tu jest numer czterdzieści trzy, a ty... a wy – poprawiła się, a gdy zerknęła na Adama, twarz jej spochmurniała – mieszkacie w budynku numer czterdzieści pięć. Musicie przenieść to wszystko do następnego bloku. – Zerknęła na zegarek. – Mogę wam pomóc.

To mówiąc złapała największy pakunek i ruszyła ku schodom, jakby chciała cały ten incydent mieć już za sobą. Adam schylił się po walizy, a dziewczyna pozbierała resztę bagażu. Tym razem klucz pasował. Toffi wniosła pakunek do środka i z ulgą położyła go na pustej kanapie. Adam wsunął walizki przez próg i czym prędzej się wycofał. Dziewczyna podeszła do niego z uśmiechem.

– Dziękuję. Bez ciebie nie poradziłabym sobie. Jak dobrze, że akurat tam stałeś. I tobie też dziękuję – wyciągnęła rękę do Toffi. Potem zamknęła drzwi.

– Jak to? – bąknęła Toffi patrząc na Adama. – A ty?

– Co ja? Nie znam tej dziewczyny. Poprosiła mnie o pomoc, to wszystko.

– Dlaczego akurat ciebie?

– Bo byłem w pobliżu.

Ponieważ nadal przyglądała mu się, jakby oczekiwała wyjaśnień, dodał ciszej:

– Stałem pod twoimi oknami. Bardzo chciałem cię zobaczyć.

Podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy.

– Naprawdę? Adam, naprawdę chciałeś mnie zobaczyć?

– Tak. Bardzo. – Podniósł dłoń i powoli odsunął kosmyk włosów z jej czoła. – Pragnąłem tego.

– Ja też pragnęłam cię zobaczyć. Przepraszam. Nie chciałam wtedy tak się zachować. Byłam zdenerwowana na ojca.

– Nie mówmy o tym, Toffi. Nawet nie chcę wiedzieć.

– Musisz wiedzieć! Ojciec powiedział, że ostatni raz mi pomaga. Znalazł sobie jakąś nową panią i wcale nie miał ochoty ze mną rozmawiać. Czy wiesz, że sprzedał mieszkanie we Wrocławiu i wyniósł się do Irlandii? Nie obchodzę go. Zupełnie go nie obchodzę! Nigdy się mną nie interesował. Nie chcę go znać.

– Nie mów tak, Toffi, proszę...

– Łatwo ci mówić. Masz kochających rodziców, troszczą się o ciebie. A ja? Wiecznie muszę żebrać o czyjeś uczucia.

– O moje nie musisz żebrać, Toffi.

Podniosła na niego wilgotne od powstrzymywanych łez oczy.

– Kocham cię – powiedział po prostu.

Zachnęła się.

– Kochasz. Chyba nie wierzę w miłość. Chodźmy stąd. Możemy pójść do mnie. Widzę, że masz coś do jedzenia.

Późne śniadanie złożone z tego, co przyniósł Adam, zjedli razem. Potem zasiedli do kawy, której resztki Toffi wysypała z blaszanej puszki.

– W związku z decyzją ojca postanowiłam wrócić na studia do Warszawy – oznajmiła obracając w dłoniach wielki kubek. – Nie ma sensu, żebym studiowała we Wrocławiu, skoro stamtąd wyjechał. Poza tym podjęłam tu pracę.

– Pracę? – zdziwił się Adam. – Naprawdę zaczęłaś pracować?

– A co miałam zrobić? Muszę radzić sobie sama. Znalazłam pracę, która jest dość elastyczna, jeśli chodzi o czas. Mogę pracować, kiedy mi pasuje.

– A cóż to za praca?

– Zostałam agentem w biurze nieruchomości. I wyobraź sobie, szefowa poszła mi na rękę. Nie muszę przesiadywać w biurze. Moim zadaniem jest przede wszystkim prezentowanie domów i mieszkań na sprzedaż lub pod wynajem, a z klientami sama się umawiam, wtedy, kiedy mam na to czas.

– A zarobki?

– Cóż. Zarobki są zależne od prowizji. Na razie nic nie sprzedałam, ale przecież dopiero zaczynam.

– No to powodzenia – powiedział Adam szczerze. Naprawdę życzył Toffi jak najlepiej.

– A ty? Znalazłeś pracę? – zapytała patrząc na niego uważnie.

– Owszem – odparł.

– Nadal jesteś pszczołą?

– Skąd, do licha, wiesz, że byłem pszczołą?! – zdumiał się.  
– Spotkałam twój kolegę. Tego, który chciał ci wlać – oznajmiła z rozbawieniem.

– A, Karaś. Spotkałaś Filipa Karasia?

– Chyba tak, nie przedstawił się. Powiedział tylko, że nie może cię spotkać.

– Możemy o tym nie mówić? Nie jestem już pszczołą. Znalazłem pracę w redakcji. Zaczynam od poniedziałku.

– Świetnie! W takim razie sobotę masz wolną. Jeśli chcesz, możemy się zobaczyć przed południem, bo po południu mam spotkanie z klientem.

– Niestety, przed południem pracuję. W muzeum. W każdy weekend do końca września. Możemy spotkać się wieczorem.

– Jak to spotkać? Myślałam, że nadal będziesz ze mną mieszkał.

Adam przez chwilę milczał, zanim odpowiedział:

– Przykro mi, ale nie. Nie chcę przeżywać po raz drugi podobnej historii z wyprowadzką. Wyrzuciłaś mnie z domu. Nie było to przyjemne.

– Nie przesadzaj. Obiecuję, że już cię nie wyrzucę.

– Nie, Toffi. Miło było razem mieszkać, ale przyznasz, że jesteś nieobliczalna. Nie mam ochoty spać pod gołym niebem, kiedy zmienisz zdanie. Na razie mam wynajęty pokój przy muzeum. Potem się zastanowię, co z sobą zrobić.

– Jak chcesz – westchnęła. – Daj znać, kiedy się namyślisz.

– Dobrze. Na razie nie rozmawiajmy o tym.

Toffi spojrzała na zegarek.

– Adam, muszę lecieć. Jestem umówiona z klientką. Za dwie godziny powinnam być z powrotem. Jeśli chcesz, możesz na mnie poczekać.

– Nie, wrócę do siebie. Umówmy się na niedzielę. O piętnastej, dobrze?

– Dobrze. Przyjedziesz tu?

– Przyjadę.

Wyszli razem. Deszcz rozpadał się na dobre. Rozstali się na przystanku. Adam po drodze wstąpił do księgarni i wybrał kilka książek. Zaplanował spędzić resztę dnia w ich towarzystwie.

W sobotę oprowadził po muzeum dwie wycieczki, potem wybrał się do parku. Po wczorajszej ulewie nie było śladu. Siedząc na ławce zastanawiał się, czy powinien skorzystać z zaproszenia Toffi i ponownie z nią zamieszkać. Jednak wspomnienie dnia, gdy opuszczał jej dom, zniechęciło go do powrotu. Nagle do ławki, podbiegł niewielki pies podobny do spaniela angielskiego. Miał sierść w kolorze wanilii, uszy zaś wyglądały, jakby umoczył je w mlecznej czekoladzie. Piesek rozsiadł się przed ławką, wlepił w Adama okrągłe czarne oczka i zamerdał ogonem. Adam rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł jego właściciela. Pochylił się i poklepał go po kudłatym grzbiecie. Zwierzak jakby na to czekał. Przednie łapki oparł o ławkę i podstawił łepki, z nadzieją na dalsze pieszczoty.

– Ej, skąd się tu wziąłeś? – zapytał Adam i ponownie się rozejrzył. – Z kim przyszedłeś?

Pies zamerdał ogonem i usiadł nie spuszczać z niego oka.

– Idę, przyjacielu – mruknął Adam wstając z ławki. – A ty tu zostań i poczekaj na swojego pana.

Pies zaniepokoił się i również wstał, gotowy do drogi.

– Zostań! – nakazał Adam.

Zwierzak usiadł posłusznie, ale zastrzygł uszami i niespokojnie przestąpił z łapy na łapę.

– Siedź tu. – Adam podniósł wskazujący palec do góry i pogroził nim ostrzegawczo. – Nie idź za mną.

Kudłacz zapisał, ale nie ruszył się z miejsca. Adam zrobił kilka kroków i obejrzał się dyskretnie. Pies pozostał na swoim miejscu. Uspokojony Adam przyspieszył kroku. Był pewien, że za chwilę znajdzie się właściciel i zajmie się swoim pupilem. Szedł w kierunku muzeum poświstując przez zęby. Przed sobą miał całe popołudnie i ciekawą książkę. Po drodze wstąpił do osiedlowego sklepiku po kawałek żółtego sera. Na dzisiejszą kolację przewidział zapiekanki.

– Nie widział pan kartki na drzwiach? Nie wolno wprowadzać psów do sklepu – usłyszał oburzony głos ekspedientki.

Obejrzał się zaskoczony. Wanilia z czekoladą zatrzymała się przy drzwiach i niepewnie zamerdała ogonem.

– To nie mój pies – bąknął i tupnął nogą w kierunku intruza.

– Ja tam nie wnिकam, czyj. Przyszedł z panem, to mam nadzieję, że z panem wyjdzie. Co podać?

– Piwo i słone orzeszki – poprosił i obejrzał się na psa. – Aha, i jakąś puszkę z psim żarciem czy coś takiego...

– A jednak to pański pies – skwitowała z satysfakcją ekspedientka i podała torebkę z suchą karmą.

Adam nie skomentował uwagi, zapłacił, podziękował i gwizdnął na psa. Po przebyciu kilku metrów zatrzymał się i palnął otwartą dłonią w czoło.

– Cholera, miałem kupić ser! Wszystko przez ciebie! – Nachylił się i potargał czekoladowe ucho, którego posiadacz zakręcił młynka ogonem i zadowolony podążył za swoim nowym panem.

Z planowanych zapiekanek nic nie wyszło. Z cichego popołudnia wypełnionego lekturą też nie. Wanilia, bo żadne męskie imię nie przychodziło Adamowi do głowy, skutecznie wypełnił czas do wieczora. Najpierw wyrażał wdzięczność liżąc Adama po rękach i twarzy. Potem domagał się miejsca na tapczanie i chcąc nie chcąc Adam zajął się organizowaniem legowiska w kącie pokoju. Spacer pod krzaczek, jedzenie i znowu spacer wypełniły czas do wieczora. W środku nocy Adam odkrył, że Wanilia pogardził legowiskiem i śpi w jego łóżku.



Nie miał sił, żeby walczyć o tej porze. Skapitulował i podkurczył nogi, robiąc psu więcej miejsca. O świcie poczuł ciepły, wilgotny jęzor na twarzy.

– Słuchaj, Wanilia. Pozwól, że w moim domu będą panowały moje zasady. Nie zamierzam wstawać tak wcześnie, rozumiesz? – Zdenerwował się i nakrył głowę kołdrą.

Wanilia nie dał za wygraną i już po chwili Adam w dresie naciągniętym na piżamę dygotał z zimna na skwerku za muzeum. Po śniadaniu wybrał się do marketu po smycz, obrozę i miski. Wydał na to połowę swojego majątku. I oto zaczęło się pieskie życie.

Toffi zadzwoniła około czternastej, by potwierdzić spotkanie. Adam uśmiechnął się pod wąsem. Widocznie wystarczy odrobina chłodu, by dziewczyna sama zaczęła zabiegać o jego względy.

– Mogę kogoś z sobą przyprowadzić? – zapytał i potarł nos o psie kudły.

Po długim milczeniu Toffi zapytała nie swoim głosem:

– Blondynka czy brunetka?

– Ja wiem... – zastanowił się – pół na pół.

Redaktor naczelny wezwał Adama do swojego gabinetu.

– Usiądź, musimy porozmawiać – powiedział wskazując krzesło.

Przez chwilę przemierzał niewielki pokój, w końcu usiadł obok Adama, dając mu do zrozumienia, że nie występuje z pozycji szefa gromiącego swoich podwładnych, a partnera mającego wspólny problem.

– Adam, nasze pismo umiera. Nie ma w nim nic, co zahipnotyzowałoby czytelników, zaparło im dech w piersiach. Od dłuższego czasu nie pojawia się nic takiego, co skłoniłoby ich do sięgania po każdy kolejny numer z ciekawością. Rozumiesz? Chcę, żeby coś się zaczęło dziać. Powiem krótko: daję ci tydzień.

– Tydzień? To znaczy mam tyle czasu na napisanie czegoś porywającego, co rzuci czytelników na kolana? Czy pan mnie nie przecenia, redaktorze? – przeraził się Adam.

– Nie. Nie przeceniam. Ujmę to inaczej. Ja ciebie doceniam i tak powinieneś to zrozumieć.

– Czy mogę liczyć na jakąś wskazówkę? Proszę powiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje. Na przykład ile stron powinien zająć mój artykuł?

– Nie artykuł, tylko reportaż. Nie stron, tylko numerów.

– Nie bardzo rozumiem – bąknął Adam i wbił w naczelnego pytające spojrzenie.

– Podasz to czytelnikom w odcinkach.

– W każdym numerze po kawałku?

– Otóż to! Po kawałku. A teraz idź do domu. To jest polecenie służbowe. Idź do domu i nie pokazuj się tu. Za tydzień przyniesiesz mi gotowy projekt.

Adam westchnął i z ociąganiem podniósł się z krzesła. Chciał jeszcze o coś

zapytać, ale naczelny zagłębił się w stosie papierów leżących na biurku. Mruknął więc tylko „do widzenia” i wyszedł na ulicę. Kiedy nieco ochłonął, sięgnął po telefon komórkowy.

– Masz dla mnie czas, Toffi? – zapytał, gdy usłyszał jej głos w słuchawce.

– Tak, do szesnastej. Czy coś się stało? – W jej głosie brzmiał niepokój.

– Owszem – odpowiedział krótko.

– Przyjadę – rzuciła w słuchawkę i wyłączyła się.

– Porozmawiajmy o Magdalenie – zaproponował, gdy tylko przywitała się z psem. Wanilia zaskarbił sobie jej serce i odtąd dziewczyna lubiła bywać w wynajętym pokoju Adama.

– Au! Nie gryź! – upomniała psa i spojrzała pytająco na Adama. – O Magdalenie? Myślałam, że odpuściłeś sobie i zostałam sama z tym problemem.

– Jak to, ty zostałeś z problemem? Zdaje się, że zadeklarowałaś całkowitą niechęć do dalszych poszukiwań.

– Miałam taki zamiar i gdyby... – Toffi zamilkła, usiadła na podłodze i zaczęła skubać ucho Wanilii.

– I gdyby co? – ponaglił ją.

– Gdyby Magdalena nie zaczęła nękać mnie po nocach...

– A zaczęła? – zapytał i zacisnął kurczowo palce na ofiarowanym mu przez Cygankę kamyku, który nosił w kieszeni.

– Pierwszy raz przyszła w drugiej połowie sierpnia. Obudziłam się w środku nocy i ujrzałam cień pod oknem. Krzyknęłam i cień zniknął. Od tej pory Magdalena często mi się śni. Wiem, że to ona, bo pochyla nade mną twarz i patrzy, jakby na coś czekała. Zwykle po takich atrakcjach budzę się zlna potem, ale kiedy otwieram oczy, jej już nie ma.

Adam w skupieniu wyjął z szafki szklanki, potem odwrócił się i przyjrzał się Toffi z zastanowieniem.

– Do mnie już nie przychodzi – powiedział.

– Nie? – Toffi odepchnęła psa i zerwała się na równe nogi. – To znaczy, że zostawiłeś ducha w moim domu, a sam uciekłeś!

– Nie opowiadaj bzdur – zdenerwował się. – Sama mnie wyrzuciłaś. I nie uciekałem przed żadnym duchem. Gdyby chciał, mógłby znaleźć mnie wszędzie. Dla duchów nie ma granic.

– To dlaczego nie przychodzi do ciebie, tylko do mnie?

– Nie wiem – skwitował i nieznacznie poklepał się po kieszeni. Nie chciał mówić Toffi o amulecie. Ostatecznie Cyganka mogła sobie z niego zakpić, a duch Magdaleny mógł być jedynie wytworem jego wyobraźni. To samo przeżywa teraz Toffi, dręczona wyrzutami sumienia, że nie spełniła woli swojej matki.

– Skoro Magdalena cię nie nęka, dlaczego chcesz o niej rozmawiać?

– Chcę napisać o niej duży artykuł dla czasopisma, w którym pracuję.

– Więc jednak! Brakuje ci tematów?

– Szef zlecił mi zredagowanie czegoś takiego, co chwyci czytelnika za serce. Sprzedaż pisma spada i naczelny nie krył, że liczy na moje pióro. Patrzył przy tym w taki sposób, jakbym był potencjalnym kandydatem na wysiadkę z redakcji, gdybym go zawiódł.

– No to masz problem, bo o Julianie wciąż niczego nie wiemy. Ale teraz przynajmniej mam pewność, że nadal będziemy szukać jej razem.

– To nie jedyny mój kłopot.

– Nie? A jaki jeszcze, jeśli mogę wiedzieć?

– Mogę tu mieszkać tylko dwa tygodnie. Potem sezon turystyczny się kończy i w muzeum nie będę potrzebny. Zresztą taka była umowa.

– Adam, to nie jest kłopot. Możesz zamieszkać znowu ze mną. Proponowałam ci to przecież. I obiecałam, że nie wyrzucę cię z domu.

– Wiem i dziękuję. Ale nie skorzystam z twojej propozycji. Tak będzie lepiej. Proszę cię tylko, żebyś zwróciła uwagę, jeżeli pojawi się niedroga oferta w waszym biurze. Oczywiście chcę wynająć, nie kupić.

– Ech, uparty jesteś jak osioł! Dobrze, jeśli coś będzie, dam ci znać – obiecała i nadąsała się.

– Wróćmy jednak do Magdaleny. Jeśli postarasz się nie myśleć o niej jak o wyrzucie sumienia, a o przygodzie, która przyniesie satysfakcję i ciekawe doświadczenia, będzie ci łatwiej.

– Aha... ciekawe doświadczenia, no, jasne – burknęła i pochyliła się nad Wanilią. – Tymczasem nie mogę się doczekać, żeby już mieć to z głowy. Wiesz, jak zapamiętałam moją matkę? Co chwilę wchodziła do mojego pokoju, stawała nade mną i goniła do odrabiania lekcji. Nie miałam prawa zająć się niczym innym, dopóki nie zatrzasnęłam ostatniego podręcznika, z którego wkuwałam. Teraz czuję się tak samo. Dopóki nie spełnię jej woli, nie zaznam spokoju. Aż dziwne, że to nie ona straszy mnie po nocach.

– Każda matka robi to samo. Myślisz, że moja nade mną nie stała?

– Ale teraz masz spokój, a moja zleciła mi zadanie na całe życie!

– Nie przesadzaj. Wystarczy, że się do tego przyłożymy i resztę życia upłynie ci w spokoju. Uwierz w siebie. Twój ojciec mówił, że nie zna lepszego detektywa niż ty.

– Daruj sobie. Nie wspominaj o nim. Znowu mnie zawiódł.

– Dobrze. Zostawmy ojca. Zweryfikujmy to, co już wiemy o Julianie.

– Nic nie wiemy. Była w Krakowie, była w Toruniu i na Podlasiu. To raczej pewnik. Nie jestem jednak przekonana, czy zielarka z Warmii to też ona.

Adam przez chwilę bębnił palcami o blat kuchennej szafki. Potem włączył czajnik i sięgnął po herbatę.

– Posłuchaj – zwrócił się do Toffi – kiedy ponownie odwiedziłem Włodzia

w Konstancinie, zastanowiła mnie pewna informacja, o której nie wspomniał za pierwszym razem.

– Jaka informacja? – Dziewczyna przerwała zabawę z psem i niemal jak on zastrzygła uszami.

– Włódzio powiedział, że twój dziadek jeżdżąc na Warmię zakochał się w kimś po uszy, co niemal doprowadziło do rozwodu z żoną.

– I co dalej? Odkochał się? Bo przecież się nie rozwiódł.

– Nie rozwiódł się. Ta z Warmii go nie chciała, więc potulnie wrócił do żony.

– Ale co to ma wspólnego z Julianą?

– Juliana była śliczna, trochę dzika, niedostępna. To mogło go zafascynować.

– Zwariowałeś? Przecież on był jej wujem! – Toffi oburzyła się nie na żarty.

– Ale on o tym nie wiedział, rozumiesz? Nie miał pojęcia, że ta zielarka, której wciąż się czepiał, to jego siostrzenica. A czepiał się nie z tego powodu, że zbierała zioła i leczyła kogoś pokątnie, tylko dlatego, iż uznał to za jedyny sposób, by zwrócić na siebie jej uwagę. Przecież ona była jedynie trzy lata od niego młodsza!

Toffi przyglądała się Adamowi szeroko otwartymi oczami. Z wrażenia uchyliła nawet usta, które Adam natychmiast zapragnął pocałować. Odwrócił wzrok i przełknął ślinę.

– Wiesz... ty możesz mieć rację – wyjąkała. – Nigdy nie wpadłabym na to. Szczerze mówiąc, podziwiam cię. Ale to nie wzbogaca naszej wiedzy. Nadal nie znamy dalszych losów Juliany. Jeśli oczywiście zielarka z Warmii i ona to ta sama osoba.

– Pomyślmy, co mogłaby zrobić, co ty zrobiłabyś na jej miejscu?

– Gdyby mnie molestował psychicznie jakiś typ? Poszłabym na policję!

– To były inne czasy. Panienki nie miały takiego tupetu, jak teraz. Poza tym ona nie do końca działała legalnie, jeśli rzeczywiście kogoś leczyła. Nie podkładałaby głowy pod topór. Moim zdaniem wróciła na Podlasie.

– I została tam po dziś dzień, amen! – skwitowała Toffi. – Zaszła się w zakątku głuchej wsi i jako szeptucha odczynia uroki.

– Proponujesz, by znowu tam pojechać?

– Nic nie proponuję. Czy nie mógłby ktoś sporządzić wykazu aktywnych szeptuch? Mielibyśmy Julianę jak na dłoni.

– Widzę, że jesteś przekonana o takiej karierze niegłupiej przecież dziewczyny. Ja głosuję raczej za podniesieniem kwalifikacji. Myślę, że skończyła studia i zrobiła lepszą karierę.

– Głupstwa gadasz. Gdyby zrobiła karierę, byłaby znana. Słyszałbyś o niej.

– Tak? A słyszałaś o wszystkich farmaceutach, lekarzach, naukowcach? Mogą być fachowcami w swojej dziedzinie, ale nie o wszystkich przecież wiesz. Większość z nich działa na własnym terenie, nie wyściubiając nigdzie nosa.

– Dobrze. Co z tego wynika dla nas?

– Dla nas? W zasadzie nic. Zwłaszcza że mamy inne zdania co do losów naszej bohaterki.

– Ano właśnie – westchnęła Toffi. – Tymczasem masz tydzień na opisanie jej życia. Co zrobisz?

– Nie muszę jeszcze pisać o niej. Mogę zacząć od Magdaleny. Zyskam trochę czasu.

Toffi zerknęła na zegarek, po czym wstała i otrzepała spódnicę z psiej sierści.

– Odprowadzisz mnie na przystanek? – zapytała. – Muszę jechać do klientki.

– Oczywiście – odpowiedział. – Wezmę też Wanilię. Będzie miał zaliczony spacer.

Na przystanku wsiadła do autobusu i pomachała przez szybę. Wanilia podskoczył i zamerdał ogonem. Adam uniósł dłoń na pożegnanie. Nie wiedział jeszcze, co wydarzy się do następnego spotkania z Toffi.



Do domu szedł okrężną drogą. Może ze względu na psi spacer, a może dlatego, że chciał spokojnie przemyśleć rozmowę z szefem. Wanilia zatrzymał się przy słupie ogłoszeniowym i obwąchiwał go zapamiętałe. Adam czekał cierpliwie, obserwując dwa gołębie uganiające się po ścieżce. Po chwili szarpnął lekko smyczą i burknął ze złością:

– Dość już. Idziemy.

Nagle jego uwagę przykuło ogłoszenie wciśnięte między dwa kolorowe plakaty. Ktoś poszukiwał psa. Jego psa! Obok fotografii i rysopisu Wanilii podany był adres i numer telefonu osoby, która na niego czeka. Adamowi ścisnęło się serce. Teraz, kiedy zdążył przywiązać się do zwierzaka, wkomponował go w rytm swojego dnia, zaprzyjaźnił się, musi się z nim rozstać. Ruszył szybkim krokiem, ciągnąc za sobą opierającego się Wanilię. Ostatecznie wcale nie musiał czytać tego ogłoszenia. Mógł go nie zauważyć. Właściwie mógł w ogóle tędy nie przechodzić. Po kilkunastu krokach zwolnił i pochylił się nad psiakiem. Oczy, którymi spojrzał na niego Wanilia, były szczerze i pełne oddania.

– Gdybyś mi zginął, też bym cię szukał – mruknął Adam i zawrócił, by zapisać numer telefonu i adres z ogłoszenia. Niedługo potem siedział w autobusie jadącym w kierunku Ursynowa. Blokowisko, w którym się znalazł, porównywalne było do lasu pełnego jednakowych drzew. Długo błądził między budynkami, zanim Wanilia, który rozpoznał dotychczasowe miejsce zamieszkania, ruszył pewnie przed siebie. Zatrzymał się przed jedną z klatek schodowych i radośnie zamerdzał ogonem.

– Ty mały zdrajco – mruknął Adam i odzepił mu smycz – to na pewno tutaj?

Wybrał odpowiedni guziczek na domofonie i nacisnął go przeciągle.

– Halo? – zazgrzytało w słuchawce.

– Dzień dobry. Przyprowaździłem psa.

Coś trzasnęło i głos nie odezwał się więcej. Adam nie usłyszał również brzęczyka otwierającego drzwi.

– Chyba cię nie chcą – powiedział do psa i serce zabiło mu radośniej.

Mylił się. W drzwiach pojawiła się ładna brunetka. Mogła mieć trzydzieści kilka lat.

– Tino! – zawołała na widok pupila i porwała go na ręce.

Wanilia, a właściwie Tino zachowywał się jak szalony. Kręcił ogonem, przebierał łapami i lizał panią po twarzy całą powierzchnią języka. Adam nie miał wątpliwości, że oddaje psa we właściwe ręce.

– Zapraszam do środka – odezwała się kobieta do Adama, przerywając psie pieszczoty.

– Nie, dziękuję. Nie będę przeszkadzał.

– Ależ skąd! Nie przeszkadza mi pan! Proszę opowiedzieć o Tino. Jak do pana trafił, jak się zachowywał i w ogóle wszystko, wszystko! A poza tym czeka na pana nagroda. Chyba czytał pan o nagrodzie?

– Tak, czytałem... nie trzeba. Cieszę się, że odzyskała pani psa. Nie chcę nagrody.

– Ja natomiast bardzo chcę ją panu dać. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo tęskniłam za Tino.

– Cóż. Niedługo się przekonam – powiedział półgłosem i podrapał psa za uchem. – Teraz ja będę za nim tęsknił.

Kobieta spojrzała tak, jakby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że przez te wszystkie dni ktoś zajmował się Tino, zapewnił mu miejsce do spania, karmił i wyprowadzał na spacer.

– Ach, rzeczywiście... Nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi ze względu na pana.

– Najważniejsze, że ma go pani z powrotem – zauważył. – Do widzenia.

– Niech pan wejdzie na chwilę, proszę – powiedziała takim tonem, że nie potrafił jej odmówić.

Mieszkanie było w nieładzie. Stosy kartonów i zgromadzonych w jednym miejscu sprzętów świadczyły o tym, że jego lokatorka dopiero się wprowadziła albo właśnie je opuszcza.

– Nie będę przeproszała za bałagan – powiedziała. – To bałagan organizacyjny. Jutro przenoszę się do matki.

– Rozumiem – powiedział z uprzejmym uśmiechem i dyskretnie się rozejrzał. – Nie chciałaby pani wynająć tego mieszkania?

– Jest na sprzedaż – odparła krótko.

– Szkoda – westchnął. – Szukam mieszkania do wynajęcia.

Kobieta omiotła czułym wzrokiem ściany, zanim się odezwała:

– Bardzo lubiłam to mieszkanie. Chciałabym, żeby zamieszkał tu ktoś wyjątkowy, dobry... Nie zależy mi na pieniądzach. To znaczy nie muszę mieć ich natychmiast. Jeśli pan chce, możemy spisać umowę, by mógł pan płacić mi w ratach. Nie będą wyższe od czynszu, który płaciłby najemca.

Adam patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę? Zgodziłaby się pani na to?

– Nie mam nic do stracenia. Jeżeli zrezygnowałby pan, potraktowałabym te

pieniądze jako opłatę za wynajem. Skoro nie chce pan przyjąć nagrody, proszę przyjąć w tej formie moją wdzięczność.

– Nie wierzę – bąknął. – Ktoś chyba nade mną czuwa.

– Jest pan życzliwym człowiekiem, więc i anioły garną się do pana – roześmiała się. – Mam rozumieć, że taki układ panu odpowiada, czy tak?

– Ależ tak! Oczywiście! Nie mogło mnie spotkać nic lepszego! – wykrzyknął, po czym ujął jej dłoń i z namaszczeniem ucałował.

– Niechże pan przestanie. To naprawdę nic takiego. Ustalmy lepiej termin, kiedy mógłby się pan wprowadzić. Jutro wywozę część sprzętów. Potem przez tydzień będę poza Warszawą. Powiedzmy, że za dwa tygodnie mieszkanie będzie do pańskiej dyspozycji. Zanim jednak to nastąpi, wybierzemy się do notariusza, żeby spisać umowę. Zgadza się pan na takie warunki?

– Czy się zgadzam? Jestem zachwycony!

– W takim razie proszę się szykować. Dam panu swoją wizytówkę. Będziemy w kontakcie.

– Dziękuję! Bardzo pani dziękuję! – Wsunął wizytówkę do portfela i wybiegł na schody.

– To ja panu dziękuję – zawołała za nim – za Tino!

Nie spodziewał się takiej nagrody. Biegł jak na skrzydłach, pogwizdując wesoło, mimo że godzinę temu rozstał się ze swoim kudłatym przyjacielem. Machnął ręką nawet na wspomnienie rozmowy z szefem. Pomyśli o tym jutro.

Tydzień wyznaczony przez naczelnego upłynął mu na intensywnej pracy. Zamknął drzwi, wyłączył telefon i nawet Toffi nie miała do niego dostępu. Postanowił spisać wspomnienia Magdaleny, ująć je w dużym skrócie, nie tracąc jednak najważniejszych wątków. O Julianie starał się na razie nie myśleć. Zyska nieco czasu na jej szukanie, zanim ukażą się wszystkie odcinki dotyczące Magdaleny.

W poniedziałek, sparaliżowany treścią, pojawił się w gabinecie szefa z plikiem papierów w tekturowej teczce.

– Miło cię widzieć – przywitał go naczelnny. – No, pokaż, co tam masz. – Wyciągnął rękę po teczkę i ruchem głowy wskazał krzesło.

Adam usiadł i wbił oczy w naczelnego. Ten zaś przebiegał wzrokiem kartkę po kartce, a w miarę czytania gasł jego entuzjizm. Przerzucił kilka kolejnych stron, w końcu skrzywił się i oddał pracę autorowi.

– Nie zrozumiałeś mnie – powiedział rozczarowany. – Nie chciałem cikliwych wspomnień jakiejś romantyczki. To dobre do babskich czytadełek, a nie do historycznego pisma. Miał być reportaż. Słyszysz? Re–por–taż!

– Wiem – odparł Adam. – To załedwie wstęp. Reportaż dopiero się zacznie.

– Żarty sobie stroisz? – huknął naczelnny, ukazując zupełnie nieznaną Adamowi twarz. Musiał być naprawdę wściekły. – Wstęp?! Taki wstęp do



reportażu?! I to ma być porywające? Wspominki jakiejś baby z czasów wojny? Jak ty chcesz zrobić z tego reportaż?

– Chcę znaleźć jej córkę.

– Czyją córkę? Jaką znowu córkę?! To saga dla gospodyń wiejskich? Może minąłeś się z powołaniem i powinienes pisać do jakiegoś babskiego czytadła?

– Proszę mnie wysłuchać, redaktorze – bronił się Adam. – Tu jest dużo historii. Mogę ją wzmocnić popierając faktami spoza lasu, gdzie wojna docierała w nieco inny sposób. Ale proszę zauważyć, że jest to miejsce działań UPA, które właśnie tam... – przerwał nagle, podniósł się z krzesła i opierając obie ręce o biurko wycedził: – Przecież pan nawet tego nie czytał. Co można powiedzieć po pobieżnym przejrzeniu kilku stron? To nie jest babski wyciskacz łez, tylko kawał historii, na której tle rozegrała się ludzka tragedia! A najważniejsze, że to nie jest koniec. To się dopiero zaczyna! – Zgarnął z biurka teczkę i nie żegnając się wybiegł z redakcji.

Szedł szybkim krokiem, potykając się o wystające płyty chodnikowe. Łzy wściekłości wypełniały oczy, zamazywały obraz. Nie chcą cię tu, Magdaleno, nie chcą Juliany, mnie też nie chcą – myślał rozgoryczony, coraz bardziej przyśpieszając kroku. Dzwonek telefonu wyrwał go z transu, przywołał do rzeczywistości.

– Wracaj, nie skończyliśmy rozmowy – usłyszał w słuchawce głos szefa. Nowa fala złości zalała mu serce, podeszła do gardła.

– Nic więcej nie mam do powiedzenia – warknął.

– Wracaj – powtórzył naczelny i wyłączył się.

Adam stał przez chwilę w miejscu, zastanawiając się, co powinien zrobić. Jeśli uniesie się honorem, straci pracę. Za taką cenę może warto okazać nieco pokory – pomyślał. Odwrócił się na pięcie i dużo wolniejszym krokiem wrócił do redakcji. Szef siedział za biurkiem i ćmił fajkę. Zdarzało mu się to niezmiernie rzadko.

– No więc co zamierzasz dalej z tym zrobić? – zapytał spokojnym głosem, jakby niedawny incydent nie miał miejsca.

– Zamierzam dokończyć historię przedstawiając losy Juliany, która jako mała osierocona dziewczynka opuściła dom w lesie. Chcę przeprowadzić ją przez przekrój historii od czasów zakończenia wojny po dzień dzisiejszy. Opiszę zdarzenia związane z poszukiwaniem tej kobiety i ukazę jej losy w formie długiego wywiadu. Wtedy będzie koniec.

– Zostaw te materiały. Przeczytam. Ty masz kolejny tydzień. Znajdź tę kobietę. Następny tydzień poświęcisz na rozmowę z nią, którą skrzętnie spiszesz. Kiedy skończysz, zdecyduję, ile to jest warte. Aha, zgłoś się do księgowej i podpisz rachunek. Przeleje ci coś tam na konto.

Adam wyszedł i otarł pot z czoła. Odnaleźć Julianę w tydzień – to nie może

się udać.

Po powrocie do domu sięgnął po wizytówkę, którą od kilku dni nosił w portfelu. „Joanna Rolska” – przeczytał i wybrał podany numer.

– Cieszę się, że pan dzwoni – powiedziała. – Na jutro umówiłam znajomego notariusza, a dzisiaj wywożę ostatnie drobiazgi. Mogę podesłać panu transport, z którego korzystałam.

– Nie trzeba. Nie mam nic prócz ubrań i kilku szklanek. Dam sobie radę. Dziękuję.

– W takim razie do jutra. Spotkamy się u mnie o czternastej.

Resztę dnia spędził na pakowaniu rzeczy. Kiedy dwie opasłe torby stanęły pod drzwiami, położył się na tapczanie i wbił wzrok w sufit. Tysiące myśli przemykających przez skołataną głowę nie przyniosły rozwiązania, gdzie szukać Juliany. Wstał, wypił mocną kawę i usiadł przy komputerze. Do trzeciej nad ranem surfował po sieci w poszukiwaniu jakichś śladów. Niczego jednak nie osiągnął. Zrezygnowany poszedł spać.

Rankiem obudził go telefon.

– Od kilku dni nie odbierasz ode mnie telefonów. Sam też nie dzwonicz! – krzyknęła w słuchawkę Toffi – Co się z tobą dzieje?

– Toffi, wybacz. Daj mi jeszcze trochę czasu. Nie mam teraz głowy do spotkań z tobą. Opowiem ci, jak to wszystko będę miał za sobą. Bardzo tęsknię. Naprawdę. Odezwę się. – Po tych słowach wyłączył telefon i nakrył głowę poduszką.

Wstał późno, ból rozsadzał mu czaszkę. Próbował robić jakieś notatki, uszeregować wszystko, czego zdołał dowiedzieć się o Julianie. O trzynastej dwie pękate torby załadował do taksówki i ruszył na Ursynów. Serce zabiło mu mocniej, gdy taksówkarz zatrzymał się pod blokiem. Tutaj będzie mieszkał. Będzie miał swój dom, który urządzi według własnych wyobrażeń o przytulnym gniazdku. Zapłacił za kurs, wysiadł i rozejrzał się dookoła. Trawnik, dwie ławki, plac zabaw dla dzieci, kilka krzewów. Dalej niewielki sklepik z warzywami i kiosk „Ruchu”. Tyle dostrzegł na pierwszy rzut oka. Resztę zwiedzi, gdy będzie miał więcej czasu. Będzie spacerował po osiedlu trzymając Toffi za rękę. Ale nie teraz. Jeszcze nie. Podniósł torby i nacisnął dzwonek domofonu.

Biuro notarialne, do którego zawiozła go pani Joanna, znajdowało się w centrum Warszawy. Było tu kameralnie i przytulnie. Sekretarka zaproponowała kawę. Notariusz przygotowywał umowę. Spisał dane osobowe Adama, następnie pani Joanny Rolskiej.

– Imię ojca? – zapytał służbowo.

– Wojciech.

– Imię matki?

– Juliana.

Adam poruszył się niespokojnie. Czy to imię będzie zawsze robiło na nim takie wrażenie? Co za zbieg okoliczności, że matka pani Joanny nazywa się właśnie Juliana.

– Nazwisko panięskie matki?

– Dors.

– Chryste! – zawołał Adam i zerwał się z krzesła. Zarówno notariusz, jak i pani Joanna spojrzeli na niego ze zdumieniem. Był blady jak płótno. – Co pani powiedziała? Dors?! Juliana Dors?!

Czerwone plamy pojawiły się na ozdobionej srebrnym wisiorkiem gładkiej szyi pani Joanny. Przyglądała się Adamowi z przerażeniem. Głos jej drżał, gdy mówiła:

– Proszę się uspokoić. Niechże pan siada. Może trochę wody? Co się stało?

– Czy pani matka nazywa się Juliana Dors? – powoli pytanie Adam i opadł na krzesło.

– Owszem. Tak właśnie się nazywa. Juliana Dors Zagórska. Nie rozumiem...

– Boże – szepnął Adam – Boże, nareszcie!

– Możemy kontynuować? – zapytał notariusz, zerkając z niepokojem na panią Joannę.

– Tak, oczywiście. Proszę – odparła pani Joanna, zerkając podejrzliwie na Adama.

Po załatwieniu formalności w milczeniu wyszli z biura notariusza. W milczeniu wsiedli do samochodu i dopiero tam pani Joanna zwróciła się do Adama. Nie wypuszczała z rąk kierownicy i Adam zauważył, jak zbieleły jej kostki palców od kurczowego jej ściskania.

– Panie Adamie – odezwała się ochryłym głosem – może mi pan wyjaśnić swoje zachowanie?

– Jeśli ma być krótko, to nie wiem, od czego zacząć.

– Śmiało – zachęciła i sięgnęła po papierosa. Nie sądził, że pali.

– Od miesiący szukam pani matki – powiedział i zamilkł.

Przez chwilę i ona milczała, patrząc przed siebie.

– Dlaczego? – zapytała w końcu.

– Muszę z nią porozmawiać.

Spojrzała na niego wyczekująco, ale on sprawiał wrażenie, jakby nie chciał dodać nic więcej.

– Na miłość Boską, niechże pan mówi! – zniecierpliwiła się.

– Pani Joanno, to jest bardzo długa i bardzo piękna historia. Proszę panią tylko o umożliwienie kontaktu z pani matką. Wszystkiego się pani dowie, obiecuję. Ale muszę się z nią zobaczyć jak najszybciej. Błagam!

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Ma pan oczy, jak mój pies, kiedy chce wyprosić kość. Zaufam panu. Niech pan zapisze: Jesionowa 9. W najbliższym czasie matka nigdzie się nie wybiera. Myślę, że może pan przyjść. – powiedziała.

Jadąc na Ursynów nie odezwali się już ani słowem.

– Dziękuję – powiedział uśmiechając się z wdzięcznością, gdy dotarli na miejsce.

– Proszę, to pańskie klucze – podała wszystko i uniosła dłoń. – Życzę szczęścia w nowym mieszkaniu. Do widzenia.

– Dziękuję – powtórzył jeszcze raz i zacisnął w palcach błyszczące klucze.

W domu po raz kolejny obszedł dookoła swoje królestwo: dwa pokoje, kuchnię i łazienkę. I po raz setny wyszedł na balkon, by podziwiać ścianę drzew zdradzających pierwsze oznaki jesieni. Potem sięgnął po komórkę i wybrał numer Toffi.

– Znalazłem Julianę – powiedział i wyłączył telefon.

Usiadł na środku pustego pokoju i krzyknął na całe gardło, aż echo odbiło się od ścian i powróciło ze zdwojoną siłą:

– Magdaleno, słyszysz mnie? Słyszysz? Znalazłem ją!



Do willi przy ulicy Jesionowej 9, o delikatnej piaskowej elewacji, podchodzili z duszą na ramieniu. Każde z nich miało własną misję do spełnienia. Nie wiedzieli, jak przyjmie ich Juliana, dzisiaj siedemdziesięciokilkuletnia kobieta. Adam był podekscytowany czekającą go rozmową. Liczył na to, że bohaterka niejednej nieprzespanej nocy i wielu wydeptanych dróg opowie o swoich dalszych losach, sięgających bieszczadzkich czasów. Niepewnie, drżącą ręką nacisnął dzwonek przy furtce. Toffi nabrała w płuca powietrza i przymknęła oczy. Na ganku pojawiła się kobieta z koczkiem na głowie. Osłoniła dłonią oczy i przez chwilę przyglądała się przybyszom.

– Państwo do nas? – zapytała dźwięcznym głosem.

Gdzieś w głębi rozszczękał się pies. Adam rozpoznał głos Wanilii. Uśmiechnął się na myśl, że być może za chwilę zatopi twarz w jego miękkich kudłach.

– Tak. Szukamy pani Juliany. Juliany Dors – powiedziała Toffi i zacisnęła dłoń na finezyjnie wygiętym pręcie furtki.

– A w jakiej sprawie? – dopytywała się kobieta.

– W rodzinnej i... – zaczęła Toffi i zerknęła ze zdziwieniem na Adama, który nieznacznie wzruszył ramionami. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkła.

– Rodzinnej? – zdziwiła się kobieta, jednak otworzyła furtkę. – Proszę... Pani jest na górze – dodała, gdy przeszli krótką, zwirową ścieżką do ganku. – Zaprowadzę.

Szła przodem po ciemnych drewnianych schodach. Ruchy miała zwinne, może nieco wystudiowane. Otworzyła drzwi jasnego dużego pokoju z wielkim oknem wychodzącym na ogród. Na tle żółtych ścian stały regały wypełnione książkami. W kącie małe, stylowe biurczko, które pokrywały uporządkowane stosy papierów. Starsza pani siedziała pod oknem lekko kołysząc się w bujanym fotelu. Siwe włosy upięte w węzeł na karku, lekki szal przykrywający ramiona i spojrzenie pełne spokoju i powagi sprawiały wrażenie, że jest to osoba pełna dystynkcji. Rysy twarzy wskazywały na nietuzinkową, choć przebrzmiałą urodę. Okulary na nosie, długopis i gruby notes świadczyły o tym, że nad czymś właśnie pracowała. Teraz siedząc z uniesioną lekko głową, przyglądała się gościom znad okularów wzrokiem pełnym zaciekawienia.

– Proszę pani, ci młodzi ludzie chcieli się z panią zobaczyć – oznajmiła kobieta, która ich tu przyprowadziła, po czym wycofała się i cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – zapytała oficjalnym tonem pani domu po długiej chwili milczenia. Widocznie Joanna Rolska nie wspomniała matce o incydencie u notariusza.

– Dzień dobry – bąknęła Toffi i dygnęła jak pensjonarka.

Juliana Dors skinęła głową.

– Czy... Czy znała pani Stanisława Brzeskiego? – zapytała Toffi bez zbędnych wstępów i chyba popełniła duży błąd strategiczny, bo Juliana wyprostowała się nagle i powiedziała spokojnym, lecz stanowczym głosem:

– Nie będę o nim rozmawiać. Proszę wyjść.

– Ale... – Toffi spojrzała bezradnie na Adama, jakby u niego szukała pomocy.

– Czy słyszała pani? Proszę natychmiast wyjść – powtórzyła dostojna Juliana Dors.

– Nie! Nie wyjdę, dopóki czegoś pani nie powiem! – Głos Toffi zadrżał i Adam pomyślał, że dziewczyna zaraz się rozpłacze.

– Nie chcę słyszeć o tym człowieku, rozumie pani? – Juliana Dors mówiła przyciszonym głosem i to było najbardziej przerażające. – Proszę opuścić mój dom.

– Boże, dlaczego nie chce mnie pani wysłuchać? Jestem wnuczką Stanisława i on...

– Tym bardziej nie chcę tego słuchać. – Juliana Dors wstała z fotela, otworzyła drzwi i wskazała je Toffi i Adamowi. – Pan jest zapewne wnukiem tego jegomościa – powiedziała z naganą w głosie. – Żegnam państwa. Proszę mnie więcej nie nachodzić.

Toffi wyszła i zatrzymała się na schodach. Adam przystanął w drzwiach i sięgnął do małego plecaka, z którym się nie rozstawał.

– Na co pan czeka? – ponagliła go Juliana Dors i zmarszczyła czoło.

– Nie jestem wnukiem żadnego Stanisława – powiedział Adam tak samo przyciszonym tonem i spojrzał głęboko w oczy Julianie, którą do czasu tej wizyty wyobrażał sobie całkiem inaczej. – Przyszyła mnie zupełnie ktoś inny.

Zanim Juliana zdążyła powiedzieć cokolwiek, wydobył z plecaka dziennik Magdaleny i położył na wysokiej komódce stojącej tuż przy drzwiach. Juliana Dors wbiła wzrok w poźółkły zeszyt, potem przeniosła go na Adama, jakby niewiele z tego rozumiała. On tymczasem odszukał w telefonie fotografię siedmiu lalek, którą zrobił niegdyś w leśnym domku, i podsunął ją zaskoczony kobiecie.

– Czy poznaje pani? – zapytał patrząc jej prosto w twarz. – Poznaje pani swoje urodzinowe prezenty?

– Boże drogi – szepnęła zbielełymi ustami, osuwając się na najbliższe stojące

krzesło. – Skąd... skąd to u pana? Boże, moje lalki... moje lalki.

Chwyciła telefon Adama i zachłannie patrzyła w jego mały ekranik, dopóki nie wygasł zupełnie. Podniosła na niego twarz wykrzywioną bólem i hamowaną rozpaczą. Potem ukryła ją w dłoniach i trwała tak przez chwilę przypominającą wieczność. Adam przywołał ruchem głowy Toffi, która weszła i cicho zamknęła za sobą drzwi. Pozwolili jej na tę chwilę wzruszenia widząc pomarszczone dłonie, siwe włosy, przygarbioną sylwetkę, noszące w sobie cały bagaż przeżyć i trudnych doświadczeń. Teraz nie było w niej nic z wyniosłości i dostojeństwa.

– Pani Juliano – odezwał się cicho Adam. – Czy wszystko w porządku?

– Słucham? – Uniosła głowę i ogarnęła ich nieprzytomnym wzrokiem, jakby wróciła właśnie z dalekiej podróży. Z wyprawy w głąb siebie. – Tak, tak... Wszystko w porządku. Przepraszam. Zaraz dojdę do siebie. Jeszcze chwila... Usiądźcie proszę.

Ponieważ nie wskazała im konkretnego miejsca, przycupnęli na małej sofce stojącej pod jedyną ścianą nie zagospodarowaną regałami pełnymi książek. Juliana wstała, podeszła do stolika, na którym stała karafka z wodą i wypila pełną szklankę. Potem wzięła do ręki dziennik Magdaleny, otworzyła na pierwszej stronie i przebiegła wzrokiem kilka zdań. Następnie położyła na niej otwartą dłoń i zapatrzyła się w przestrzeń.

– Należał do mojej matki – zwróciła się do Adama. – Proszę mi go zostawić.

– Oczywiście! – zapewnił. – Po to go przyniosłem.

– Skąd pan to ma? – zapytała już pewniejszym głosem, głaszcząc pieszczotliwie okładki dziennika.

– Czy pani córka Joanna o niczym nie wspomniała? – zapytał.

Juliana pokręciła przecząco głową.

– Ona ma dużo pracy. Prawie jej nie widuję – odparła cicho.

– Byłem tam – rzekł. – Byłem w pani pierwszym domu.

– Tyle razy próbowałam – szepnęła. – Tyle razy... Nie umiałam, nie mogłam trafić. Tak bardzo chciałabym tam pojechać, zobaczyć. Ostatni raz.

– Zawieziemy tam panią! – zawołała z entuzjazmem Toffi. Jej okrzyk zabrzmiał jak śmiech nad trumną. Juliana Dors spojrzała na nią karcąco.

– Pani też tam była? – zapytała.

– Tak. Byłam – powiedziała już ciszej Toffi, a twarz jej spoważniała.

– Nie będę was dłużej zatrzymywać. Dziękuję za ten strzęp wspomnień... Bardzo chciałabym zostać teraz sama.

– Czy możemy... Czy pozwoli nam pani na odwiedziny za kilka dni? – zapytał nieśmiało Adam. – Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

– Dobrze – zgodziła się. – Proszę przyjść. Niech pan... Niech pan sam przyjdzie – powiedziała obrzucając Toffi niechętnym spojrzeniem.

– Nie! Proszę! Ja muszę pani coś powiedzieć! Coś ważnego przekazać – zawołała Toffi, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Proszę – dodała ciszej. – Bardzo mi na tym zależy.

– No dobrze – westchnęła Juliana. – Ale teraz sobie idźcie. Idźcie już.

Zanim wyszli, usiadła w swoim bujanym fotelu i zapatrzyła się w okno.

Dom Juliany Dors był niewątpliwie z innego świata. Magiczny klimat wnętrza sprawiał, że i jego mieszkańcy funkcjonowali w innym wymiarze. Czas płynął tu wolniej, elastyczniej, jakby cofał się pod naporem wspomnień. Podczas kolejnej wizyty Adama i Toffi pani domu wydawała się bardziej przystępna. Wskazała im miejsce na sofie i zaproponowała żurawinową herbatę z porcją nawłociowego miodu.

– To miód zbierany pod koniec lata, kiedy pszczoły przygotowują się do zimowania. Nawłoc, czyli inaczej mimoza, kwitnie do początków jesieni. Trudno jest zachęcić wtedy pszczoły do pracy, dlatego ten miód występuje rzadziej niż inne. Z herbatą żurawinową komponuje się doskonale, bo ma lekko cytrynowy posmak. Spróbujcie – zachęciła.

Popijając wyśmienitą w smaku herbatę wsłuchiwali się w dźwięki *Preludium deszczowego* Chopina, dobiegającego z głębi domu. W powietrzu unosił się zapach mięty, żywicy i czegoś jeszcze, trudnego do określenia, niemniej bardzo kojącego. Wirujące na tle rozświetlonego okna drobinki kurzu wyglądały jak złoty czarodziejski pył. Adam odnosił wrażenie, że wszystko tu jest zaczarowane i nieprawdziwe. Juliana usiadła w ulubionym bujanym fotelu i zwróciła ku nim twarz, na której widok Adam oniemiał. Ujrzał bowiem Magdalenę uśmiechającą się tajemniczo, lekko drwiąco. Musiał przymknąć oczy, by to wrażenie minęło.

Juliana milczała. Po prostu patrzyła i milczała. Zadziwiające, że przyjęli to zupełnie naturalnie, nie siląc się na rozpoczęcie rozmowy.

– Jak pani ma na imię? – zapytała w końcu zwracając się do Toffi.

– Teofila – odparła lekko zachrypłym od długiego milczenia głosem. Czowała się jak uczennica wyrwana z nienacka do odpowiedzi.

– Masz piękne i niespotykane imię. Pozwolisz, że będę się zwracała do ciebie po imieniu? – Toffi skinęła głową. – Chciałaś mi coś powiedzieć, Teofilo.

– Mój dziadek, Stanisław... – zaczęła Toffi i zamilkła widząc, jak Juliana krzywi się lekko na dźwięk tego imienia.

– Mów, mów, proszę.

– Mój dziadek skrzywdził panią. Nie wiem jak, ale skrzywdził. Kiedy umierał, zadreślały go wyrzuty sumienia. Poprosił moją matkę, czyli swoją córkę, by odnalazła panią i poprosiła w jego imieniu o przebaczenie. Ale moja mama też już odeszła, przekazawszy mi wolę dziadka. Szukałam pani wszędzie. Chcę panią przeprosić za całe zło, jakie wyrządził pani mój dziadek. Przepraszam. Proszę mu wybaczyć. Nie wiem, co nim powodowało, ale myślę, że gdyby cofnął się czas,



postąpiłby inaczej. Teraz mogę już sobie pójść i nie niepokoić pani nigdy więcej.

Toffi wstała i skierowała się do drzwi.

– Usiądź, dziecko – powiedziała spokojnie Juliana. – To, co się wydarzyło, jest już za nami. Nie chcę o tym pamiętać. Długo nie wiedziałam, że Stanisław jest moim wujem. Był zaledwie trzy lata starszy ode mnie. On też nie wiedział o moim istnieniu. Zostawmy to. Jeśli jednak on był moim wujem, to ty jesteś moją cioteczną wnuczką. – Uśmiechnęła się ciepło i Adam ponownie ujrzał twarz Magdaleny. – Proponuję, żebyś zwracała się do mnie jak do ciotki, dobrze?

– Dobrze, ciociu – ucieszyła się Toffi. – Ciociu... – powtórzyła miękko i oczy jej zwilgotniały ze wzruszenia. – Nigdy nie miałam cioci – dodała cicho. Starła się panować nad emocjami, pamiętając, z jaką niechęcią spotkał się jej poprzedni wybuch entuzjazmu. Juliana wyraźnie była zwolenniczką spokoju.

– A ty, młody człowieku? – Juliana przeniosła wzrok na Adama i ten nie był zaskoczony nową formą zwracania się do niego.

– Mam na imię Adam – powiedział.

– Wiem.

– Skąd? – zdążył się zdziwić, zanim przed oczami stanęły mu wszystkie szeptuchy świata, palące zioła w osmalonych garnkach i wymawiające szeleszczącym głosem jego imię.

– Domyśliłam się. Zostawiłeś różne szpargały w pamiętniku. To imię przewinęło się kilkakrotnie. Ty też chcesz mi coś przekazać w imieniu swoich przodków?

– Niezupełnie moich. Magdalena życzyła sobie, bym panią odnalazł.

– Magdalena? Jaka Magdalena?

– Pani matka.

– Młodzieńcze – upomniała go. – Moja matka nie żyje od wielu lat. Ciebie wtedy jeszcze nie było na świecie.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Jednak kiedy zacząłem czytać dziennik Magdaleny, poczułem się tak, jakbym był obok i wszystko, co przeżywała, stawało się moim udziałem. Znam doskonale Piotra i Ivana, znam panią, byłem przecież przy pani narodzinach. Czuję miękkość sierści Popioła, a nawet wiem, jak smakują ciasteczka Felisi...

– Jesteś wyjątkowo wrażliwy na sugestie – zauważyła. – Byłbyś dobrym medium.

– Kiedy przeżycia Magdaleny stały się traumatyczne, trudne do zniesienia nawet dla mnie, obserwatora z boku, byłem tak zmaltretowany psychicznie, że postanowiłem rozstać się z pamiętnikiem. Wtedy zaczęła mnie odwiedzać w snach i żądać czegoś nieokreślonego. Pomyślałem, że nie zazna spokoju, dopóki nie odnajdę pani i nie przekonam się, że poradziła sobie pani bez jej opieki, zupełnie sama. Znalazłem panią. Zrobiłem to dla niej. Dla Magdaleny. Mam jednak prośbę,

by opowiedziała pani, co wydarzyło się od jej ostatniego zdania w dzienniku. Jest pani jedyną osobą, która zna ciąg dalszy. To jest dla mnie bardzo ważne.

Juliana przymknęła oczy i kołysząc się miarowo w bujanym fotelu rozpoczęła swoją opowieść:

\* \* \*

Tak ją zapamiętałam. Lekko przygarbiona, okryta barwną chustą z frędzlami, którą sama zrobiła z resztek poprutyh swetrów. Nie miała jeszcze trzydziestu lat i choć natura nie odmówiła jej urody, teraz wydaje mi się, że miała twarz starej kobiety. Zawsze mówiła przyciszonym głosem. Może nie chciała spłoszyć tej resztki energii, która tliła się w jej szczupłym ciele. Siedziała w kulawym wózku trzymając się kurczowo poręczy, jakby od tego, co mówiła, zależało istnienie świata. Nie wiedziałam jeszcze, że miała rację. Od jej słów zależało istnienie mojego świata.

– Kochanie, musisz to zapamiętać. Nazywasz się Juliana Dors, urodzona szesnastego października tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Powtórz.

– Nazywam się Julia... – mówiłam obracając w rękach szmacianą kukiełkę uszytą ze znoszonej sukienki.

– Juliana, kochanie. Juliana Dors – poprawiała mnie cierpliwie. – Twoja matka Magdalena, a ojciec... – tu przyciszała głos jeszcze bardziej, a jej oczy szklily się nienaturalnie. – Ojciec nazywa się Piotr. Piotr Dors – dodawała z naciskiem. Musisz to wiedzieć, kiedy mnie... może już nie... – zwykle nie kończyła, nie chcąc wywoływać lęku w małej dziewczynce i tak nadmiernie obciążonej zmartwieniem i obowiązkami. Powtarzałyśmy to codziennie jak kolejną lekcję, których mi udzielała. Byłam jej córką, ale gdyby nie dziennik, który zapisywała kartka po kartce, wiedziałabym niewiele o jej przeszłości. Odkąd zaczęłam rejestrować cokolwiek w pamięci, zawsze mnie uczyła. Bardzo się śpieszyła, jakby w obawie, że nie zdąży przekazać mi całej wiedzy, którą zgromadziła. Szkoda jej było czasu na opowieści o sobie. Ale jest dziennik. Nie zapomnę ci tego dobrodziejstwa, że go przyniosłeś. Dzięki niemu wróciłam do mojego dzieciństwa, do niej. Bardzo kochałam moją matkę. Miałam przecież tylko ją. Czy wiesz, że do czasu przeczytania jej wspomnień nie wiedziałam, że mój ojciec zginął wtedy, gdy leżącego w kałuży krwi przed drewnianą okrywałam chustą mojej matki? Troszczyłam się, żeby nie zmarł, obmywałam mu krew z twarzy. Pamiętam to wszystko jak przez mgłę. Przez następne lata matka oszukiwała mnie, że mój ojciec wróci. Wierzyłam jej. Dzisiaj nie mam o to żalu. Ona uratowała moje złudzenia. Bez nich... nie wiem, jak poradziłabym sobie. Od powstania obrazu, który oprawiłam w ramy pamięci, minęło tak wiele lat...

Juliana Dors zamilkła i zadumała się. Zapatrzyła się w siebie tylko znane

obrazy zamglonej przeszłości. Adam siedział naprzeciw, nie chcąc nawet westchnieniem spłoszyć jej wspomnień, w tej chwili tak bardzo ulotnych. Toffi wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Była wdzięczna, że Juliana obnaża przed nią swoje życie, mimo że jest wnuczką Stanisława, który w pewnym momencie zburzył spokój i porządek jej świata.

Na siódme urodziny dostałam nową lalkę. Mama czuła się tego dnia słabo i nie zrobiliśmy tym razem przyjęcia urodzinowego. Ivan chodził niespokojny, często podchodził do okna i długo czegoś wypatrywał. To były chyba najsmutniejsze urodziny w moim życiu. Musiałam siedzieć cicho w swoim kącie, żeby nie przeszkadzać mamie i nie kusić zła. Tak powiedział Ivan:

– Ty, doczka, baw się cicho, żeby zła nie kusić. I psa nie wypuszczaj. Niech on teraz w domu siedzi.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, o jakie zło chodzi. Od tej pory Ivan nie odchodził daleko, drzewa też nie rąbał, tylko zbierał chrust. Wieczorami brał siekierę i obchodził dookoła cały dom i najbliższe okolice. Słyszałam nieraz w nocy, jak też wychodził albo stawał przy drzwiach i czegoś nasłuchiwał. W ogóle noce stały się niespokojne. Mama często jęczała i narzekała na ból, ale nie pozwalała Ivanowi szukać lekarza. Nic mnie nie cieszyło. Czułam się uwięziona w domu, który Ivan rzadko pozwalał mi teraz opuszczać, nawet gdy pogoda była ładna. Popiół musiał nauczyć się chodzenia na sznurku tuż przy nodze. Ivan nie chciał mi powiedzieć, czego się boi. Wózek mamy odstawił do drewni. Przestała wstawać z łóżka i nie mówiła już więcej o powrocie do Konstancina. Ivan nadal wykonywał swoje obowiązki, a ja prócz tego, co robiłam dotychczas, przejęłam wszystkie prace, które należały wcześniej do niej. Bardzo się o nią martwiłam. Prawie nie rozmawiała. Najczęściej leżała z szeroko otwartymi oczami i patrzyła w sufit. Czasem prosiła, żebym zaśpiewała jej jakąś ukraińską dumkę. Zwłaszcza jedną lubiła najbardziej. Śpiewałam i wycierałam jej łzy, bo zwykle zaczynała płakać.

Zima przyszła wcześniej. Już w połowie listopada całe podwórko zasypane było śniegiem.

– Dobrze, dobrze – mówił Ivan. – Łatwiej będzie ślady wytropić.

– Czyje ślady, wujaszku? – pytałam.

– A ty, doczka, dużo chciałabyś wiedzieć. Ale nie wszystko dla twoich uszu nadaje się. Ot, baw się swoimi kukiełkami. Tam, przy nich, twoje sprawy. A w lesie moje sprawy, rozumiesz?

Nic nie rozumiałam, ale słuchałam Ivana i przestałam go prosić, żeby zabierał mnie z sobą do lasu. Brał Popioła na sznurek, siekierę za pas i znikał na długie godziny. Po tych wędrówkach wracał spokojniejszy. Przestał też nasłuchiwać po nocach i nie chodził wciąż dookoła domu, z siekierą za pasem.

Dziewiątego grudnia była straszna śnieżycą. Mama pojękiwała w swoim

łóżku i nie chciała wypić ziółek, które jej przygotowałam. Kiedy bawiłam się w swoim kąciku, zawołała mnie.

– Juliano – mówiła cicho i musiałam nachylać się nad nią bardzo nisko, żeby cokolwiek usłyszeć. – Na półce w glinianym garnuszku jest mapa.

– Jaka mapa, mamusiu?

– Wyjmij ją stamtąd i przynieś tutaj.

– Dobrze, mamusiu. – Zdziwiłam się, ale spełniłam jej prośbę.

Zacisnęła dłoń na ręce, w której trzymałam zwinięty rulonik.

– To teraz twój największy skarb – powiedziała. – Nie zgub jej. Połóż w takim miejscu, które dobrze zapamiętasz.

– Ale po co, mamusiu?

– Kiedy będziesz chciała stąd odejść, bez niej sobie nie poradzisz.

– Mamusiu, nigdzie stąd sama nie odejdę – zapewniałam. – Poczekam, aż wyzdrowiejesz i wtedy pójdziemy razem.

– Nie przerywaj mi, Juliano. Ciężko mi mówić. Posłuchaj, będziesz musiała iść sama. Teraz codziennie ucz się drogi, która jest oznaczona na mapie. Łatwiej byłoby iść wiosną, kiedy nie będzie już śniegu, ale nie wiadomo, co może się zdarzyć. Może będziesz musiała odejść stąd niedługo. Najważniejsze jest to, żebyś się nie bała. Nie wolno ci się bać, rozumiesz? – Uniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Wzrok miała straszny. Była w nim jakaś nadludzka siła i przerażenie jednocześnie. – Rozumiesz?! – powtórzyła głośniejszym głosem, wyraźnie oczekując ode mnie odpowiedzi.

– Tak, rozumiem, mamusiu.

– To dobrze... – Opadła na poduszkę i przez chwilę oddychała ciężko. – Kiedy wyjdiesz z lasu, poszukaj jakiejś kobiety. Pamiętaj, kobiety! Powiedz, że chcesz dostać się do pociągu. Niech pokaże ci drogę. Nie rozmawiaj z mężczyznami. Możesz trafić na banderowca. Nie wiem, co się teraz dzieje. Może ich już nie ma, nie wiem. Ale musisz być czujna.

– Mamusiu, a Ivan? Dlaczego nie mogę być z Ivanem?

– Ivan... Nie wiadomo, gdzie będzie Ivan – powiedziała, a ja znowu nic z tego nie rozumiałam. – Obiecuj, że zrobisz tak, jak mówię. Obiecuj, Juliano – zakończyła prawie szeptem.

– Obiecuję, mamusiu – powiedziałam i odeszłam do swojego kącika uczyć się mapy, która była dla mnie tylko niezrozumiałą plątaniną czarnych linii i strzałek. Potem odłożyłam ją na miejsce. Do glinianego, brązowego garnuszka.

Wieczorem, kiedy byłam już gotowa do snu, zawołała mnie ponownie.

– Juliano, połóż się koło mnie na chwilę.

Ucieszyłam się, bo Ivan pilnował, żebym nie kręciła się za bardzo przy mamie, a już wdrapywania się na jej łóżko zabronił mi kategorycznie. Przytuliła mnie i trzymała przy sobie tak mocno, że aż się zdziwiłam, skąd ma tyle siły, skoro

ostatnio musiałam jej trzymać kubek z wodą, żeby się napiła.

– A teraz wracaj do swojego łóżeczka – powiedziała po chwili. – Śpij spokojnie, córeczko.

– Dobranoc, mamusiu – powiedziałam i pocałowałam ją w policzek.

– Juliano, załóż moje buty – powiedziała nagle, gdy byłam już przy swoim łóżku.

– Słucham? – zapytałam nie rozumiejąc, o czym mówi.

– Załóż moje buty – powtórzyła.

– Mam założyć twoje buty, mamusiu? – Spojrzałam na swoje bose nogi i na łóżko, do którego właśnie miałam wejść, a potem pytająco na Ivana. Miał dziwną minę, ale nic nie powiedział.

– Na drogę, Juliano. Dobranoc.

– Dobranoc, mamusiu – powiedziałam cicho.

Juliana przerwała opowieść. Ukryła twarz w dłoniach i trwała tak dłuższą chwilę. Adam i Toffi nawet nie drgnęli, pozwalając jej na czas spóźnionej żałoby, której Juliana rzucona w wir wydarzeń, borykająca się z każdym kolejnym dniem, nie miała czasu przeżyć.

– Obudziłam się w środku nocy – usłyszeli ponownie jej spokojny głos. – Za oknem była śnieżycy. Mama siedziała przy moim łóżku na krześle i gładziła mnie po włosach. Ucieszyłam się, że tak pięknie wygląda i ma zdrowe nogi, ale byłam zbyt śpiąca, żeby jej o tym powiedzieć.

Kiedy rano wstałam, nie było jej w łóżku. Pomyślałam, że jednak wyzdrowiała i poszła doć krowę albo po wodę do studni. Zaczęłam się ubierać bardzo szybko, żeby pobiec do niej i się przywitać. Mimo że wciąż padał śnieg, chciałam zabrać ją na spacer. Pierwszy spacer od wielu miesięcy. Gdy byłam już ubrana i szukałam pod łóżkiem butów, wszedł Ivan. Zauważyłam, że ma bardzo czerwone oczy.

– Gdzie mamusia? – zapytałam trzymając jeden wydobyty spod łóżka but.

– Doczka... Twoja mamusia w sadzie.

– W sadzie? Co tam robi?

– Śpi. Ona tam śpi, doczka.

Miał taką minę, że przeszedł mnie dreszcz. Wyczułam, że stało się coś bardzo złego. Okropnego.

– Dlaczego śpi w sadzie? – rozplakałam się i zaczęłam okładać pięściami Ivana, który stał z opuszczoną głową i poddawał się biernie moim zaciśniętym pięściom.

– Chcę do niej iść! Chcę ją zobaczyć! – krzyczałam, nie przestając bić Ivana.

– Idź – powiedział i odsunął się na bok, żeby zrobić mi przejście.

Wybiegłam z domu nie dbając o cieplejsze okrycie ani pozostawione

otworem drzwi.

– Mamusiu! – wołałam biegnąc między drzewami. Buty zapadały się w świeżym śniegu. – Mamusiu! Mamusiu!

Nigdzie jej nie znalazłam. Pomyślałam, że skoro nogi jej wyzdrowiały, poszła przez las, żeby wrócić do Konstancina beze mnie, a Ivan zmyślił całą tę historię. Nie wiedziałam, że wzgórek pod śliwą, ledwo przykryty cienką warstwą śniegu, to właśnie miejsce, w którym śpi.

Juliana westchnęła, wstała z fotela i podeszła do okna. Przez chwilę trwała w milczeniu.

– Chmurzy się – powiedziała. – To dobrze. Potrzebny jest deszcz. Bardzo potrzebny.

Potem naląła herbaty do dwóch kubków, z których jeden podała Adamowi, a drugi Toffi.

O jej grobie Ivan powiedział mi kilka dni później. Nie chciał, żebym trwała w przekonaniu, że oszukała mnie, zostawiła.

– Kochaj ją, doczka – powiedział. – Ona też cię kocha, nawet kiedy śpi tam, pod śliwą.

Nie wspomniał ani słowem, że obok niej spoczywa mój ojciec. Wiedział, że ona nie życzyłaby sobie tego.

Zostaliśmy we dwoje. Ivan robił wszystko, żebym nie myślała o pustce, której niczym nie umiałam zapełnić. Dawał mi tak dużo zajęć, że nie miałam czasu na rozpamiętywanie, rozdrapywanie ran. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, najtrudniejszy czas, kiedy w pamięci miałam jeszcze ostatnią wspólną z nią Wigilię. Ivan był prosty, natura nie poskąpiła mu jednak zwykłej, życiowej mądrości. Dni były podobne do siebie i on postanowił nie mówić o świętach ani jednym słowem. Tak, jakby w ogóle ich nie było. Nie wspomniał o choince ani o przygotowaniu wieczerzy. Ten dzień miał być taki, jak każdy inny. Stało się jednak inaczej. Wieczorem 24 grudnia, gdy wszystkie rodziny zbierały się przy wigilijnym stole, my porządkowaliśmy zapasy w komorze. Trudno pamiętać o świętach, gdy ma się ręce pełne roboty, a w oczach i ustach kurz unoszący się z długo nie trzepanych worków po zbożu i mące. Płomyk lampy naftowej dawał niewiele światła i Ivan wysłał mnie do izby, żebym poszukała świecy. Przewracałam wszystko w skrzyni, gdy nagle usłyszałam głośne walenie pięścią w szybę. Przestraszyłam się i pobiegłam do komory, żeby powiedzieć o tym Ivanowi. Błyskawicznie zdjął z siebie kapotę, którą założył na mnie, i wypychając mnie przez małe okienko wychodzące na sad, szepnął:

– Uciekaj, doczka. Jak najdalej uciekaj! Szybko!

Zapałam się w śniegu, w którym został mi jeden but. Schyliłam się, żeby go wydobyć i wtedy usłyszałam najpierw ujadanie, a potem przeraźliwy skowyt psa. Z butem w ręku biegłam na oślep przez sad, potykając się o gałęzie i zarośla.

Zatrzymałam się między pierwszymi drzewami lasu, włożyłam but i otuliłam się szczerzej kapotą Ivana. Było ciemno. Jedynie biel śniegu odbijała nieco światła. Z tej odległości nie słyszałam już żadnych dźwięków. Brnęłam przez śnieg coraz głębiej w las, nie myśląc o dzikiej zwierzynie, którą mogłabym spotkać. Myślami byłam przy Ivanie. Bałam się o niego i Popioła. Zaczęłam zastanawiać się, jak długo mam tak wędrować i kiedy mogę bezpiecznie wrócić do domu. Nie wiedziałam, kto przyszedł do domu i jakie miał zamiary. Wiedziałam jedynie, że skoro Ivan kazał uciekać, to trzeba go posłuchać. Dysząc ciężko zatrzymałam się za gęstą kępą zarośli. Śnieg sięgał mi do kolan i dygotałam z zimna mając go pełne buty. Kapotę Ivana naciągnęłam na głowę, a ręce wsunęłam w rękawy, jak w mufkę. Nie wiem, ile czasu tak stałam, nogi drętwiały mi z braku ruchu i zimna. Postanowiłam przejść dalej i poszukać jakiegoś pnia, na którym mogłabym usiąść. Znalazłam taki parę metrów dalej. Zgarnęłam śnieg i z ulgą rozprostowałam nogi. Trzęsłam się cała, nie mogłam zapanować nad szczykaniem zębami. W miarę upływu czasu zimno przestało mi dokuczać. Zaczęła ogarniać mnie błoga senność. Wtedy przyszła mama i zaczęła mnie szarpać za ramię.

– Obudź się, słyszysz?! Obudź się! Wstawaj! Nie wolno ci teraz spać! Nie śpij, Juliano! Juliano!

Ocknęłam się i rozejrzałam wokół siebie, ale mamy nigdzie nie było. Wstałam jednak i powoli ruszyłam przed siebie. Nie wiedziałam zupełnie, dokąd idę. Krążyłam tak po lesie, z trudem wyciągając nogi z głębokiego śniegu. Co jakiś czas opierałam się o drzewo, żeby nieco odpocząć i nie upaść. Zaczęło świtać. Wtedy rozpoznałam miejsce, w którym się znalazłam. Byłam niedaleko domu. Bałam się jednak do niego wracać. Nie wiedziałam, czy nie zastanę tam kogoś, przed kim Ivan kazał mi uciekać. Postanowiłam podejść bliżej i poobserwować dom. Stałam długo, ukryta za zaroślami pokrytymi grubą warstwą śniegu. Zauważyłam, że drzwi chaty otwarte były na oścież, ale nie dostrzegłam żadnego ruchu. Gwizdnęłam głośno na psa, tak jak nauczył mnie Ivan, ale Popiół nie przybiegł. Chowając się za kolejne drzewa dotarłam aż do płotu. Teraz patrzyłam na dom z dużo mniejszej odległości. Żadnego ruchu. Panowała upiorna, śmiertelna cisza. Z sercem w gardle wynurzyłam się zza krzaków i powoli zaczęłam skradać się w kierunku domu. Podeszłam pod okno i zajrzałam do środka. Nie dostrzegłam nikogo. Wślizgnęłam się przez otwarte drzwi i wstrzymując oddech obeszłam dookoła izbę i komorę. Zauważyłam, że nasze zapasy zniknęły. Wdrapałam się po drabinie na górę i obeszłam wszystkie kąty. W chacie nie było nikogo. Zeszłam na dół i wyjrzałam na podwórko. Gwizdnęłam jeszcze raz na psa. Wokół panowała przerażająca cisza. Zajrzałam do obory, potem do kurnika. Były puste. Wychodząc z kurnika zauważyłam w słomie jajko. Rozbiłam skorupkę i wypiłam je na surowo. Wróciłam do chaty i zamknęłam za sobą drzwi na haczyk. Potem usiadłam na łóżku mamy i siedziałam tam całą wieczność, patrząc bezmyślnie przed siebie. Nie

płakałam. Nie zastanawiałam się, co mam robić dalej. Nie czułam zimna, choć w domu panowała temperatura taka sama jak na dworze. Nie czułam nic. Wtedy z półki spadł brązowy, gliniany garnuszek.

Podskoczyłam, jak zbudzona z letargu. Wstałam z łóżka i wyjęłam z garnuszka mapę. Rozwinęłam rulonik i jeszcze raz przyjrzałam się plątaninie czarnych linii. Potem wyjęłam spod poduszki pamiętnik mamy, owinęłam go szmatką i położyłam na skrzyni. Z wazonika wyjęłam zasuszone kwiatki, które zbierałam dla niej latem, i ułożyłam na pamiętniku. Swoje lalki ułożyłam w kolejności od pierwszych do siódmych urodzin. Z drewnianej skrzyneczki wydobyłam pierścionek po babci i wzięłam ze stołu mapę. Ubrałam się w kapotę Ivana i wyszłam z domu zamykając drzwi na skobel. Kiedy byłam już za furką, przypomniałam sobie o czymś bardzo ważnym. Wróciłam, zdjęłam swoje buty i włożyłam filcowe buty mamy. Potem opuściłam dom na zawsze.

Można sobie wyobrazić, jak wyglądałam w starej, wielkiej męskiej kapocie sięgającej mi prawie do stóp, z rękawami dwa razy dłuższymi od moich rąk, w butach powyżej kolan, za dużych o kilka numerów, kłapiących przy każdym kroku, i dziwacznej czapce uszytej z zajęczych skórek. Idąc między ludzi nie zdawałam sobie sprawy, jakie wrażenie mogę wywołać swoim wyglądem. Na razie brnęłam przez las i prócz tego, że było mi niewygodnie, nie widziałam niczego niestosownego w swoim stroju. Byłam tak przejęta opuszczeniem domu, że nie zastanawiałam się też, co stało się z Ivanem, Popiołem i resztą inwentarza. Byłam pewna, że Ivan zabrał psa, krowę, kury i schronił się gdzieś przed nieproszonym gościem.

Rozglądałam się bacznie, spodziewając się, że spotkam ich na swojej drodze i razem szczęśliwie powrócimy do naszej chaty. Co jakiś czas pogwizdywałam na psa, który wciąż się nie pojawiał. Dzięki tym złudzeniom nie popadłam w rozpacz i brnęłam przed siebie pełna optymizmu. Poza tym wciąż miałam w uszach słowa mamy: „Najważniejsze, żebyś się nie bała. Nie wolno ci się bać, rozumiesz?”

Pamiętałam jej wzrok pełen determinacji i nadludzkiej siły. To ona bała się wtedy o mnie. Zdawała sobie sprawę, że jej chwile są policzone i zostawi mnie zupełnie samą na pastwę losu i obcych ludzi.

Wydawało mi się, że idę tak całą wieczność. Ten las po prostu się nie kończył. Ponadto w każdym miejscu wyglądał tak samo i nie wiedziałam, czy nie kręcę się w kółko, jak nieraz Popiół za swoim ogonem. Byłam bardzo głodna. Rozglądałam się za czymś jadalnym, ale w środku zimy nie miałam szans na znalezienie choćby źdźbła trawy. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, plątały się i nie miałam już sił przytrzymać butów podkurczonymi palcami. Przysiadłam na pniu zwalonego drzewa, z którego zgarnęłam śnieg, i zaczęłam upychać w butach zdarte z kory mech, gdy nagle usłyszałam głuchy dźwięk siekiery. Poderwałam się i ruszyłam w tamtym kierunku. Zbliżałam się do tego dźwięku, aż moim oczom



ukazał się mężczyzna pracujący przy ściętym drzewie. W pierwszej chwili chciałam krzyknąć, bo wydawało mi się, że to Ivan. Powstrzymałam się jednak widząc obok niego młodego, może trzynastoletniego chłopaka zjadającego coś wystającego z kawałka gazety. Poczułam bolesny ucisk w żołądku i zakręciło mi się w głowie. Po raz pierwszy zapomniałam o przestrodze matki i mimo że nie były to kobiety, podeszłam odważnie, licząc na kawałek chleba. Obaj znieruchomieli na mój widok i przez długi, przerażająco długi czas patrzyli na mnie jak na istotę nie z tego świata. Potem wymienili spojrzenia, dorosły mężczyzna odrzucił siekiere i wciąż milcząc podszedł do mnie. Ten drugi też. Obejrzelni mnie od stóp do głów i ten młody powiedział coś po ukraińsku, chyba do ojca, bo usłyszałam słowo: tatoje. Stary wzruszył ramionami i zwrócił się do mnie.

– Toj że ty? Dzie ż waszi batyki?

Nie rozumiałam ani słowa. Popatrzyli znowu na siebie i ten stary zapytał:

– Dzie mama? Mama. Rozumiecie?

Tyle zrozumiałam.

– Nie mam mamy. Szukam Ivana. Widzieliście Ivana?

– Ivana? Ty Polka?

– Tak – odpowiedziałam. – Polka. Daj chleba – poprosiłam tego młodszego i wyciągnęłam rękę jak żebraczka. Ten gapił się na mnie, nie rozumiejąc, o czym mówię.

– Fiodor, dati chliba – powiedział stary i ruchem głowy wskazał mu zawiniątko pozostawione na stosie chrustu.

Chłopak wziął chleb, ułamał kawałek i wyciągnął w moją stronę. Tak podawałam czasem kęsy jedzenia Popiołowi, ostrożnie, żeby przypadkiem nie capnął mnie zębami. Stary spiorunował go wzrokiem i Fiodor dał mi resztę chleba. Podziękowałam i w ułamku sekundy pozostały tylko okruchy, które zgarnęłam pieczołowicie i wsypałam do buzi.

– Poczekajże, poki my zakinczujemo – powiedział ojciec Fiodora i wskazał mi płachtę rozciągniętą na śniegu, na której leżał chrust, po czym wziął się żywo do roboty.

Zrozumiałam, że mam zaczekać, aż skończy. Przysiadłam na płachcie i przyglądałam się ich pracy. We dwóch piłowali ścięte drzewo na mniejsze kłocze i układali je na dużym wózku stojącym nieopodal. Kiedy wózek był załadowany, przysypali drewno chrustem, na który kazali mi wejść i przykryli wózek wraz ze mną wilgotną od śniegu płachtą.

– Spokojno posiditi! – rozkazał stary takim tonem, że od razu zrozumiałam, iż mam się nie ruszać i siedzieć cicho. Wózek podskakiwał na wybojach, łapałam się wystającego chrustu, ale wtedy zsuwałam się razem z nim. W końcu jakimś cudem uczepiłam się krawędzi wózka i jechałam już bez obawy, że spadnę. Stary ciągnął krótki dyszel, a młodszy przytrzymywał drewno i popychał wózek z tyłu.

Podróż trwała w nieskończoność. Czułam odrętwienie we wszystkich częściach ciała. W końcu zatrzymaliśmy się i Fiodor odkrył płachtę.

– Do osieli! Szwidko! – powiedział podniesionym głosem.

Patrzyłam nie rozumiejąc.

– Do domu, do domu! – krzyknął jego ojciec, złapał mnie za rękę i poprowadził ku otwartym drzwiom, rozglądając się wokół trwożliwie. W sieni czekała drobna kobieta w prostej, brązowej sukience. Stary wepchnął mnie w jej ramiona i powiedział coś po ukraińsku, zbyt szybko, by dotarł do mnie sens tych słów. Kobieta wprowadziła mnie do izby, w której było bardzo ciepło. Posadziła mnie niemal siłą na krześle, zdjęła ze mnie kapotę Ivana i wielkie buty mamy, którym przyjrzała się kręcąc z dezaprobatą głową. Patrzyłam na nią w milczeniu, nie mając pojęcia, co ci ludzie chcą dalej ze mną zrobić.

– Ty Polka? – zapytała w końcu.

Bez słowa skinęłam głową.

– Rozumiem po polsku, możesz mówić – zachęciła. – Skąd idziesz?

– Z lasu – odpowiedziałam.

– U ciebie nie ma mamy i taty? – pytała, przyglądając mi się uważnie.

– Mamę Ivan zakopał pod śliwą, a tata poszedł daleko.

– Nadzijno do wijni – mruknęła pod nosem, a widząc, że nie rozumiem, powtórzyła po polsku: – Pewnie na wojnę. A Ivan to kto?

– Wujaszek. Ukrainiec. Dobry wujaszek.

– I gdzie on teraz?

– Nie wiem. Też poszedł.

– Niczowo nie rozumiu. Zostawili ciebie i poszli?

– Poszli – szepnęłam uświadamiając sobie tę smutną rzeczywistość.

– No dobrze... Ty pewnie głodna? Chodź. – Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do drugiej izby, gdzie stał duży stół i kilka krzeseł, na których czekali już Fiodor i jego ojciec.

Kobieta wskazała mi miejsce, które mam zająć. Na stole postawiła dużą misę ziemniaków i położyła kilka drewnianych łyżek.

– Chcesz mleko? – zwróciła się do mnie.

– Tak, poproszę.

Podawała mi mleko i usiadła przy stole. Prowadzili rozmowę po ukraińsku, co pewien czas zerkając w moim kierunku. W pewnym momencie kobieta pogłaskała mnie po włosach i uśmiechnęła się ciepło, a oni pokiwali głowami. To był moment, w którym przestałam odczuwać napięcie towarzyszące mi od nocnej ucieczki z leśnej chaty. Intuicyjnie czułam, że ze strony tych ludzi nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Uspokojona i najedzona do syta poczułam senność, nad którą nie mogłam zapanować. Stary wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka. Spałam bardzo długo, bo ocknęłam się, kiedy wstawał nowy dzień. Do moich uszu dobiegało

chrapanie z sąsiedniego łóżka, na którym, jak się okazało, spał Fiodor. Kobieta krzątała się przy piecu i rozpaliała ogień. Kiedy podniosłam głowę, przywitała mnie zatroskanym uśmiechem.

– Jakie twoje imię? – zapytała.

– Juliana.

– Ja nazywam się Arina. Tak mi mów, Arina. Mój mąż to Mykoła, a syn Fiodor. Zapamiętasz? Fiodor.

Pokiwałam głową na znak, że zapamiętam.

– Mam dla ciebie ubranie. Porządniejsze niż to, w którym przyszłaś – powiedziała i wskazała ruchem głowy ułożony w kostkę komplet odzieży. Wszystko było używane, ale czyste i schludne.

Wstałam i ubrałam się w wełnianą sukienkę oraz grube rajtuzy. Potem dostałam chleb i mleko na śniadanie. Kiedy siedziałam przy stole i dopijałam mleko, ktoś zapukał. Arina złapała mnie za ramię, wyprowadziła do izby, gdzie stały łóżka, i kładąc palec na usta na znak, że mam być cicho, zamknęła za sobą drzwi. Fiodor obudził się właśnie i szybko się ubrał. Nie rozmawiał ze mną, tylko od czasu do czasu zerkał na mnie z ciekawością. Potem drzwi wejściowe trzasnęły, weszła Arina i wręczyła mi szczotkę do zamywania. Ucieszyłam się, że mam zajęcie, a ona rozplątywała się nad moją umiejętnością zamywania. Mykoła przyszedł, gdy na kuchni dogotowywała się kasza, a obie izby były czyściutko wysprzątane. Wyglądał na zmartwionego i długo szeptał o czymś w kącie z Ariną. Domyślałam się, że rozmowa dotyczy mnie, ponieważ często na mnie spoglądał. Arina kiwała głową ze zrozumieniem, ale minę miała smutną. Po obiedzie usiadła naprzeciw mnie.

– Juliana – powiedziała. – Chciałam, żebyś mieszkała tu jak rodzona doczka, ale nie możesz u nas zostać. Tutaj niebezpiecznie. Czy u ciebie jest jakaś simja? Rodzina? – poprawiła się.

– Tak. Mam babcię w Konstancinie.

– Kto by tam wiedział, gdzie ten Konstancin... – westchnęła.

– Mamusia mówiła, że koło Warszawy – powiedziałam.

– Koło Warszawy! – klasnęła w ręce. – Sława Bogu! Do Warszawy koleją pojedziesz. Mykoła zawiezie cię i kupi bilet. A tam już ludzie pomogą.

Arina zakrzętnęła się wokół prowiantu na drogę i przyodziewku. Zapakowała spory węzełek z jedzeniem i pokazała porządne buty i ciepły paltocik.

– Ot, doczka moja nosiła, teraz jej nie ma, to na ciebie będzie charoszij.

Mykoła pożyczył gdzieś konia i wyściskawszy Arinę ruszyłam w drogę pod osłoną nocy. Nigdy przedtem nie widziałam konia, toteż wystawiając głowę spod derki, którą troskliwie nakryła mnie Arina, przyglądałam mu się z zaciekawieniem. Jechaliśmy długo pustą drogą, Mykoła drzemał siedząc na desce z przodu wozu. W końcu i mnie zmorzył sen, otuliłam się szczelniej derką i spałam aż do końca

podróży. Mykoła obudził mnie, kiedy byliśmy już na miejscu. Wszystko tu było dla mnie nowe, nieznanne, obce. Mykoła wręczył mi bilet, który zakupił w kasie, polecił czekać, aż nadjedzie pociąg, do którego powinnam wsiąść, i odjechał, by czym prędzej zwrócić konia właścicielowi. Zostałam zupełnie sama wśród tłumu ludzi oczekujących na przyjazd pociągu. Nie wyobrażałam sobie, że na świecie żyje tyle ludzi. Ławki ustawione w poczekalni były zajęte. Pozostali pasażerowie siedzieli na własnych tobołkach lub snuli się tam i z powrotem po poczekalni. Wyszłam na zewnątrz, gdzie znalazłam jakąś drewnianą skrzynkę. Usiadłam na niej i zapatrzyłam się w coś, co wyglądało jak długa leżąca drabina. Nie miałam pojęcia, ile czasu będę tak czekać. Na dworze było zimno i prószył drobny, ostry śnieg. Wróciłam do poczekalni i zajrzałam do zapasów, które przygotowała mi Arina. Zanim zjadłam cokolwiek, wszyscy zerwali się z ławek i wybiegli z poczekalni. Złapałam swój tobołek i pobiegłam za nimi. Po drabinie, o której mówiono „tory”, wjechała sapiąc i hucząc przerażająca maszyna. Domyśliłam się, że to jest właśnie pociąg, do którego mam wsiąść. Zostałam wepchnięta przez napierający tłum. Czułam się podekscytowana i przestraszona zarazem. W ciągu zaledwie kilku dni miałam za sobą tyle nowych doświadczeń.

– Sądzę, że czas na kolację – Juliana zniemacka przerwała opowieść i klasnęła w rękę. Toffi aż podskoczyła na ten dźwięk, tak różny od monotonnego głosu. – Myślę, że Joanna już wróciła i możemy zjeść razem w salonie. Chodźmy.

– Nie chcemy robić kłopotu – powiedział Adam z nieśmiałym uśmiechem, choć pusty żołądek zaczął dawać o sobie znać.

– Ależ to żaden kłopot! Na pewno znajdzie się coś dobrego.

Juliana ruszyła pierwsza i trzymając się poręczy, zeszła dziarsko po schodach. Na dole szepnęła coś do kobiety, w której Adam domyślił się prawej ręki pani domu zatrudnionej jako pomoc. Domyślili się, że jest to prawa ręka pani domu, zatrudniona jako pomoc.

Pani Joanna zwabiona odgłosami z holu wynurzyła się ze swojego pokoju. Koło jej nóg kręcił się nieodłączny pies.

– Wanilia! – zawołał na jego widok Adam, zapominając, że może nie zareagować na swoje chwilowe imię.

– A wie pan, że ja go też tak nazywam? – roześmiała się pani Joanna i Adam patrząc na nią pomyślał, że dawno nie widział tak pięknej kobiety.

Podczas kolacji śmiali się i żartowali. Nawet Juliana straciła wyraz melancholijnej zadumy.

– Kasiu! – zawołała wgląd mieszkania – podaj proszę butelkę wina, tego ze spiżarni! Domowej roboty – dodała, gdy Kasia wyglądająca raczej na Katarzynę stanęła w drzwiach z dwiema butelkami do wyboru.

– Wino nauczyła mnie robić babka Olena. Jeszcze nie wiecie, kto to taki – powiedziała z uśmiechem Juliana.

– Babcia Olena z Podlasia? – zapytała Toffi i mrugnęła do Adama.  
– Z Podlasia – przytaknęła Joanna. – Skąd o niej wiecie?  
– Od Romańczuka – odparła Toffi.  
– Od Janka Romańczuka? – zapytała ciszej Juliana, a na jej policzki wypełzły czerwone plamy. – On żyje?  
– Pewnie, że żyje. I ma się całkiem dobrze – wtrącił Adam.  
– Skąd go znacie? – chciała wiedzieć Juliana, przerzucając spojrzenie z Adama na Toffi.

– Byliśmy tam. Szukaliśmy pani śladów – powiedział Adam.  
– Więc przy nim zostały moje ślady... – powiedziała powoli i zamilkła.

Adam i Toffi spojrzeli po sobie zaniepokojeni. Może wtargnęli w zbyt delikatną część wspomnień swojej bohaterki?

Po kolacji poszli za Julianą na górę, by wysłuchać jej dalszych opowieści.

W pociągu było bardzo ciasno. Stałam ściśnięta z każdej strony przez obcych ludzi. Zachowywali się bardzo głośno. Śmiali się i rozmawiali ze sobą przekrzykując się nawzajem. Kobieta stojąca tuż obok wiozła w węzélku jakiegoś dużego, żywego ptaka. Łypał na mnie okiem i syczał co chwilę.

– A co ty, gęsi się boisz? – zapytała kobieta widząc moją wystraszoną minę.

– Nie widziałam nigdy gęsi – odparłam odsuwając się, na ile było to możliwe, bo gęś wyciągnęła do mnie długą szyję.

– Pewnie miastowa jesteś. Mamusia musi cię na wieś zawieźć!

– Nie mam mamusi.

– To z kim teraz jedziesz? – Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nikogo, kto wyglądałby na mojego opiekuna.

– Sama – odpowiedziałam, jakby podróżowanie siedmioletniej dziewczynki bez opieki było czymś naturalnym.

– Sama? I dokąd ty tak jedziesz?

– Do Warszawy!

– Ale to pociąg do Krakowa! – zawołała i spojrzała na najbliższej stojących pasażerów, żeby ocenić ich reakcję, lecz nikt nie był zainteresowany toczącą się między nami rozmową. Kobieta widocznie nie chciała brać sobie na głowę kłopotu w postaci małej dziewczynki, która podróżowała nieodpowiednim pociągiem, bo najpierw odsunęła się nieco, a potem zniknęła gdzieś w tłumie. Ludzie porozsiadali się na swoich tobołkach i drzemali ukołysani monotonnym ruchem pociągu. Przykucnęłam między nimi, a po pewnym czasie udało mi się nawet usiąść na podłodze zdeptanej setkami butów. Po wielu godzinach jazdy dotarliśmy na miejsce. Nie wiedziałam, co mam teraz z sobą zrobić. W mieście znalazłam się po raz pierwszy w życiu. W dodatku nie w tym mieście, do którego zmierzałam.

Szłam przed siebie, rozglądając się wokół. Było tu bardzo dużo domów, wyglądających zupełnie inaczej niż chata w lesie czy dom Ariny. Te były wysokie

i miały dużo okien. Pod jednym z nich siedział mężczyzna. Łapał przechodniów za poły palt i wyciągał do nich rękę w taki sposób jak ja, kiedy prosiłam o chleb Fiodora. Gdy przechodziłam obok niego, usłyszałam:

– Jestem głodny...

Zatrzymałam się. Siedział na dużym kawałku tektury i patrzył na mnie błagalnie. Zauważyłam, że nie ma nóg.

– Nie jadłeś śniadania? – zapytałam.

– Nic nie jadłem, nic. Jestem głodny.

– Możemy zjeść razem – powiedziałam i uśmiechnęłam się do niego.

Przypominał mi Ivana, choć był od niego trochę młodszy. Przesunął się na swojej tekturze i zrobił mi miejsce obok siebie. Usiadłam i sięgnęłam po zapasy od Ariny. Mężczyzna patrzył łakomie. Podzieliłam wszystko na dwie równe porcje i jedną z nich podałam jemu.

– Niech ci Pan Bóg wynagrodzi, dziecko – powiedział, a oczy mu zwilgotniały.

Jedliśmy w milczeniu.

– Nie mam nóg – powiedział znienacka.

– Widzę. Ivan nie miał palców – powiedziałam z buzią pełną chleba.

– Bomba nogi urwała – oznajmił, nie zwracając uwagi na wzmiankę o Ivanie.

– Co to bomba?

– Pytasz, jakbyś wojny nie znała.

– Nie znam.

– Nie znasz?

– Nie.

– To dobrze. Nikomu ona nie jest potrzebna. – Przez chwilę żuł w milczeniu. – Przed wojną byłem krawcem. Szyłem piękne suknie dla bogatych dam. Tobie też bym uszył – spojrzał na mnie, jakby właśnie brał miarę.

– Nie trzeba. Dostałam sukienkę od Ariny.

Mężczyzna znowu o nic nie zapytał.

– Z jedną taką bogatą paniusią chciałem się nawet ożenić.

– Nakrzyczała na ciebie?

– Skąd wiesz? – ożywił się.

– Mamusia nakrzyczała na Ivana, kiedy chciał się z nią ożenić.

– No widzisz. Ty tak nie rób.

– Dobrze, nie zrobię tak.

– Codziennie przychodzi tu taka jedna zakonnica. Daje mi chleb.

– Chcesz się z nią ożenić? – zapytałam wycierając usta wierzchem dłoni.

– Nie, to przecież zakonnica.

– Aha – powiedziałam, choć nie miałam pojęcia, kto to zakonnica.

- Przed wojną miałem mieszkanie w kamienicy.
- Z kamieni?
- Dlaczego z kamieni?
- Bo w kamienicy.
- Nie, z cegły. Ale już jej nie ma. Bomba na nią spadła.
- Ta, która urwała ci nogi?
- Ta sama.

Milczeliśmy dłuższą chwilę, obserwując przechodniów. Mijali nas obojętnie, naciskając czapki na uszy i owijając się szczelniej kraciatymi szalikami.

- Pójdę już – powiedziałam wstając z miejsca i poprawiłam paltocik.
- Dobrze – zgodził się. – Jeszcze raz ci dziękuję.

Wędrowałam po nieznanym mi mieście i wszystkiemu się dziwiłam. Śpieszącym się ludziom, dziwnym pojazdom, których nikt nie ciągnął, a jednak jeździły głośno warcząc, sklepom, w których ustawiały się długie kolejki i pachniało świeżym pieczywem. Kiedy ponownie poczułam głód, ustawiłam się w jednej z nich i cierpliwie poczekałam na swoją kolej.

- Chcesz chleb, dziewczynko? – zapytała koścista, wysoka kobieta.

Pokiwałam głową i przełknęłam ślinę.

- Ile?

- Dla mnie i dla tego pana, co nie ma nóg – powiedziałam.

Kobieta zapakowała bochenek chleba w papier i poprosiła o pieniądze.

- Ale ja nie mam... – zmartwiłam się i rozłożyłam bezradnie ręce.

– To trudno. Przyjdiesz, jak będziesz miała – oznajmiła. Odłożyła towar na bok i zwróciła się do następnego klienta.

Odeszłam od lady i zawstydzona opuściłam sklep. Nagle ktoś chwycił mnie za ramię. Rozpoznałam starszego pana, który stał tuż za mną.

– Proszę – podał mi jeszcze gorący ciemny chleb z twardą, apetyczną skórką.

- Ale ja nie mam... – zaczęłam zaskoczona.

- Nie trzeba, nie trzeba – przerwał mi. – Jedz, na zdrowie.

Stałam i patrzyłam, jak znika za rogiem szarego budynku. Przycisnęłam zawiniątko do siebie i pobiegłam w kierunku, w którym, jak mi się wydawało, zostawiłam mężczyznę bez nóg. Nigdzie jednak nie mogłam go znaleźć. Zapadał zmierzch, byłam zmęczona i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nie mam gdzie spać. Jedyne miejsce, które mogłam uznać za coś stałego, to kawałek brudnej tektury obok mężczyzny bez nóg. Postanowiłam odszukać to miejsce za wszelką cenę. Zerwał się wiatr i ludzi na ulicy ubywało. Każdy ukrył się w ścianach swojego domu. Poczułam się samotna i opuszczona. Wtedy zobaczyłam pod murem tarmoszony przez wiatr karton, jednak mężczyzny już na nim nie było. Skuliłam się na jego miejscu i zjadłam kawałek chleba podarowany przez starszego

pana. Zmrok stawał się coraz głębszy i ulice prawie opustoszały. Ostatni przechodnie szli w pośpiechu, nie zwracając na mnie uwagi. Czekałam na beznogiego mężczyznę skubiąc po kawałku chleba, ale on się nie pojawił. Było bardzo zimno, śnieg zaczął sypać drobną, zmrożoną kaszką. Wtedy zjawiała się ona. Postać w długiej szacie i czarnym welonie na głowie. Spod welonu wystawała biała tkanina okalająca twarz. Kobieta nachyliła się nisko i o nic nie pytając, powiedziała tylko:

– Chodź, dziecko.

Wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Szła bardzo szybko i nie mogłam nadążyć na zeszywniałych z zimna nogach.

– Szybciej, dziewczyno – syknęła odwracając się do mnie i szarpnęła mocniej za rękę.

Nie miałam odwagi zapytać, dokąd idziemy. Bałam się tej postawnej kobiety w długim czarnym płaszczu, sięgającym pięt. Zaprowadziła mnie do szarego budynku z wysokimi schodkami przed wejściem. Musiałam wysoko podnosić nogi, by im sprostać. Nacisnęła na dzwonek, który odezwał się gdzieś w głębi pomieszczenia. Otworzyła nam kobieta o surowym wyrazie twarzy. Ubrana była podobnie do tej pierwszej, tylko zamiast płaszcza miała białą szatę i coś czarnego i długiego na plecach. Wpuściła nas do środka i podniosła brwi w niemym pytaniu.

– Znalazłam ją niedaleko dworca. Siedziała pod ścianą jednej z kamienic – powiedziała ta, co mnie przyprowadziła i zniknęła w jakimś pomieszczeniu, zostawiając mnie z tą surową.

– Chodź ze mną dziewczynko. – Wyprostowana i dostojna szła tak szybko, że widziałam tylko powiewający czarny welon.

Weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia, gdzie stało biurko, dwa krzesła i regał ze stosami dokumentów.

– Usiądź – wskazała mi miejsce, sama zajmując to za biurkiem. Sięgnęła po ołówek, który pośliniła końcem języka, następnie wstała i wyjęła z półki gruby zeszyt.

– Proszę pani... – zaczęłam nieśmiało, ale nie pozwoliła mi dokończyć.

– Nie zwracaj się do mnie w ten sposób. Jestem matką przełożoną, do pozostałych osób z personelu mów „siostró”.

– Siostró?

– A co się tak dziwisz? – Matka przełożona zsunęła nieco okulary z nosa i przyjrzała mi się badawczo. – Jesteś w domu prowadzonym przez zakonnice, czyli siostry zakonne, i tak należy się do nich zwracać.

– Dobrze – szepnęłam.

– Jak się nazywasz? – zapytała i zerknęła znad okularów, a jej ołówek zawisł wyczekująco w powietrzu.

– Juliana – odpowiedziałam krótko.



- Nazwisko. Znasz swoje nazwisko?
  - Tak, znam... Juliana Dors.
  - Dors?
  - Tak, proszę pa... proszę matki przełożonej – poprawiłam się natychmiast pod jej piorunującym spojrzeniem.
  - Kiedy się urodziłaś, wiesz?
  - Wiem, oczywiście, proszę matki przełożonej.
  - No to kiedy?
  - Szesnastego października tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, proszę matki przełożonej – wyrecytowałam, jak uczyła mnie mamusia.
  - Nie musisz ciągle powtarzać „proszę matki przełożonej”, to jest irytujące.
  - Dobrze.
  - Gdzie?
- Milczałam.
- Gdzie się urodziłaś? – powtórzyła i postukała ołówkiem w blat biurka.
  - Nie wiem – powiedziałam cicho, bo poczułam się jak winowajca.
  - Nie wiesz, gdzie się urodziłaś? Może nie pamiętasz? – Spojrzała karcąco, jakby od tego zależało, czy przypomnę sobie, czy nie.
  - Pamiętam.
  - No więc?
  - W lesie.
  - W lesie? Ale gdzie, w jakiej miejscowości?
  - Nie wiem. W lesie, w Bieszczadach.
  - No i co ja mam ci tu wpisać w rubryce „miejsce urodzenia”? – zdenerwowała się.
  - Nie wiem, pro... – ugryzłam się w język, żeby nie zdenerwować jej jeszcze bardziej.
  - No dobrze... To na razie tyle. Siostró Serafino! – zawołała w kierunku uchylonych drzwi, w których po chwili stanęła kobieta o dziwnym imieniu.
  - Czy wszystko gotowe?
  - Tak, siostra Elioza wydała pościel i piżamę. Czy... – tu siostra Serafina spojrzała na matkę przełożoną pytająco.
  - Juliana – powiedziała matka przełożona. – Ona nazywa się Juliana Dors.
  - Czy Juliana ma zjeść kolację?
  - To zbyteczne. O tej porze dziewczynki już śpią. Nie powinna na noc przeciągać żołądka. Idź za siostrą Serafiną – zwróciła się do mnie. – Wskaże ci twoje łóżko. Porozmawiam z tobą jutro.
- Wstałam z miejsca i ruszyłam w kierunku drzwi.
- Pożegnaj się z matką przełożoną – szepnęła siostra Serafina.
  - Dobranoc – powiedziałam.

– Dobranoc, dziecko, dobranoc – odpowiedziała.

Pomieszczenie, do którego wprowadziła mnie siostra Serafina, było dużą salą, w której mieściło się dwadzieścia łóżek. Wszystkie prócz jednego zajęte były przez dziewczynki w różnym wieku. Stwierdzenie, że o tej porze dziewczynki śpią, miało się z prawdą. Wszystkie miały otwarte oczy, którymi bacznie mnie obserwowały. Siostra Serafina podała mi piżamę w bladoniebieskie paski i kazała mi się przebrać. Potem wysłała mnie do łazienki. Nie potrafiłam uruchomić kranu i siostra zburczała mnie, że jestem brudas i nie wiem, do czego służy woda w łazience. Dzięki temu dowiedziałam się, że pokój bez okien tak właśnie się nazywa. Łóżko, na którym położyłam się zaraz po myciu, było dużo wygodniejsze niż to w leśnej chacie. W materacu nie szeleściła słoma, a poduszka wypchana była czymś miękkim. Pod sufitem paliło się dziwne światelko, które siostra zgasiła pstryczkiem znajdującym się w ścianie. Wychodząc zabroniła nam rozmawiać i zamknęła za sobą drzwi. Wtedy zaczęły się szepty i chichoty dobiegające z sąsiednich łóżek. Dziewczynki wybiegły boso i obległy mnie jak muchy plaster miodu. Chciały wiedzieć, jak mam na imię i skąd przybyłam. To zgromadzenie przerwała nagle siostra, której jeszcze nie znałam. Dowiedziałam się, że to siostra Benedykta, której tej nocy przypadł dyżur.

– Lepiej jej nie drażnić, jest bardzo zła – szepnęła Marysia, która miała łóżko obok mnie.

Szepty powoli milkły, aż zrobiło się zupełnie cicho, nie licząc spokojnych oddechów śpiących dziewczynek. Poczulałam się bardzo samotna. Bolesnie zatęskniłam za matką. Tuląc do płaskiej poduszki mokry od łez policzek, próbowałam wyobrazić sobie jej ramiona, które otaczały mnie z miłością.

– Mamusiu – szepnęłam. – Gdzie jesteś? Mamusiu...

Moim oczom ukazał się wzgórek pod śliwą i wtedy rozplakałam się na dobre.

Rankiem obudził mnie ostry dźwięk dzwonka. Wszystkie dziewczynki poderwały się natychmiast i pobiegły do łazienki. Marysia, która stała się moją przewodniczką, poradziła mi zrobić to samo, jeśli nie chcę klęczeć na grochu. Po szybkim myciu zebrałyśmy się w kaplicy na modlitwie. Rudowłosa dziewczynka została wyciągnięta przez siostrę Benedyktę z ławki i uderzona w twarz tylko dlatego, że podczas modlitwy uśmiechnęła się do koleżanki. Potem poszłyśmy na śniadanie. Pod ścianami stały dwa długie stoły. Jak się okazało, jeden z nich przeznaczony był dla chłopców mieszkających w innej sali, po drugiej stronie korytarza. Na środku stał stół dla personelu. Śniadanie rozpoczęło się modlitwą i przebiegało w zupełnej ciszy. Słyszeć było tylko szcęk sztućców o talerze, a i to kwitowane było karcącym spojrzeniem matki przełożonej. Po śniadaniu starsze dzieci odprowadzone zostały do szkół, młodsze zaś przeszły do świetlicy. Ja zostałam wezwana do matki przełożonej.

– Juliano – rzekła. – Trafiłaś do zakładu opieki nad sierotami, które utraciły rodziców podczas wojny. Dzieci w twoim wieku uczęszczają do szkoły, gdzie i ciebie niebawem zamierzam zapisać. W naszym zakładzie obowiązuje regulamin, z którym powinnaś się zapoznać. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie potrafisz jeszcze czytać...

– Ale... – chciałam powiedzieć, że mamusia nauczyła mnie czytania i pisanie i doskonale sobie z tym radzę, lecz matka przełożona nie pozwoliła mi na to.

– Proszę, nie przerywaj mi, to nieładnie. Powinnaś nauczyć się zasad dobrego wychowania. Popracujemy nad tym. Do obowiązków każdego wychowanka należy przede wszystkim rzetelna nauka w szkole i odrabianie domowych zadań. Poza tym wszyscy wychowankowie sprzątają sami sypialnie, korytarze i łazienkę. Ponadto mają dyżury w kuchni i pomagają siostrze Rut przy obieraniu ziemniaków i myciu naczyń. Nie ma tu czasu na zabawę ani pogaduszki z koleżankami. Wszelka niesubordynacja będzie surowo karana. Czy rozumiałaś?

– Tak, proszę matki przełożonej.

– Dobrze. Teraz przejdź do świetlicy. Dzisiejszy dzień spędzisz z młodszymi dziećmi, a jutro pójdziesz do szkoły. Możesz odejść.

Następnego dnia, ubrana w czarny fartuszek, z włosami splecionymi w warkocz, udałam się wraz z dziewczynkami do szkoły, gdzie zostałam zapisana do klasy pierwszej. Sala lekcyjna wyposażona była w zielone ławki, w każdej z nich wywiercony był otwór na kałamarz i wgłębienie na pióro do pisania. Dzieci było bardzo dużo. Nauczycielka, która przyszła do klasy, była młoda i miała figlarne oczy. Na początku lekcji przedstawiła mnie dzieciom jako nową uczennicę. Byłam dumna, że mogę uczyć się razem z nimi, tak jak zawsze chciała moja mamusia. Pani, w przeciwieństwie do matki przełożonej, była zainteresowana tym, co już umiem, i zdziwiła się, że moje umiejętności są tak duże. Posadziła mnie w pierwszej ławce, obok chłopca o imieniu Franek. Postanowiłam być pilną uczennicą. Niestety, pod koniec lekcji Franek tak niefortunnie się ruszył, że wytrącił mi z ręki kałamarz, a jego zawartość wylała się na mój nowy elementarz, który dostałam od siostry Eliozy, zajmującej się magazynem w naszym zakładzie. Zmartwiłam się, ale nie przypuszczałam, że ten incydent wywoła taką burzę. Po powrocie ze szkoły usiadłam do odrabiania lekcji. Nadzorowała nas siostra Serafina. Kiedy ujrzała mój elementarz, pobiegła na skargę do matki przełożonej. Nikt nie chciał słuchać mojego tłumaczenia. Za zniszczony podręcznik otrzymałam wyrok w postaci dziesięciu batów i dwóch godzin klęczenia na grochu. Baty wymierzyła mi siostra Benedykta. Nikt nigdy mnie nie bił, przeżyłam więc prócz bólu potężny szok. Czas klęczenia na grochu wypadł akurat w porze obiadowej i z tego powodu zostałam pozbawiona posiłku. Byłam głodna i rozżalona, bo nie ja przecież zawiniłam. Pomyślałam, że wolałabym teraz marznąć pod ścianą jakiegoś

domu obok beznogiego mężczyzny niż mieć dach nad głową i złych ludzi wokół siebie. Bunt narastał z godziny na godzinę. Dziewczynki, przyzwyczajone do takich sytuacji, nie zwracały na mnie szczególnej uwagi, jedynie Marysia była pełna współczucia. Przemyciła mi nawet swoją drożdżową bułeczkę, którą dostała na deser po obiedzie. Po odbyciu kary czułam się obolała fizycznie i zdruzgotana psychicznie. Niestety, nie mogłam rozpamiętywać w samotności swojej krzywdy, ponieważ zostałam wyznaczona do szorowania podłogi na korytarzu. Siostra Serafina dostarczyła mi ryżową szczotkę i wiadro z mydlinami. Kolana po dwugodzinnym klęczeniu na grochu odmawiały mi posłuszeństwa. Połowa korytarza wypadła pod gabinetem matki przełożonej. Drzwi były lekko uchylone i przez szparę podsłuchałam rozmowę, która miała duży wpływ na moje dalsze losy.

– Estero – usłyszałam głos matki przełożonej. – Jesteś Żydówką, nie znasz naszych modlitw i nie chcesz uczestniczyć w katolickich mszach. Jutro odeślę cię do żydowskiego domu dziecka, ponieważ nie możesz dłużej być w naszym zakładzie. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Dziś jeszcze spakuj swoje rzeczy. To, co jest własnością zakładu, zostaw. Czy dobrze mnie zrozumiałaś? – Matka przełożona widocznie miała zwyczaj upewniania się, czy wychowankowie rozumieją to, co do nich mówi.

– Tak, rozumiałam.

Estera, dziewczynka może trzynastoletnia, wyszła z gabinetu z zaczerwienionymi oczami. W tym czasie korytarzem szła siostra Elioza, która była chyba najbardziej wyrozumiała ze wszystkich i jako jedyna miała przyjemny wyraz twarzy.

– Nie płacz, Estero. W domu, do którego cię odsyłamy, jest bardzo dobrze. Szybko się przyzwyczaisz.

Estera pokiwała głową i uśmiechnęła się, ocierając łzy. Siostra Elioza przechodząc koło mnie szepnęła:

– Resztę korytarza tylko zmocz wodą. Codziennie go ktoś szoruje, więc nikt się nie pozna, że nie był dziś uczciwie umyty.

Potem minęła mnie jakby nigdy nic i zniknęła w swoim magazynie. Zrobiłam tak, jak mi poradziła. W nocy nie mogłam zasnąć. Zastanawiałam się, jak mogę opuścić znieawidzone mury zakładu. Kolejne dni nie były lepsze. Choć bardzo się starałam, wciąż otrzymywałam za coś burę. A to nie znałam modlitwy, to znów niedokładnie pościeliłam swoje łóżko czy też zostałam przyłapana na czytaniu książki, którą wypożyczyłam w szkolnej bibliotece. Kolana bolały mnie od ciągłego klęczenia na grochu i prócz Eliozy bałam się wszystkich pozostałych sióstr. Apogeum przeżyłam w pewną marcową niedzielę. Najpierw wszyscy musieliśmy zrezygnować ze śniadania na rzecz poczęstunku dla biskupa, który miał

złożyć nam za tydzień wizytę. Potem siostra Benedykta złożyła mi skórę za spóźnienie się na niedzielną mszę. Dalszą częścią kary było pozbawienie mnie obiadu. Wiedziałam, że nikt z personelu mnie tu nie lubi, ale siostra Benedykta przechodziła sama siebie w obmyślaniu dla mnie kar. Po kolacji znowu dostałam baty, za rozlanie wody w łazience, którą potem musiałam sprzątać do późnych godzin nocnych. Myślę, że siostra Benedykta nie lubiła mnie zwłaszcza za to, że nigdy nie płakałam podczas udzielania mi reprimendy.

– Nie okazujesz żadnej skruchy! – krzyczała, a we mnie narastał coraz większy bunt, a nie żal za grzechy, których nie popełniłam lub popełniłam niechcący. Tej nocy, kiedy wreszcie mogłam normalnie położyć się do łóżka, zaczęłam obmyślać plan ucieczki.

Postanowiłam z tym nie zwlekać. Wszystkie dziewczynki spały, słyszałam ich spokojne oddechy i leciutkie pochrapywanie przez sen. Założyłam ubranie na piżamę, a kołdrę uformowałam tak, jakby ktoś pod nią leżał. Wyszłam na ciemny, pusty korytarz i przemknęłam pod drzwiami gabinetu matki przełożonej. Tam też już było ciemno. Jedyne z dyżurki sączyło się przez niewielką szparę światło. Bałam się bardziej niż wtedy, gdy sama w środku nocy wędrowałam po lesie. Tam mogłam spotkać jedynie dzikie zwierzę, tutaj – potwora w ludzkiej skórze. Dotarłam do drzwi wyjściowych i nacisnęłam klamkę. Niestety, drzwi były zamknięte na klucz, a ten zapewne spoczywał w kieszeni siostry dyżurnej. Wtedy wzrok mój spoczął na oknie. Podeszłam na palcach, żeby nie powodować najmniejszego szmeru. Zanim je otworzyłam, dostrzegłam kraty. Zrezygnowana postanowiłam wrócić do sypialni dziewcząt i pomyśleć nad innym rozwiązaniem. Klamka sypialni zgrzytnęła przeraźliwie. Struchlałam. Drzwi dyżurki natychmiast się otworzyły, a w nich pojawiła się siostra Serafina. W korytarzu było zupełnie ciemno, więc nie mogła mnie zobaczyć. Przez moment rozglądała się, potem ruszyła w moim kierunku. Z bijącym sercem czmychnęłam do łazienki, która była tuż obok. Zamknęłam się w kabinie i czym prędzej zrzuciłam z siebie ubranie tak, by pozostać w samej piżamie. Wszystko, co z siebie zdjęłam, zapakowałam do worka z brudną bielizną, który zawsze stał w łazience. Kiedy wróciłam do sali, siostra Serafina stała przy drzwiach i omiatała wszystkie łóżka wąskim strumieniem światła z latarki. Na mój widok zdumiała się.

– Gdzie byłaś? – zapytała ostro.

– W toalecie – odparłam zgodnie z prawdą.

– Myślałam, że jesteś w łóżku – burknęła, zgasiła latarkę i wyszła z sypialni.

Długo nie mogłam zasnąć. Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Żeby go zrealizować, postanowiłam poczekać na przyjazd biskupa, który miał się pojawić w niedzielę.

Do tego dnia bardzo się starałam, żeby nie dostać żadnej bury. Prawie mi się

to udało. Nawet jeden, jedyne raz matka przełożona wezwała mnie do siebie, by udzielić mi pochwały za najlepiej napisaną pracę kontrolną w szkole. Wtedy się dowiedziałam, że nasza nauczycielka ma stały kontakt z matką przełożoną.

W niedzielę wszystkie siostry, z matką przełożoną na czele, chodziły podenerwowane. Przeszkadzał im najmniejszy pyłek kurzu, najdrobniejszy okruszek na podłodze. Beształy nas za źle zawiązaną kokardę na włosach czy niedoprasowaną fałdkę na ubraniu. Nawet siostra Elioza, uosobienie dobroci, potrafiła być dla nas nieprzyjemna. Sytuacja radykalnie się zmieniła, gdy w drzwiach stanął spodziewany biskup. Ich twarze natychmiast przybrały anielski wyraz i cukierkowy ton głosu. Matka przełożona zarządziła apel i obie grupy, dziewcząt i chłopców, ustawiły się wzdłuż korytarza. Biskup przeszedł się między rzędami z życzliwym uśmiechem. Po apelu mieliśmy czas wolny i nikt się nami nie interesował aż do obiadu, który był bardzo uroczysty. Po obiedzie pozwolono nam czytać książki, spacerować i grać w piłkę. Wszyscy rozeszli się do wybranych zajęć. Ja jednak postanowiłam ten czas spędzić inaczej. Pamiętając podsłuchaną rozmowę matki przełożonej z Esterą, wpadłam na pewien pomysł. Poprawiłam moją niebieską kokardę we włosach i zdecydowanym krokiem ruszyłam wprost do gabinetu matki przełożonej, która właśnie obradowała z biskupem. Na mój widok straciła na moment oddech, szybko jednak opanowała się i przywdziała maskę dobrotliwej matuchny.

– Co chciałaś, moje dziecko? – zapytała z uśmiechem, o którym tylko ja wiedziałam, że jest pełen jadu.

– Matko przełożona – powiedziałam zerkając na przysłuchującego się moim słowom biskupa – uważam, że nie powinnam przebywać w tym zakładzie.

– Nie? A dlaczego? – Matka przełożona spłoszyła. Zauważyłam, że jest zdenerwowana.

– Ponieważ, podobnie jak Estera, jestem Żydówką.

– Jesteś Żydówką?! – zdumiała się i zatrzepotała rękami.

– Tak, Żydówką. Dlatego nie znam katolickich modlitw i siostra Benedykta niesłusznie codziennie okłada mnie batem i każe klęczeć na grochu.

Matka przełożona otworzyła usta, którymi zaczęła oddychać jak ryba wyrzucona z wody, i złapała się za serce.

– Ależ...

– Niesłusznie też do drugiej w nocy musiałam szorować całą łazienkę tylko dlatego, że spóźniłam się na mszę katolicką, której jako Żydówka nie rozumiem. Siostra Benedykta i siostra Serafina nie powinny się na mnie z tego powodu tak wydzierać, prawda, proszę biskupa? – zwróciłam się do niego, ponieważ matka przełożona nie nadawała się do dalszej dyskusji. Osunęła się na krzesło i dla odmiany zbladła.

– Oczywiście, dziewczynko, oczywiście – odparł biskup i pogłaskał mnie

po niebieskiej kokardzie, która wyglądała jak samolot, a jednocześnie spiorunował wzrokiem matkę przełożoną. Na wszelki wypadek wycofałam się z gabinetu.

Adam słuchał z niedowierzaniem.

– A gdyby kłamstwo nie odniosło żadnego skutku? – zapytał patrząc na Julianę z podziwem. – Zostałyby pani pod opieką sióstr, które gnębiłyby panią jeszcze bardziej?

– Wtedy nie zastanawiałam się nad tym – odparła z gorzkim uśmiechem Juliana. – Teraz myślę, że pewnie bym uciekła. – Upiła łyk wody z wysokiej szklanki i wróciła do powieści.

Następnego dnia z samego rana matka przełożona wezwała mnie do siebie. Spodziewałam się batów albo co najmniej ostrej reprymendy. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Matka przełożona miała zaciśnięte usta i czerwone plamy na twarzy. Długo pisała coś na papierze w kratkę, włożyła pismo do koperty, którą pośliniwszy końcem języka, dokładnie zakleiła, po czym zawołała siostrę Serafinę.

– Proszę zaprowadzić wychowankę do Żydowskiego Domu Dziecka. Tu jest list polecający. A tobie, dziecko – zwróciła się do mnie – radzę powściągnąć język. Inaczej w życiu czekają cię same kłopoty. Czy dobrze mnie zrozumiałaś? – zapytała wedle swojego zwyczaju.

– Tak, proszę matki przełożonej – powiedziałam i dygnęłam. – Do widzenia.

– Nie podziękujesz? – zapytała patrząc na mnie wyczekująco.

– Za to? – Uniosłam bluzkę i zademonstrowałam pręgi na plecach. – Dziękuję – powiedziałam i wyszłam z gabinetu. Siostra Serafina podążyła za mną.

Kierowniczka Domu Dziecka dla dzieci żydowskich siedziała w świetlicy i wycinała z kilkoma dziewczynkami serduszka z czerwonego papieru. Na nasz widok podniosła się z krzesła i spojrzała pytająco na siostrę Serafinę. Ta nachyliła się nad nią i zaczęła coś szeptać, zerkając od czasu do czasu na mnie. Twarz kierowniczki spoważniała. Pokiwała głową ze zrozumieniem i odebrała list napisany ręką matki przełożonej. Następnie odprawiła siostrę Serafinę, a mnie wzięła za rękę i zaprowadziła do swojego gabinetu. Tam otworzyła list i przebiegła go wzrokiem. Bałam się, że teraz nakrzyczy na mnie i odeśle z powrotem do sióstr, ale ona porwała list na strzępy i wrzuciła do kosza na śmieci. Zanim rozpoczęła rozmowę, długo mi się przyglądała.

– Jesteś pewna, że jesteś Żydówką? – zapytała w końcu.

– Nie mam pojęcia, ale jestem pewna, że nie chcę tam być – odparłam patrząc jej prosto w oczy.

Uniosła brwi i nadal mi się przyglądała, jakby na coś czekała.

– Nie chcę tam być – powtórzyłam. – Nikt przedtem mnie nie bił.

– Rozumiem. Nie bój się, nie odeślę cię – dodała szybko, widząc moją przestraszoną minę.

– Dziękuję – szepnęłam.

Mimo że nie miałam żadnych żydowskich korzeni, zostałam wciągnięta w szeregi wychowanków.

Ten dom pokochałam od razu, gdy się w nim znalazłam. Kierowniczką, pani Elwira, dbała o nas, jak o własne dzieci. Wszyscy wychowawcy byli bardzo troskliwi i opiekuńczy. Otrzymałam miejsce w pokoju wraz z trzema innymi dziewczynkami w moim wieku: Sarą, Miriam i Rozalką. Sara była bardzo odpowiedzialna, Miriam wiecznie zadumana, zaś Rozalka pełna pomysłów. Wszystkie jednak odnosiłyśmy się do siebie bardzo życzliwie. Nareszcie miałam siostry, bo tak właśnie traktowałyśmy się wzajemnie. Panowała tu duża swoboda. Oczywiście najważniejsza była szkoła i nauka, ale w dni wolne wszyscy mogli wychodzić z domu i spędzać czas tak, jak chcieli. Nad młodszymi dziećmi zwykle czuwali starsi wychowankowie, ale nie dlatego, że dostali takie polecenie, tylko z potrzeby własnego poczucia obowiązku. Rozalka szybko nauczyła mnie, że za pieniądze, które otrzymuję na tramwaj jadący do szkoły, można kupić w pobliskiej cukierce pyszne ciastka z puszystym kremem. Na lekcje wtedy, rzecz jasna, trzeba było pójść pieszo. W soboty zwykle chodziliśmy na Wawel, bo wstęp był bezpłatny. Wspólne ze wszystkimi były wyjścia do kina i teatru, na lodowisko lub spacer nad Wisłę. Kiedy padał deszcz, graliśmy w szachy, ping-ponga, rysowaliśmy i czytaliśmy książki. Kto chciał, mógł wychodzić na modlitwę do synagogi, ale nikt do tego nie był zmuszany. Mogliśmy się uczyć gry na instrumentach, śpiewać w chórze albo rozwijać inne zainteresowania. Starsze dziewczynki często bywały w pracowni krawieckiej, żeby uszyć sobie nową sukienkę. Niebawem jednak dowiedziałam się, że mimo tak ciepłej atmosfery panującej w naszym domu, nie wszystkie dzieci były szczęśliwe. Pewnej nocy z pokoju chłopców dobiegł mnie przerażający krzyk. Usłyszałam tupot nóg na korytarzu i rozdzierający płacz, po którym nastąpiła cisza. Wszystkie zerwałyśmy się ze swoich łóżek i otworzyłyśmy drzwi na korytarz, żeby zobaczyć, co się stało. Wtedy zajrzała do nas pani Nina, usiadła na brzegu łóżka Miriam i poinformowała nas, że chłopczyk, który tak strasznie płakał, wciąż nie może pogodzić się ze śmiercią rodziców, których stracił w czasie wojny.

– Ja wiem – mówiła pani Nina – że prawie wszystkie jesteście sierotami, ale on był świadkiem, jak Niemcy zakatowali jego mamę i tatę na śmierć. Teraz już tak nie jest, ale gdy tylko skończyła się wojna, wiele dzieci nie chciało przyznać się do tego, że są Żydami. Wiedziały, co za to grozi. Pamiętasz? – zwróciła się do Sary. – Ty też bardzo długo upierałaś się, że jesteś Kasia, a potem wcale nie reagowałaś na to imię. Dopiero kiedy pani Elwira wytłumaczyła ci, że tutaj można bezpiecznie mówić prawdę, przyznałaś się, że jesteś Sara.

Pani Nina przytuliła Sarę, wszystkim nam życzyła spokojnych snów i cicho wyszła na korytarz. Bardzo polubiłam panią Ninę i często rozmawiałam z nią na



różne tematy.

– Dlaczego siostry, które prowadzą zakład dla sierot, były dla nas złe, a tutaj jest tak dobrze? – zapytałam któregoś dnia.

– Widzisz, te wszystkie biedne dzieci i ty również przeżyłyście mnóstwo dramatycznych chwil w życiu. Już wystarczy. Jesteśmy tu po to, by się wami opiekować, pozwolić na odbudowanie godności, na którą zasługują wszyscy, dzieci też. My wzorujemy się na Januszu Korczaku, wspaniałym pedagogu, który dbał o dobro dzieci, był ich wspaniałym opiekunem i traktował je bardzo poważnie. Wolał, żeby uczyły się na własnych błędach, były odpowiedzialne za to, co mówią i co robią, niż żeby dorośli kładli im tę wiedzę do głowy. Starał się, żeby dzieciństwo upływało beztrudnie, a jednocześnie, żeby dzieci miały swoje obowiązki do wypełnienia. Dlatego macie tu tyle swobody. Uczcie się przez działanie i pomagajcie sobie wzajemnie.

Zaczęłam rozumieć tę ideę. Pani Elwira powtarzała nam często, że dom dziecka da nam chleb, dach nad głową i opiekę, ale na swoją przyszłość musimy zapracować sami. Dlatego warto się uczyć. Staraliśmy się być w szkole najlepsi. Nikt nas też nie gonił do odrabiania lekcji. Tu istniała jakaś zależność, może nawet rywalizacja. Jeśli widzieliśmy innych uczących się z zapałem, nas też ogarniał ten zapał. Potrafiliśmy siedzieć nad książkami nawet długo po rozpoczęciu ciszy nocnej. Pani Elwira wprawdzie zaglądała do świetlicy, ale widząc, że się uczymy, zostawiała nas w spokoju. Tak upłynął czas do wakacji. Uczyliśmy się i bawiliśmy, świętowaliśmy i tańczyliśmy, ale najważniejsze było dla nas bezpieczeństwo i ta troska przejawiana w każdym słowie i każdym geście naszych wychowawców. W wakacje wysłano nas na kolonie do nadmorskiej miejscowości. Pierwszy raz widziałam morze i byłam nim zachwycona. Najchętniej siadałam na rozgrzanym piasku i patrzyłam w miejsce, gdzie horyzont cienką linią stykał się z wodą. Wieczorem spadało tam wielkie słońce w kolorze pomarańczy. Zebrałam mnóstwo małych muszelek, z których na zakończenie kolonii zrobiłam naszyjnik dla pani Elwiry. Kiedy go wręczyłam, powiedziała:

– Cieszę się, że trafiłaś do nas. Jesteś wspaniałą, mądrą dziewczynką. Wyrośniesz na dzielną kobietę.

Po wakacjach coś się zmieniło. Najpierw w szkole dyrektor powiesił na ścianie ogromny portret człowieka z wąsami. Pod spodem widniał podpis, że człowiek ten to Bolesław Bierut, ojciec i nauczyciel narodu. Kiedy powiedziałam o tym pani Elwirze, spojrzała na mnie dziwnie i szepnęła:

– Już ty się od tego nauczyciela raczej niczego nie ucz.

Ta wypowiedź bardzo zapadła mi w pamięć. Dyrektor co tydzień na apelu szkolnym grzmiał, że szkoła będzie realizowała wychowanie nas w duchu dumy narodowej, patriotyzmu, a nade wszystko oddania Związkowi Radzieckiemu, naszemu wyzwolicielowi i największemu przyjacielowi. Zawsze słuchałam bardzo

uważnie, a ponieważ nic z tego nie rozumiałam, w domu pytałam panią Elwirę, co oznaczają te słowa.

– To znaczy, Juliano, że coraz mniej mamy być sobą. Nie ufaj władzom. Nie ufaj Stalinowi. Jest zbrodniarzem. Wiem, że za te słowa mogę stracić wolność albo życie, ale trzeba o tym mówić.

W klasach zaczął się przeraźliwy wyścig do osiągnięcia jak najwyższych wyników, przez co nauka przestała być tylko zaspokajaniem naturalnej ciekawości. Uczniowie walczyli ze sobą krwiożerczo nie po to, żeby jak najwięcej wiedzieć, a po to, żeby dostać jak najlepsze stopnie. Nawet nie zorientowaliśmy się, jak zaczęliśmy rywalizować o wszystko: najpiękniejszą dekorację w klasie, najbardziej estetyczny wygląd okien wychodzących na ulicę, najwięcej uzbieranych książek dla dzieci z tak zwanych ziem odzyskanych czy pieniędzy na odbudowę stolicy. Im bardziej wychowankowie naszego domu angażowali się w to współzawodnictwo, tym więcej swobody dawała nam pani Elwira.

– Nie musicie być najlepsi – mówiła. – Nie dajcie się w to wciągnąć. Pozostańcie szczęśliwymi dziećmi, chcącymi zdobyć wiedzę, żeby być mądrym, posprzątać, żeby było przyjemniej, zebrać książki dla dzieci z dobroci serca, a nie po to, żeby znaleźć się na samym szczycie tablicy zawieszanej na ścianie. Nie sprzedawajcie się w ten sposób!

To oczywiście nie spodobało się władzom. Informacje o wychowywaniu nas przez panią Elwirę szybko dotarły do niepowołanych uszu. Zaczęły się kontrole, a nasza kierowniczka coraz częściej była gdzieś wzywana, skąd wracała bardzo zdenerwowana. Pamiętam, że w dniu moich urodzin pani Nina wybrała kilka starszych dziewczynek, żeby pomogły jej w przygotowaniu skromnego przyjęcia dla mnie. Na stole pojawiły się pomarańcze z darów, czekolada i ciasto. Zebraliśmy się w stołówce, bo w żadnym innym pomieszczeniu nie pomieścilibyśmy się wszyscy. Zawsze tak robiliśmy, gdy ktoś obchodził imieniny. Mojego imienia jednak nie było w kalendarzu, dlatego świętowaliśmy urodziny. Pani Elwira przyniosła prezent, który miałam rozpakować w obecności wszystkich. Przycisnęłam paczuszkę do siebie i powiedziałam ze łzami w oczach:

– Zawsze otrzymywałam lalkę, którą mamusia szyła mi ze swoich sukienek. Nigdy jednak nie dostałam prezentu od tyłu kochanych osób. Dziękuję wam wszystkim!

Rozległy się brawa, a potem wszyscy zaczęli wołać, żebym pokazała, co dostałam. Zanim jednak rozwiązałam kolorowy sznureczek, drzwi stołówki otworzyły się gwałtownie i do środka weszli dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach. Podeszli do pani Elwiry i bez słowa wyprowadzili ją ze stołówki. Wszystkie wychowawczynie wybiegły za nią, ale po chwili wróciły bardzo zdenerwowane. Słyszałam, jak szeptały między sobą, że pani Elwira pójdzie do więzienia, ponieważ mówiła źle o Stalinie. Od tej pory znienawidziłam go jeszcze

bardziej.

Pani Elwira nie wróciła już tego wieczoru. Ani następnego. Nie wróciła już nigdy. Pozostałe wychowawczynie zostały zwolnione w ciągu tygodnia. Na ich miejsce przyszły nowe. Pojawiła się też nowa kierowniczką, która kazała nam stanąć w dwuszeręgu wzdłuż korytarza i wygłosiła mowę, żeby, jak powiedziała, „wszystko było jasne”.

– Dom Dziecka musi realizować wychowanie nowych kadr dla budowania socjalizmu w naszym kraju! Nowe pokolenie ma być światłe i aktywne społecznie, bo jesteście obywatelami państwa, które będziecie budować! Ten dom dla sierot ma realizować założenia ideologii władz!

Następnego dnia na głównej ścianie holu zawieszono wielki portret Bolesława Bieruta, a pod nim umieszczono podpis, że jeśli mamy wątpliwości, jak postępować w życiu, to najlepiej postępujemy tak, jak on. Od tej pory stawaliśmy się maszynami stworzonymi po to, by osiągać jak najlepsze wyniki. Wyścig stał się nie do zniesienia. Skończyła się zabawa i swobodne opuszczanie domu. Nikomu nie pozwolono wychodzić na modlitwę do synagogi. Nie pozwolono na Purym, Chanukę czy szabas. Tradycje żydowskie zostały wykluczone z kalendarza naszych imprez. Za to do Święta Pracy zaczęliśmy się przygotowywać już w kwietniu. Cały budynek został obwieszony portretami Bieruta i Stalina, o którym pani Elwira mówiła, że jest zbrodniarzem. Wszędzie zawisły flagi polskie i radzieckie, na zewnętrznej ścianie budynku zawieszono wielki transparent o treści: „Niech żyje Narodowy Front Walki o Pokój!” Nasza nowa kierowniczką, zgorzkniała komunistka, zmusiła nas do zapisywania się do różnych związków. Młodzież do ZMP, a młodsze dzieci do ZHP i drużyn zuchowych. Żydowskie dzieci masowo zaczęły opuszczać Dom Dziecka, zabierane przez dalekie rodziny. Na ich miejsce przybywały dzieci polskie. Nasz pokój pozostał na razie w tym samym składzie. Kierowniczką, którą między sobą nazywaliśmy „Suchotą”, ze względu na wychudzoną sylwetkę i suchy, grzechoczący głos, pewnego dnia postanowiła poznać nas bliżej. Wzywała po kolei do siebie na rozmowę. Nie wiedziałam, o czym będzie ta rozmowa, więc bardzo się niepokoiłam. Nie byłam przecież prawdziwą Żydówką i Suchota mogła odkryć to oszustwo. Poszłam niemal na pierwszy ogień. Idąc korytarzem zaciskałam kurczowo pięści i w myślach powtarzałam słowa mamy: „Nie bój się, nie wolno ci się bać!” Do gabinetu weszłam z podniesioną głową. Omiotłam wzrokiem ściany i sprzęty, które wywoływały miłe wspomnienia rozmów z panią Elwirą. Teraz nad biurkiem zamiast ukochanego obrazu pani Elwiry wisiał portret Józefa Stalina.

– Nazwisko – rzuciła krótko Suchota, nawet nie patrząc w moim kierunku.

– Mogę usiąść? – zapytałam i odsunęłam krzesło, które stało po mojej stronie biurka.

Podniosła głowę i przyjrzała mi się z uwagą.

– Możesz – powiedziała z wahaniem.

Usiadłam.

– Nazywam się Juliana Dors – powiedziałam.

– Imiona rodziców.

– Piotr i Magdalena.

– Żyją?

– Mój tatuś żyje – powiedziałam z pewnością siebie.

– A matka? – zapytała Suchota, a ja poczułam ucisk w gardle i łzy napłynęły mi do oczu.

– Mamusia umarła, jak miałam siedem lat – powiedziałam cicho.

– Na co?

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą.

– A gdzie jest twój ojciec?

– Gdybym wiedziała, nie byłabym tutaj, proszę pani.

– Nie pytam, co by było, gdyby – powiedziała sucho i znów zmierzyła mnie wrogim spojrzeniem.

– Czym zajmowali się twoi rodzice?

W tym miejscu zawahałam się przez chwilę.

– Rolnictwem – powiedziałam powoli, bo nie miałam pojęcia, czy jest to właściwa odpowiedź.

– Mieli własne gospodarstwo?

– Tak.

– I dom?

– Tak.

– No to już nie będą mieli – powiedziała z satysfakcją.

– Dlaczego? – odważyłam się zapytać.

– Ponieważ teraz będzie ko–lek–ty–wi–za–cja! – wysyczała, patrząc na mnie szparkami zwężonych oczu. – Ziemia będzie wspólna. Wszystko będzie wspólne! Skończyła się burżujska prywata!

Milczałam, zastanawiając się, jak komuniści chcą włączyć z trudem uprawiane w środku lasu poletko do wspólnej własności.

– Do jakiego związku należysz? – zmieniła temat.

– Do drużyny zuchowej.

– Dobrze. Do jakiego kolektywu chcesz należeć w tej placówce?

– Nie rozumiem.

– Oczywiście. Burżuazyjna córeczka nie rozumie, co znaczy proletariacki internacjonalizm! A to nic innego, jak równouprawnienie i współpraca! Przydzielam cię do kolektywu zajmującego się zewnętrznym wizerunkiem naszej placówki. Będiesz malować płot! Możesz odejść, Dors!

Wyszłam z gabinetu i oparłam się o ścianę. Jest gorsza, niż przypuszczałam

– pomyślałam i powlokłam się do swojego pokoju.



Dors! Dlaczego odmówiłaś udziału w szkolnej akademii noworocznej?! – Suchota wyrosła przed stolikiem, przy którym odrabiałam lekcje, jak wielki grzyb po deszczu.

– Nie chciałam mówić wiersza, który przydzieliła mi nauczycielka – odpowiedziałam ze spokojem, choć w środku zrobiło mi się gorąco.

– Tak? A cóż to za wiersz nie był odpowiedni dla jaśnie wielmożnej panny Dors?

– Wiersz Broniewskiego „Słowo o Stalinie”.

– Piękny wiersz Władysława Broniewskiego o Józefie Stalinie, który wygrał konkurs poetycki, nie spodobał się pannie Dors! – Suchota rozejrzała się po świetlicy, szukając aprobaty wśród pozostałych wychowanków. Nikt jednak nie podniósł głowy znad książki, żeby jej przytaknąć. – Wyjmij ten tekst i przeczytaj na głos – zwróciła się do mnie rozkazującym tonem.

– Nie muszę czytać. Znam go na pamięć.

– Mów!

*Chwała tym, co wśród ognia i mrozu*

*Jak złom granitowy trwali,*

*Jak wcielona wola i rozum,*

*Jak Stalin...*

*Potrzebny jest maszynista,*

*Którym jest on,*

*Towarzysz, wódz, komunista,*

*Stalin – słowo jak dzwon!*

– Co ci się nie podoba w tym wierszu? – syknęła mi nad uchem.

– Moja mama mówiła, że nie należy chwalić kogoś, kto na to nie zasłużył. Nie chcę chwalić wierszem Stalina. Nie lubię go – powiedziałam odważnie. Nie wiedziałam jeszcze, jakie mogą być konsekwencje mojego zuchwalstwa.

– Uważasz, że Józef Stalin, Ojciec Narodów i nasz najlepszy nauczyciel nie zasłużył na pochwałę?! – zagrzała, a na jej szyję wystąpiły purpurowe plamy. – Dors! Wstań, jak do ciebie mówię!

Wstałam i wytrzymałam jej wzrok, który na dobrą sprawę powinien zabić.

– Za karę nie pójdziesz w niedzielę ze swoją grupą do teatru. Wymalujesz też wielki transparent. Już ja tego dopilnuję!

– Ponośzę karę za to, że mam swoje zdanie? – zapytałam, bo szczerze mówiąc, i tak byłam już pogrążona.

– Dors ma swoje zdanie! A jakie to zdanie, jeśli można wiedzieć?

– Stalin jest zły. Przez niego pani Elwira poszła do więzienia. Nie będę go wychwalać na akademii.

– Dość! – krzyknęła histerycznie. – Do gabinetu!

Tym razem wszystkie głowy się uniosły i do drzwi odprowadził mnie przerażony wzrok kolegów i koleżanek, którzy wiedzieli to samo, co ja, ale nie odważyli się mnie poprzeć.

Suchota szła przodem, podążałam za nią, gorączkowo szukając w myślach argumentów na swoją obronę. Po wejściu do gabinetu wlepiła we mnie spojrzenie pełne nienawiści.

– Dors, ja ci mówię, opamiętaj się! To się źle skończy, rozumiesz?

– Rozumiem – odparłam siląc się na spokój i myśląc o pani Elwirze, która nigdy nie wróciła do domu.

– Nie mam wpływu na twoje wypaczone myśli, ale jak śmiesz mówić takie rzeczy na głos przy wszystkich?! Jak możesz wygłaszać takie herezje?! Kręcą się tu różni towarzysze, kuratorzy. Co będzie, jeśli ktoś to usłyszy? Albo w szkole. Mówisz to samo w szkole?

– Nie zmieniam zdania w drodze do szkoły i z powrotem. Tam mówię to samo.

– A jeśli cię zapytają, kto cię tego uczy, co powiesz?

– Powiem, że pani.

Suchota opadła na krzesło, a na jej czoło wystąpiły okrągłe krople potu.

– Lepiej będzie, jeśli stąd uciekniesz – powiedziała twardo i ukryła twarz w dłoniach.

Nie chciałam uciekać. Bałam się, że nie będę miała gdzie spać i co jeść. Chodziłam przecież do szkoły i musiałam mieć dobre warunki do nauki. Tych jednak nie chciała zapewnić mi kierowniczka, zagorzała komunistka.

– Jeszcze tu jesteś? – syczała za każdym razem mijając mnie na korytarzu.

Stałam się nerwowa i zastraszona. Opuściłam się w nauce.

– Co się z tobą dzieje, Juliano? – niepokoila się nauczycielka w szkole. – Z bardzo dobrych wyników spadłaś na dostateczne. Weź się za siebie!

Nie mogłam wziąć się za siebie, kiedy za plecami wiecznie pojawiała się ona, złośliwie uśmiechnięta, czyhająca na każde moje potknięcie, niepowodzenie. Z radością prezentowała mi na porannym apelu, opowiadając, jak bardzo zaniżam wyniki całej naszej placówki. Uczniowie prymusi, zarażeni ogólnym pędem do sukcesu, zaczęli wytykać mi palcami, lekceważyć, wreszcie zaszczuwać, jak kulawego psa. Nawet koleżanki z pokoju nie były w stanie mnie pocieszyć. Najgorsza była Estera, którą pamiętałam jeszcze z zakładu sióstr

zakonnych. Ta regularnie donosiła Suchocie o wszystkim, co zrobiłam lub powiedziałam danego dnia. Trzeba przyznać, że komunistyczna kierowniczka doskonale знаła metody niszczenia człowieka. Miała jeden cel: doprowadzić do sytuacji, w której sama opuścę dom dziecka i nie pojawię się nigdy więcej. Postanowiłam zacisnąć zęby i wytrzymać do zakończenia roku szkolnego.

Zbliżał się maj. Wszyscy przygotowywali się do akademii pierwszomajowej. Suchota wychodziła z siebie, żebyśmy wypadli najlepiej. Codziennie odbywały się próby, na których wychowankowie deklamowali wiersze, śpiewali pieśni patriotyczne, grali na instrumentach i tańczyli tańce narodowe. Byłam jedyną osobą, która nie otrzymała żadnej roli w obchodach tego święta. Takie wykluczenie podziało fatalnie na i tak już zachwianą pozycję w naszej małej społeczności, ale przede wszystkim na moją psychikę. Czułam się odizolowana i niepotrzebna. Straciłam całą siłę, pewność siebie i wolę walki. Tydzień przed akademią przyśniła mi się w nocy mamusia. Usiadła na brzegu łóżka, jak tam, w leśnej chacie, i gładziła mnie po włosach. Nie mówiła nic, tylko patrzyła zatroskanym wzrokiem. Była bardzo piękna. Tak piękna, jaką zapamiętałam ją z portretu wiszącego w naszym domu.

Obudziłam się i usiadłam na łóżku.

– Mamusiu, mamusiu! – zawołałam w przestrzeń, ale jej już nie było.

Przez resztę nocy przewracałam się z boku na bok, myśląc o tym, jak łatwo dałam się zniszczyć, mimo że mama zawsze uczyła mnie odwagi. Rankiem bez zapału powlokłam się do szkoły. Nauczycielka widząc moje podkrążone oczy, zawołała mnie do siebie.

– Juliano, musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Obserwuję cię od kilku tygodni. Czy jesteś chora?

– Jestem zdrowa – odparłam i zawiesiłam głos.

– Może jest coś, o czym chciałabyś powiedzieć, ale się boisz? – Wzięła mnie za ramiona i zajrzała mi w twarz. Dopiero teraz zauważyłam, jakie ma piękne, niebieskie oczy.

– Proszę pani, czy pani opowie o tym naszej kierowniczce? – zapytałam.

– Nie bój się. Rozmowa pozostanie między nami.

– Chyba potrzebuję pomocy – powiedziałam i rozplakałam się.

– Nie płacz. Pomogę ci. Zostań po lekcjach, porozmawiamy.

Siedziałam jak na szpilkach. Po lekcjach nauczycielka zamknęła drzwi za ostatnim uczniem i usiadła na niskim krzeselku obok mnie.

– Opowiadaj, Juliano – poprosiła.

Zaczęłam od leśnej chaty. Opowiadałam o warunkach, w jakich się wychowywałam, o zniknięciu ojca, pojawieniu się Ivana, chorobie matki. Opowiadałam o podróży do Warszawy, która skończyła się w Krakowie, zakładzie dla sierot prowadzonym przez siostry zakonne, biciu i ubliżaniu. Mówiłam o pani



Elwirze i oazie spokoju, jakim był wtedy nasz dom. Wreszcie o zniknięciu pani Elwiry i pojawieniu się nowej kierowniczkę, niechcianym wierszu Broniewskiego, Stalinie i szykanowaniu mnie przez zagorzałą komunistkę.

– Teraz każdy przygotowuje się do akademii pierwszomajowej, a ja stoję w kąci i przyglądam się tylko, jak inni tańczą i śpiewają, niepotrzebna i wyśmiewana, zwłaszcza przez naszą kierowniczkę. To jest bardzo trudne do zniesienia – zakończyłam.

Nauczycielka długo milczała patrząc w okno. Po niebie przesuwaly się kłębiaste siwe chmury. Korony drzew chwiały się na wietrze, trzepocząc młodymi listkami. Na jednej z gałęzi usiadł wróbel i przez chwilę kołysał się, próbując utrzymać równowagę, zanim odleciał.

– Zrób tak, jak poradziła ci kierowniczkę – powiedziała w końcu zachrypniętym nieco głosem nauczycielka.

– Nie rozumiem – bąknęłam.

– Ucieknij.

Spojrzałam na nią zdumiona.

– Ja cię przygarnę – dodała.

Widziałam, jak podchodzi do biurka, wyjmując z torebki chusteczkę i wyciera nią oczy. Słyszałam dzwonek przejeżdżającego ulicą tramwaju, kobiecy głos nawołujący jakąś Alę, brzęczenie muchy obijającej się o szybę. Wszystko to docierało do mnie bardziej niż fakt, że ona zabierze mnie do domu, przygarnie, jak przygarnia się bezdomnego kota.

Następnego dnia włożyłam do tornistra wszystkie książki i zeszyty oraz rzeczy osobiste otrzymane od pani Elwiry. Nie pożegnałam się z nikim i wyszłam do szkoły tak, jak zwykle. Nie usłyszałam uporczywego dźwięku klaksonu ani krzyku mężczyzny naprawiającego coś przy słupie telegraficznym. Poczułam mocne uderzenie z lewej strony i osunęłam się na bruk, tracąc przytomność.

Twarze miały ogromne oczy i wykrzywione usta. Przyplwały i odpływały falując i rozmazując się na tle szarego nieba. Głosy zlewały się w jeden bucujący hałas, wdzierający się do mózgu jak rój brzęczących pszczół. Po chwili wszystko zniknęło i zrobiło się bardzo ciemno. Kiedy otworzyłam oczy, nadal było ciemno, zarejestrowałam jak przez dziurkę od klucza tylko dalekie światelko, po czym natychmiast zasnęłam.

Obudził mnie czyjś głos. Wołał mnie po imieniu. Powieki miałam bardzo ciężkie i z trudem otworzyłam oczy. Od otaczającej bieli odbijała się twarz obcego mężczyzny. Twarz pochyliła się nade mną.

– Nazywasz się Juliana? – zapytał mężczyzna.

– Tak, skąd pan wie?

– Przeczytałem na szkolnym zeszycie.

– Był pan w szkole? – zdziwiłam się i zastanowiłam, dlaczego ja tam nie

jestem.

– Nie, zeszyt wyjąłem z twojego tornistra. Wybaczysz mi?

– Tak...

Chciałam usiąść, ale nie mogłam poruszyć lewą nogą. Była bardzo ciężka. Na dodatek ktoś wcisnął mi na głowę ciasną czapkę.

– Wpisałem ci uwagę do dzienniczka – powiedział mężczyzna, grożąc mi palcem.

– Dlaczego? – przestraszyłam się, bo pomyślałam, że będę musiała zameldować o niej matce przełożonej... Nie, chyba nie matce przełożonej. Nie wiem, komu. Ivanowi?

– Nie potrafisz przechodzić przez ulicę. Czy wiesz, co się stało?

– Nie.

– A co pamiętasz?

– Nie wiem. Nic nie pamiętam.

– Co ostatnio widziałaś?

– Malutkie światełko przez dziurkę od klucza.

– Bravo! To znaczy, że obudziłaś się w nocy. Widzisz to? – wskazał na białe drzwi, które teraz były uchylone. – Przez dziurkę od klucza wpadało światło. A co było wcześniej?

– Nie wiem – powiedziałam.

– Hm... – zafrasował się. – To może inaczej. Jak się nazywasz?

– Juliana. A pan?

Trochę go zaskoczyłam, bo chrząknął, zanim odpowiedział:

– Andrzej. Doktor Andrzej Rybacki. A jakie jest twoje nazwisko?

– Dors. Juliana Dors.

– Dobrze. Gdzie mieszkasz?

– Nigdzie.

– Nieładnie tak kłamać, panienko. Czy ty przypadkiem nie mieszkasz w Domu Dziecka, którego adres jest zapisany w twoim dzienniczku?

– Tak, ale... – próbowałam pewne rzeczy wyjaśnić, lecz skapitulowałam. – Tak, mieszkam – potwierdziłam.

– Teraz będziesz mieszkała tutaj, to znaczy w szpitalu. Do czasu, aż wyzdrowiejesz.

– Jestem chora?

Doktor Andrzej gwizdnął przeciągle i spłoszony obejrzał się na pozostałe łóżka, których dotąd nie widziałam za jego szerokimi plecami, a potem powiedział:

– Jeszcze jak! Masz złamaną nogę w dwóch miejscach i musieliśmy włożyć ją w gips. Cały lewy bok jest bardzo potłuczony i musimy cię prześwietlić, żeby sprawdzić, czy nie uszkodziłaś sobie czegoś w środku. A na domiar złego upadając uderzyłaś się mocno w głowę i straciłaś przytomność na całą dobę. Dlatego

rozmawiam teraz z tobą, żeby przekonać się, że z twoim mózgiem jest wszystko w porządku.

– I jest w porządku? – zapytałam, a on uśmiechnął się szelmowsko.

– Teraz już tak. Gorzej z nim było, jak wbiegałaś wprost pod jadący samochód. A teraz leż grzecznie, zaraz przyjdzie tu pielęgniarka.

Wychodząc zatrzymał się przy pięciu pozostałych łózkach stojących w tej sali.

Byłam oszołomiona tym, co się zdarzyło. Ostatnie godziny przed wypadkiem pamiętałam jak przez mgłę. Nieprzyjemna atmosfera w domu, rozmowa z nauczycielką w szkole... Co ona sobie teraz pomyśli? Że wzgardziłam jej domem i dobrym sercem? A Suchota? Będzie przekonana, że wreszcie dopięła swego i zmusiła mnie do ucieczki.

Pielęgniarka, która weszła z tacą pełną leków, była drobna i zwinna. Między łózkami poruszała się z wdziękiem białego motyla, rozdając kolorowe pigułki i termometry. Przy ostatnim łóżku zatrzymała się na dłużej, szczebiocząc coś do malutkiej, może trzyletniej dziewczynki. Pacjentka obok mnie wyglądała na piętnaście albo szesnaście lat i chyba była z nas najstarsza. Pozostałych trzech nie widziałam dokładnie, więc trudno mi było określić ich wiek. Do wieczora znałam je wszystkie po imieniu. Małeństwo miało na imię Basia, dziewczyna obok mnie to Adela, dalej Nina, Mania i Zosia. Wszystkie różniły się ode mnie tym, czego najbardziej im zazdrościłam: posiadały rodzinę. Mania miała wprawdzie tylko babcię i dziadka, ale kochali ją i potrafili stworzyć dobry, ciepły dom dla osieroconej dziewczynki. Nie zazdrościłam im tylko chorób, z powodu których stały się moimi towarzyszkami niedoli. Początkowo nie byłam skłonna do rozmów. Bolał mnie cały bok, miałam zawroty głowy, a skóra pod gipsem swędziała niemiłosiernie. Uczyłam się chodzić o kulach, żeby samodzielnie korzystać z łazienki. Z dnia na dzień oswajałam się ze szpitalem, personelem i przede wszystkim z pozostałymi pacjentkami. Mała Basia często płakała. Skacząc na jednej nodze zbliżałam się do jej łóżeczka i zabawiałam ją kukiełkami zrobionymi z chusteczek do nosa. Z Niną prowadziłam nie kończące się rozmowy, po których czułam się mocniejsza i znacznie mądrzejsza. Z Manią i Zosią grałyśmy w warcaby i domino. Adela zaś nie odzywała się do nikogo. Najgorsze były niedziele, kiedy szpital zapełniał się odwiedzającymi. Ponieważ do mnie nikt nie przychodził, brałam swoje kule i spacerowałam po szpitalu. Tak trafiłam na oddział kobiecy, gdzie poznałam panią Aline, której też nikt nie odwiedzał.

– Ojej... Na co pani choruje? – zapytałam patrząc na pojemniczki wypełnione kolorowymi pigułkami.

– Serduszko, dziecko. Serduszko mi dokucza – jęknęła i opadła na poduszki. W jej oczach zakręciły się łzy. – A tyle roboty w domu. I córeczki, młodsze od ciebie, tam na mnie czekają. Już tyle czasu tu leżę i żadne leki nie

pomagają.

Podeszłam do niej i wzięłam ją za rękę. Przypominała mi moją mamusię.

– Chciałabym, żeby pani wyzdrowiała – powiedziałam cicho. – Dla siebie i dla córeczek.

Wzruszyła się i przytuliła mnie mocno. I wtedy stało się coś, czego sama nie potrafiłam zrozumieć. Kiedy trzymała mnie tak blisko przy sobie, poczułam nagle, że z jej sercem nic złego się nie dzieje. Nie miałam pojęcia, skąd to wiedziałam. Po prostu czułam. Źródło choroby wyczuwałam w zupełnie innym miejscu. Pani Alina w oczach miała niepokój, odzwierciedlający jej myśli. Chciałam powiedzieć o tym pielęgniarce, ale ta zbesztła mnie tylko, że płaczę się nie tam, gdzie powinnam. Mijały dni, a pani Alina była coraz bardziej zmartwiona. Nie było poprawy i nic nie wskazywało na to, że lekarze szybko uporają się z tą chorobą. Pani Alina płakała cichutko, wtulając twarz w poduszkę. Bała się o swoje dzieci pozostawione na łasce sąsiadek, przeżywała stratę męża, który zginął w czasie wojny, nie miała pracy i brakowało jej pieniędzy. Pani doktor, która się nią opiekowała, nie mogła zrozumieć pogarszającego się stanu zdrowia pacjentki. Któregoś dnia zaczęłam ją w korytarzu i poprosiłam o rozmowę. Zdziwiła się, ale nie odesłała mnie z oddziału, tylko zaprosiła do swojego gabinetu.

– Czy pani Alina umrze? – zapytałam bez ogródek.

– A dlaczego o to pytasz? Nie wolno mi udzielać takich informacji. Nie należysz do jej rodziny, no i jesteś jeszcze dzieckiem – powiedziała poważnie.

– Pani doktor, mnie się wydaje, że ta jej choroba jest tu – postukałam się palcem w głowę. – Ona ciągle się zamartwia i denerwuje. Im bardziej się boi, tym bardziej jest chora.

– Nie wykluczam tego – westchnęła. – Być może ma nerwicę.

– Moja mamusia piła zioła, kiedy była zdenerwowana. Ale naprawdę uspokajała się dopiero wtedy, kiedy znalazła rozwiązanie problemu, który ją zadręczał. Gdyby można było pomóc pani Alinie pozbyć się kłopotów, na pewno szybko wróciłyby do zdrowia.

– Może masz rację. Ale jak jej pomóc? Dzisiaj wszystkim trudno.

– Wiem, spróbuję jednak podtrzymać ją na duchu. Czy pani mi na to pozwoli?

– Próbuj, jeśli potrafisz.

Miałam plan. W szpitalu było dużo ludzi, a każdy mógł mieć coś do zaoferowania. Przede wszystkim wyciągnęłam panią Alinę z łóżka i wyprowadzałam ją do szpitalnego ogrodu, gdzie było o tej porze ciepło i przyjemnie. Ptaki urządzały koncerty, a kwiaty wabiły całą paletą barw. Któregoś dnia po obiedzie zostawiłam ją tam w towarzystwie miłego pana z oddziału męskiego i odtąd nie musiałam towarzyszyć jej w ogrodzie. W dodatku pan opuściwszy szpital, zaczął ją regularnie odwiedzać. Mieli sobie mnóstwo do

powiedzenia! Pani Alina zaczęła częściej myć włosy, a nawet widziałam, jak malowała sobie usta. Podpowiedziałam jej, żeby poprosiła sąsiadkę o przyprowadzenie dzieci. Przyszły i wniosły mnóstwo radości. Ktoś powiedział o darach z UNRRY, ktoś inny o świetlicy, w której można zostawić dzieci, by móc spokojnie pracować. Pani Alina z każdym dniem łykała mniej tabletek, aż w końcu ubrana w swoje cywilne ubranie, z miłym panem u boku weszła do mojej sali, żeby się pożegnać.

– Promyczku – szepnęła i przytuliła mnie mocno. – Promyczku...

Właściwie nie powiedziała nic więcej, tylko się rozplakała. Ale ja i tak wszystko wiedziałam. Kiedy wyszła, odczułam wielką pustkę, lecz byłam szczęśliwa, że mogłam jej pomóc. Dwa dni później doktor Andrzej, który zajmował się moją połamaną nogą, usiadł na krześle przy szpitalnym łóżku.

– No, panienko. Noga zrasta się prawidłowo, nie ma potrzeby, żebyś zajmowała miejsce w szpitalu. Jesteś tu już trzy tygodnie. Za kolejne trzy zdejmujemy gips, ale teraz możesz wrócić do domu. Tylko ostrożnie, żebyś znowu nie miała jakiejś nieprzyjemnej przygody – pogroził mi palcem. – Jutro zawiadomię panią kierowniczkę, żeby cię stąd odebrali. Poinformuję też, jak powinni się tobą opiekować.

Opiekować! Już widzę Suchotę, jak się mną opiekuje! – pomyślałam z rozpaczą.

Kiedy wyszedł, moje współtowarzyszki ożywiły się.

– I z kim teraz będę rozmawiała wieczorami? – zmartwiła się Nina, ale w jej oczach ujrzałam wesołe iskierki. Widać było, że mój powrót do zdrowia przyjęła z radością. Podobnie zareagowały Mania i Zosia. Tylko Adela, która zwykle się nie odzywała, spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie i zapytała:

– Cieszysz się, Juliano?

Dziewczynki popatrzyły zdziwione najpierw na nią, a potem na mnie. Ponieważ milczałam, Adela podniosła się z łóżka i skinęła ręką.

– Wyjdźmy na chwilę. Chcę ci coś powiedzieć.

Poszłam za nią korytarzem, aż do miejsca, gdzie znajdowała się okienna wnęka. Adela przez chwilę zbierała myśli, zanim zapytała:

– Boisz się, co?

– Skąd wiesz?

– Potrafię słuchać, a tobie nieraz wymknęło się to i owo. Nie lubisz miejsca, w którym musisz mieszkać.

– Kiedyś było tam inaczej. Inna kierowniczka i inne dzieci. Teraz wszystko się zmieniło. To prawda, nie chcę tam wracać. Mam ochotę uciec i pójść swoją drogą. Ale to nie jest takie łatwe. Muszę mieć przecież dach nad głową.

– Jeśli tylko zechcesz, pomogę ci.

Adela nachyliła się nad moim uchem i długo szeptała. Słuchałam tego

najpierw z niedowierzaniem, potem z przerażeniem, by w końcu ze zrozumieniem pokiwać głową i uścisnąć mocno dłoń mojej rozmówczynie. Następnego dnia podczas porannego obchodu lekarz położył wypis na szafce stojącej obok mojego łóżka i powiedział:

– Zadzwoń teraz do twoich opiekunów, żeby zgłosili się po ciebie. W tym czasie możesz zejść do magazynu po swoje rzeczy. Wiesz, gdzie jest magazyn?

Pokręciłam przecząco głową.

– Zjedź windą na sam dół. Tam wydadzą ci twoje ubrania. Przebierz się i poczekaj przed izbą przyjęć na opiekuna. Za kwadrans zajrzę do ciebie, dobrze?

– Tak, panie doktorze. Dziękuję.

– Bądź zdrowa i uważaj na siebie. Za trzy tygodnie zdejmemy ci gips. – Uśmiechnął się i wyszedł.

Adela wstała ze swojego łóżka i podała mi małą karteczkę. Zabrałam swoje rzeczy z szafki i pożegnawszy się z koleżankami, wyszłam na korytarz. Do magazynu trafiłam bez problemu. Magazynierka wydała mi ubranie i tornister, który po wypadku trafił tu ze mną. Schowałam dokumenty od lekarza i dyskretnie, tylnym wyjściem opuściłam budynek. Wiedziałam, że za kwadrans mój lekarz zacznie mnie szukać, a posługując się kulami, z nogą w gipsie niełatwo było uciekać.



Była pani niezwykle dzielna – odezwał się Adam schrypniętym od długiego milczenia głosem.

Juliana spojrzała na niego nieco nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie rozumiała, o czym mówi, albo wręcz nie wiedziała skąd wzięli się ci młodzi ludzie, przysłuchujący się z uwagą jej słowom.

– A, tak... – powiedziała w końcu. – Tak... Przepraszam – przetarła dłonią oczy i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Przepraszam, byłam tam... Trudno wrócić do rzeczywistości.

– A czy... – zaczęła Toffi, lecz Juliana przerwała jej, domyślając się pytania.

– Czy byłam tam naprawdę? Ależ tak. Odwiedziłam Kraków jako dorosła już kobieta. Ale o tym opowiem później. Teraz wrócimy do domu, w którym zaznałam tyle ciepła i troski.

Szłam tak szybko, na ile pozwolił mi gips i ciężki tornister z książkami. Na karteczce wciśniętej mi przez Adelę miałam zapisany adres kobiety, która – według zapewnień szpitalnej koleżanki – miała przyjąć mnie do siebie. Szłam z duszą na ramieniu, ponieważ to, co o niej usłyszałam, nie napawało mnie optymizmem. Szczerze mówiąc, nie rozumiałam, kim jest ta pani i co to jest dom publiczny. Adela zaznaczyła tylko, żeby utrzymać to w absolutnej tajemnicy. W przeciwnym wypadku kobieta, która miała mi pomóc, znalazłaby się w więzieniu. Ścisłałam kurczowo karteczkę w dłoni i mimo że nie miałam pojęcia, w którą stronę się udać, bałam się pytać o drogę. Nie chciałam narażać mojej przyszłej opiekunki na karę. Na rogu jednej z ulic dostrzegłam przyklejony do dużego słupa plan miasta. Z jednej strony papier był nieco naderwany i teraz wesoło powiewał na wietrze. Interesująca mnie ulica znajdowała się całkiem blisko miejsca, w którym stałam. Była to boczna uliczka, wepchnięta między dwie dłuższe. Poszukałam domu z podanym przez Adelę numerem i aż zamarłam na widok starej, odrapanej kamienicy. Ponura, zbudowana z poczerniałych upływem lat cegieł, straszyla otworami okien, w większości zasłoniętych tekturą lub dyktą. Tylko na samej górze zachowały się szyby w odartych z farby ramach. Dom był trzypiętrowy i nietrudno było zgadnąć, że numer siedem znajdował się na ostatnim piętrze. Było to spore wyzwanie dla osoby poruszającej się o kulach. Poprawiłam tornister na plecach i ruszyłam w górę po drewnianych schodach. Na parterze było tylko jedno zajęte

mieszkanie. Pozostałe drzwi stały otworem i straszyły pustką. Trzymając kule pod pachą pokonałam pięćdziesiąt jeden stopni przy pomocy wyslizganej tysiacy rąk poręczy. Zanim zapukałam, musiałam kilka minut odpoczywać, dysząc jak po długim biegu. Po drugiej stronie ciężkich, dębowych drzwi odezwał się ktoś matowym głosem:

– Kto tam?

– Juliana – powiedziałam z wahaniem. Zdawałam sobie sprawę, że podanie imienia niczego nie wyjaśnia.

– Juliana? – zdziwiła się.

Drzwi uchylły się lekko i zatrzymały ograniczone łańcuchem. Oko, które lustrowało mnie przez szparę, miało intensywnie niebieską powiekę. Łańcuch szcęknał i z wnętrza wysunęła się kobieca głowa z natapirowaną, ogniście rudą grzywką. Nigdy nie widziałam takiego koloru włosów. Kobieta rozejrzała się, po czym wciągnęła mnie do środka.

– Wejdz, szybko! – powiedziała.

Znalazłam się w długim i ciemnym przedpokoju. Tuż przy drzwiach wisiało duże lustro w bogato zdobionej złoczonej ramie. Po obydwu jego stronach wisiały kinkiety z czerwonymi abażurami. Dalej ujrzałam kilkoro drzwi. Te na wprost były lekko uchylone i stanowiły jedyne źródło sączącego się światła. Tam właśnie zaprowadziła mnie rudowłosa kobieta. Wskazała rozłożystą kanapę z pluszowym obiciem, rozpierającą się pod ścianą. Sama usiadła na miękkim krześle stojącym przy niedużym okrągłym stoliku.

– Kto cię tu przysłał? – zapytała obrzucając szybkim spojrzeniem moją nogę w gipsie.

– Adela – odpowiedziałam.

– Adela! – rozpromieniła się, ukazując w uśmiechu rząd równiutkich zębów w oprawie ust o barwie dojrzałej wiśni. – Mieszkała tu zaraz po wojnie. Potem znalazła jakąś ciotkę, która zabrała ją do siebie. A ty jesteś Juliana, tak? – upewniła się.

– Tak, Juliana Dors – potwierdziłam.

– Mnie nazywają Izabela, ale wolałabym, żebyś zwracała się do mnie „ciociu”. Tak będzie bezpieczniej ze względu na zawód, jaki wykonuję.

Chciałam zapytać, jaki to zawód, ale uprzedziła mnie pytaniem:

– Nie masz swojego domu?

– Nie – odparłam krótko.

– Rozumiem – powiedziała cicho. – Jeśli chcesz, możesz tu zostać. Zaopiekuję się tobą.

– Dlaczego? – zapytałam. – Przecież jestem obca.

– Dzieci, które straciły rodziców nie są dla mnie obce. Robię to, ponieważ... – sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i wytarła nią wilgotne oczy –



przeze mnie zginęła mała dziewczynka. Nie chcę opowiadać, jak to się stało.

Izabela wstała i uśmiechnęła się ciepło.

– Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Wcześniej mieszkała w nim Adela, a jeszcze wcześniej... – Nie dokończyła. Podniosła mój tornister i poszła przodem.

Pokoik był malutki, ale bardzo przytulny. Stały tu niezbędne sprzęty: łóżko, szafa, komódka i śmieszny fotelik. Na ścianie były półki z książkami i dwa kolorowe obrazki. Na stoliku obok łóżka stała nocna lampka.

– Podoba ci się?

– Bardzo! – zawołałam i spłoszona własną śmiałością zakryłam dłonią usta.

– Cieszę się. Korzystaj z całego domu, ale kiedy będą goście, staraj się nie opuszczać swojego pokoju, dobrze?

– Dobrze – powiedziałam i miałam ochotę ją uściskać.

– Chodzisz do szkoły? – zainteresowała się odstawiając tornister do kąta.

– Tak, ale teraz mam złamaną nogę i pan doktor zwolnił mnie aż do wakacji.

– Nikt nie będzie cię szukał? – zaniepokoiła się.

– Nie wiem – odparłam myśląc o Suchocie.

– Poradzimy sobie. Od nowego roku zapiszę cię do innej szkoły. A ty nie podawaj nikomu adresu, pod którym mieszkasz.

– Dobrze, nie będę podawała – obiecałam.

Izabela, którą miałam nazywać ciocią, poczęstowała mnie słodką kawą zbożową i ciasteczkami. Sama w tym czasie dokładnie zmyła makijaż, a na rudych włosach zawiązała jasną przewiewną chusteczkę. Teraz wyglądała inaczej i w tym wydaniu podobała mi się bardziej. Potem pomogła mi zejść ze schodów i przez całe przedpołudnie robiłyśmy zakupy. Poza artykułami spożywczymi postanowiła kupić mi parę sztuk odzieży u ulicznych handlarek.

– Podoba ci się ta sukienka? – zapytała wyjmując spod stosu ubrań czarną plisowaną sukienkę z wielkimi różowymi kokardami.

Zawahałam się. W rzeczywistości wcale mi się nie podobała, ale nie chcąc robić jej przykrości, przytaknęłam skwapliwie.

– Naprawdę? – zajrzała mi w oczy.

– Tak – powiedziałam niepewnie.

Odłożyła sukienkę na miejsce i powiedziała:

– Pamiętaj, nigdy nie zgadzaj się na to, co ci nie odpowiada. Musisz sama wiedzieć, czego chcesz. Proszę, wybierz to, co ci się podoba.

W rezultacie kupiłyśmy białą sukienkę w małe granatowe groszki, miękki biały sweterek i trochę bielizny. Moja opiekunka wyjęła plik banknotów i zapłaciła szczerze. Zadowolona handlarka pogrzebała w dużym tekturowym pudle i dołożyła pięknego pluszowego misia z wystającym czarnym noskiem. Po drodze

spotkałyśmy kulawego górala, u którego Izabela kupiła dla mnie śliczną torebkę z miękkiej skórki. Była to pierwsza torebka w moim życiu i niosłam ją dumnie na ramieniu.

– Teraz pomożesz mi w kuchni – zakomenderowała, gdy już wdrapałyśmy się na trzecie piętro starej kamienicy.

Obserwowała dyskretnie, jak posługuję się nożem przy obieraniu ziemniaków i krojeniu warzyw.

– Dobrze sobie radzisz – pochwaliła. – Gdzie się tego nauczyłaś?

– W domu zawsze pomagałam mamusi – wyjaśniłam. – Najbardziej lubiłam przebierać fasolę.

– Co jeszcze potrafisz?

– Umiem robić masło i ser, znam się też na ziołach i wiem, jak robić z nich napary.

– Wiesz, które zioła na co pomagają?

– Tak, mamusia nauczyła mnie tego. Zbierałyśmy je razem na polanie.

– To pięknie! Pochodzisz ze wsi?

– Z lasu – powiedziałam i zamilkłam.

Izabela spojrzała na mnie badawczo, ale o nic więcej nie pytała.

Po południu dom się ożywił. I mimo że Izabela prosiła mnie o pozostanie w pokoju na wypadek przybycia gości, sama zaprosiła mnie do salonu, gdzie siedziały cztery młode kobiety. Wszystkie były umalowane, ubrane nader skąpo i pachniały perfumami.

– Dziewczynki – zwróciła się do nich Izabela – poznajcie moją nową córeczkę. To Juliana.

– Jaka śliczna laleczka! – zaszczębiotały i rzuciły się w moim kierunku, żeby mnie wyściskać albo chociaż dotknąć. – Jakie ma piękne włosy! Jakie długie rzęsy! – wołały jedna przez drugą. Zainteresowały się moją złamaną nogą i sposobem, w jaki znalazłam się u Izabeli. Po pewnym czasie zjawiała się jeszcze jedna kobieta i ta podobała mi się najbardziej. Była tak piękna, że nie mogłam oderwać od niej oczu. Greta, bo tak nazywały ją koleżanki, miała hiszpańską urodę, długie kruczoczarne włosy upięte w gruby węzeł nad karkiem, zaczesane gładko do góry, i wielkie, brązowe oczy. Była też bardziej opanowana od pozostałych. Podeszłam do wazonu, skąd wyjęłam jedną pąsową różę i wpięłam Grecie we włosy, tuż nad skronią. Roześmiane dziewczęta zaczęły klaskać, sama Greta skwitowała mój gest uprzejmym uśmiechem. Radosny śmiech i rozmowy trwały do czasu, aż ktoś zapukał do drzwi. Pukanie było umowne: raz dwa trzy, raz dwa, raz dwa trzy.

– Zmykaj do siebie – powiedziała Izabela, a dziewczęta pomachały mi wesoło.

W domu Izabeli czułam się jak w niebie. Moją nową opiekunkę uważałam za

dobrą i mądrą, a dziewczęta niemal codziennie przynosiły mi drobne prezenty. Miałam skrupuły przyjmując je, ale Izabela powiedziała:

– Bierz, jeśli ci dają. One krzywdy u mnie nie znają. Nie mają własnych dzieci, więc kogo mają rozpieszczać?

Dygałam więc grzecznie, a one bawiły się mną jak lalką. Czesaly, wplatając we włosy nowe błyszczące wstążki, i ubierały w piękne sukienki. Izabela obserwowała to z pobłażliwością kocicy, której kocięta głaskane są przez czyjeś ręce. Była spokojna i czujna zarazem. Kategorycznie nie zgadzała się, kiedy któraś z rozpędu chciała użyć szminki lub przypudrować mi nos.

– Zostawcie – mówiła – będzie wyglądać jak kokota.

Nie wiedziałam, co to kokota, ale z tonu głosu Izabeli wnioskowałam, że nie powinnam tak wyglądać. Greta przynosiła mi zwykle książki i z nich cieszyłam się najbardziej. Wieczorami, gdy rozlegało się pukanie, znikałam za drzwiami własnego pokoju i zaczytywałam się w lekturze. Dnie spędzałam w towarzystwie Izabeli. Pomagałam jej we wszystkich domowych czynnościach, chodziłyśmy razem po zakupy i na spacer, podczas których odbywałyśmy długie pogawędki. Izabela niewiele mówiła o sobie, dając mi do zrozumienia, że wspomnienia sprawiają jej przykrość. Uwielbiała natomiast wysłuchiwać moich opowieści, zwłaszcza o życiu w leśnej chacie. Trzy tygodnie upłynęły szybko i nadszedł termin uwolnienia mnie z gipsowej skorupy.

– Chyba nie powinnyśmy iść do twojego szpitala – zauważyła Izabela. – Może tam na ciebie czekać ktoś niepowołany. Zaprowadzę cię do innego lekarza.

Gabinet znajdował się w zaułku jednej z krakowskich uliczek. Nie był opatrzony żadną tabliczką ani numerem. W ciasnej i ciemnej poczekalni nie było nikogo. Izabela zapukała do drzwi gabinetu i nie zaglądając do środka, usiadła na jednym z dwóch stojących tu krzeseł. Mnie wskazała to drugie. Po kilku minutach gabinet opuściła jakaś kobieta. Po jej wyjściu lekarz wysunął posiwiałą lekko głowę. Obrzucił mnie wzrokiem pełnym nagany, potem spojrzał na Izabelę.

– Boga się nie boisz – syknął do niej – toż to jeszcze dziecko! Zobaczysz, doigrasz się!

Izabela poderwała się z krzesła i zaczęła szeptać mu coś do ucha. W miarę padających słów twarz doktora łagodniała, w końcu spojrzał na nią zdumiony i wykrzyknął:

– Oszalałaś! Zupełnie oszalałaś! Jestem ginekologiem, nie chirurgiem!

Izabela pogrzebała w torebce, skąd wyjęła opasy portfel.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy! – warknął. – Powtarzam, nie jestem chirurgiem. Nie znam się na tym. A jeśli noga źle się zrosła? Chcesz dziewczynę okaleczyć czy co? – zerknął na mnie ponownie. – Wejdz, dam ci adres kolegi, on się tym zajmie.

Przez niedomknięte drzwi dobiegały mnie strzępki ich rozmowy. Słowa

Izabeli tonęły w ścianach gabinetu, doktora natomiast słyszałam bardzo wyraźnie.

– Która znowu? – zagrmiał – Greta? Dobrze, niech przyjdzie jutro... Nie trzeba, zapłacisz przy okazji, po zabiegu. Niech no która z nią przyjdzie, żeby nie zemdląła po drodze, jak ta, co tu była ostatnio.

Izabela wyszła i ruszyliśmy pod wskazany przez doktora adres. Po godzinie wracałyśmy zadowolone, ja bez ciężkiego balastu na nodze, choć jeszcze o kulach.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytała Izabela odgarniając mi kosmyk włosów z czoła.

– Z powodu gipsu tak. Ale chciałabym być Gretą.

– Dlaczego akurat Gretą? – zapytała zatrzymując się wpół kroku. Przyglądała mi się podejrzliwie. – Jeżeli usłyszałaś moją rozmowę z doktorem, zatrzymaj ją, proszę, dla siebie. Małe dziewczynki nie interesują się takimi sprawami.

– Chciałabym być Gretą, bo ona jest szczęśliwa, piękna i mądra – wyrecytowałam ignorując jej uwagę.

Izabela jeszcze raz obrzuciła mnie czujnym spojrzeniem i powiedziała łagodniej:

– Owszem, jest piękna i mądra. Ale nie jest szczęśliwa. W czasie wojny straciła rodziców i narzeczonego. Została sama, bez dachu nad głową i środków do życia. Nie pracowałaby u mnie, gdyby tak się nie stało.

– Czy to źle, że pracuje u ciebie?

– Źle, bardzo źle. To nie dla niej.

Zamilkłam. Mogłam jedynie domyślać się, na czym polega praca u Izabeli. Wiedziałam tyle, co naszeptowała mi Adela, widziałam też rozmaitych mężczyzn przewijających się przez dom Izabeli. Ilekroć jednak o to pytałam, spotykałam się z wymijającą odpowiedzią:

– Jesteś za mała, żeby ci to tłumaczyć. Poza tym im mniej wiesz na ten temat, tym lepiej. Jeszcze byś gdzieś wypaplała.

Tego wieczoru jak zwykle zjawili się panowie, a ja umknęłam do swojego pokoju. Sięgnęłam po najnowszą książkę podarowaną mi przez Gretę. Lecz zanim zagłębiłam się w lekturze, usłyszałam głośne walenie w drzwi. Nikt ze znanych tu osób w ten sposób nie pukał. Zerwałam się na równe nogi i przyłożyłam ucho do dziurki od klucza.

– Szybko! Stół! Rozłóż karty! Greta, przynieś herbatę! I ciasteczka! Wysypcie na talerzyk ciasteczka! Panie Nikodemie, do pianina! Niech no któraś weźmie Julianę na kolana, szybko! – komenderowała Izabela.

Odskoczyłam od drzwi i wróciłam na tapczan, biorąc do ręki książkę.

– Chodź, poczytam ci – usłyszałam drżący głos dziewczyny, którą zapamiętałam jako Różę.

– Otwierać! – usłyszeliśmy nagle i Róża mocno ścisnęła moją rękę.

– Chodź – szepnęła i pociągnęła mnie za sobą.

Pan Nikodem zapinając trzęsącymi się rękami guziki od koszuli zasiadał do pianina. Greta szła coś siedząc w fotelu pod oknem. Reszta grała w najlepsze w karty przy stole, popijając herbatę. Róża posadziła mnie na sofie i usiłowała czytać, chociaż książkę trzymała do góry nogami. Izabela przekręcała klucz.

Ledwo drzwi stanęły otworem, kilku roślących mężczyzn wtargnęło do środka. Jeden z nich wykręcił Izabeli ręce do tyłu i warknął:

– Idziemy!

Drugi sprawdzał dokumenty naszych gości, a pozostali plądrowali mieszkanie. O nic nie pytali.

– Ubierać się! – rzucił któryś w kierunku oniemiałych z przerażenia dziewcząt.

Kiedy drżące ze strachu zakładały płaszcze, jeden z tych, którzy grzebali w rzeczach Izabeli, dostrzegł mnie.

– Co to za dziecko? – zapytał ostro, kierując we mnie wskazujący gruby paluch.

– Juliana – szepnęłam i cofnęłam się o krok pod ścianę.

– Jest tu twoja matka? – zapytał i powiódł wzrokiem po młodych kobietach.

– Jest tylko ciocia – powiedziałam i podbiegłam do Izabeli. Chwyciłam jej rękę i przytuliłam do rozgrzanego z emocji policzka.

– Tylko ona? – upewniał się gruby paluch. – Zabierzcie małą do sierocińca! – rozkazał.

– Dlaczego?! – krzyknęłam. – To jest moja ciocia! Nie chcę do sierocińca!

– Twoja ciotka odsiedzi parę latków – zaśmiał się grubiańsko. – Zabrać ją! – zwrócił się do chudego mężczyzny w okularach.

Rozpłakałam się i przytuliłam mocniej do Izabeli. Zdążyła tylko szepnąć: „Twoja torebka!” i przelotnie pocałowała mnie na pożegnanie, kiedy gruby paluch wypchnął ją na schody. Za nimi pod eskortą wyszły dziewczyny i ich wielbiciele. Jeden z nich podszedł do chudzielca w okularach i coś mu zawile tłumaczył. Z kieszeni marynarki wydobyl legitymację i podstawil okularnikowi pod nos.

– Przykro mi, pójdzie pan z nami – powiedział chudzielec oddając mu dokument.

– A teraz? – zapytał gość wtykając mu do ręki plik banknotów.

Chudy rozejrzał się dyskretnie i wsunął pieniądze do kieszeni płaszcza.

– Niech pan zaczeka, aż zejda. Potem dyskretnie w prawo. Po lewej stoją nasze samochody – powiedział półgłosem.

– Dziękuję – szepnęłam tamten i usiadł na brzeżku krzesła.

– Ciocia też ma pieniądze – powiedziałam patrząc chudemu w oczy – wypuśćcie ją, to wam da.

– Tak? A gdzie ma te pieniądze, co? – Chudzielec pochylił się i pociągnął

mnie za nos. Wyraźnie widziałam swoje odbicie w jego okularach.

– Tam. W komodzie – wskazałam pokój, w którym najczęściej przebywała Greta.

– No dobrze – uśmiechnął się chytrze – jak znajdę, wypuszczę twoją ciotkę.

Wszedł do pokoju i pochylił się nad najniższą szufladą. Bez wahania zatrasnęłam drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Złapałam swoją torebkę i nie oglądając się na gościa w marynarce, szybko zbiegłam po schodach. Przed samym wejściem stał gruby paluch i palił papierosa. Widziałam go wyraźnie, mimo że zapadał zmrok. Cofnęłam się na półpiętro i przyczałam na schodach. Z mieszkania Izabeli zaczęły dobiegać krzyki chudzielca. Przechyliłam się przez poręcz i wyjrzałam na ulicę. Gruby paluch rzucił papierosa i zaczął nasłuchiwać. Przeraziłam się, że za chwilę wejdzie na górę sprawdzić, co tam się dzieje. On jednak podszedł do jednego z samochodów i mówił coś do kierowcy, wskazując okna Izabeli. Nagle drzwi na parterze skrzypnęły i usłyszałam głos sąsiadki. Błyskawicznie zbiegłam i wsunęłam dłoń w jej rękę. Spojrzała zdziwiona, ale ja roześmiałam się bez troski i pociągnęłam ją do wyjścia. Na zewnątrz puściłam jej rękę i czmychnęłam w prawą stronę, by zniknąć za rogiem najbliższego budynku.



Błąkałam się po ulicach Krakowa, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Musiałam być ostrożna. Spotkanie kogokolwiek z Domu Dziecka, szkoły lub szpitala, w którym leczono mnie po wypadku, mogłoby się źle skończyć. Nie chciałam dostać się do kolejnego sierocińca. W swoich planach założyłam wolność. Zapadająca noc przerzedziła ulice miasta. Tylko nieliczni przechodnie pośpiesznie zmierzali do domów. Przy skwerku ujrzałam samotną ławkę. Skuliłam się na niej i potarłam dłońmi ramiona. Pomimo lata noce były chłodne. Jakiś pijak szedł zygzakiem po nierównym chodniku. Mruczał pod nosem „Międzynarodówkę” i co chwilę wygrażał komuś pięścią. Nagle zatoczył się i upadł, uderzając głową o płyty chodnika. Zerwałam się z ławki i podbiegłam do niego. Leżał jak martwy. Było ciemno, nie widziałam jego twarzy.

– Proszę pana! – szarpnęłam go za ramię, ale nie reagował. – Halo, proszę pana! – krzyknęłam, a mój głos rozniósł się po pustej ulicy.

– Co tam? – jęknął i uniósł nieco głowę.

– Nic się panu nie stało?

– Wyklęty powstań ludu ziemi! – zaryczał usiłując wstać.

– Cicho! Niech pan tak głośno nie śpiewa – upomniałam i pociągnęłam go za rękę. – Chce pan sprowadzić milicję?

– A kto ty jesteś? Anioł? – zapytał stając na chwiejnych nogach. Pochylił się nade mną i wyzionął sporą dawkę alkoholowych oparów. Odór był nie do zniesienia. – Czy ja jestem w niebie?

– Odprowadzę pana. Gdzie pan mieszka?

– A kto to wie? W Krakowie chyba – odpowiedział filozoficznie i oparł się o ławkę.

– Ale gdzie w Krakowie? Przy jakiej ulicy? – badałam.

– Nie wiem. Kto by tam spamiętał te ulice? Nie wiem, jaka to ulica, ale wiem, gdzie ona jest – oderwał się od ławki i stanął przy niej w miarę prosto. – Możemy iść, Aniele.

Złapałam rękaw jego kapoty, starając się utrzymać go w pozycji pionowej. Szliśmy pustym chodnikiem wzdłuż starych kamienic. Mój towarzysz sapał i mruczał, ale kroku nie zmylił ani razu. Nagle zatrzymał się przed szerokimi drzwiami i zaczął je obmacywać.

– Czego pan szuka? – zdziwiłam się.

– Klamki szukam. Klamki! – wrzasnął.  
– Cicho! Ludzie śpią – szepnęłam.  
– Moja stara nie śpi. Ona nigdy nie śpi, cholera! – zaklął.  
– Tutaj pan mieszka? – zapytałam, ale zamiast odpowiedzi usłyszałam szcęk otwieranych drzwi.

– A, jesteś, łajzo! – W mdłym świetle zakurzonej żarówki ujrzałam tęgą kobietę w szlafroku. Na głowie miała pieczołowicie zawinięte papiloty.

– Anioł mnie tu przywiódł – wycharczał mój podopieczny i zachwiał się na nogach.

Dopiero teraz kobieta zauważyła, że stoję obok.

– Toż to dziecko jeszcze! – jęknęła. – Co ty tu robisz w nocy?

– Przyproważyłam tego pana. Przewrócił się, to go podniosłam... – powiedziałam niepewnie.

– Ale czemu ty nie w domu? Kto to widział, żeby dzieciak sam po nocy chodził?

– Nie mam domu – szepnęłam.

– Chodź do środka, porozmawiamy – pociągnęła mnie za rękę – zostaw tego pijaka. Niech sam sobie radzi – dodała widząc, że oglądam się na niego.

Mieszkanie znajdujące się na parterze kamienicy było duszne i zagracone. Składało się z jednej izby przedzielonej zasłonką, za którą prawdopodobnie znajdowała się część kuchenna.

– Siadaj – kobieta strąciła okruszki z krzesła i poprawiła pościel na rozgrzebanym łóżku – mów, coś ty za jedna.

– Jestem Juliana – odpowiedziałam, bo to, jak się nazywam, wydało mi się najistotniejsze.

– Juliana, Julka – powtórzyła – gdzie twoi rodzice, co?

– Nie ma. Mamusia nie żyje, a tatuś... Szukam tatusia. Poszedł i nie wrócił.

– Jak to chłop – skwitowała. – Mówisz, że nie masz domu. A gdzie mieszkałaś do tej pory?

– U cioci Izabeli, ale dziś w nocy ją zabrali.

– Co za czasy – mruknęła – człowiek nie zna dnia ani godziny. Strach w sklepie się odezwać. Biedactwo. Trzeba cię do jakiego przytułku oddać.

– Nie! Proszę! Nie chcę do przytułku.

– Dobrze, dobrze. Teraz, w nocy, i tak cię nie oddam. Muszę cię gdzieś położyć spać. Chyba na podłodze uszykuję posłanie. U mnie nie ma miejsca.

Zakrzętnęła się, spod łóżka wydobyła pierzynę i umościła legowisko.

– Będziesz spać jak królowa – wysapała zadowolona.

Skrzypnęły drzwi, do izby wtoczył się mąż gospodyni i runął na łóżko, aż jęknęło.

– Nie zwracaj na niego uwagi – machnęła ręką z lekceważeniem. – Do rana



mu przejdzie. Kładź się.

Zdjęłam tylko buty i nie widząc nigdzie miejsca, gdzie mogłabym się umyć, zakopałam się w miękkiej pierzynie. Już po chwili rozległo się chrapanie moich gospodarzy. Leżałam z otwartymi oczami rozmyślając o Izabeli. Co się z nią stało? Dlaczego ją zabrali? Czy już nigdy nie wróci, tak jak nie wróciła pani Elwira? A dziewczęta? Co z nimi będzie? Pomyślałam też o moich pięknych sukienkach pozostawionych w przytulnym pokoiku, o książkach i zabawkach. Zdążyłam zabrać tylko torebkę z miękkiej skórki, o której przypomniała mi Izabela. Dlaczego było to dla niej takie ważne? Wyciągnęłam rękę spod pierzyny i sięgnęłam po torebkę spoczywającą na krześle. Zdumiałam się, kiedy ją otworzyłam. Nie było tam drobiazgów, które zwykle nosiłam. W świetle ulicznej latarni dostrzegłam, że była wypełniona banknotami.

– Boże! – szepnęłam do siebie. – Boże, to pieniądze Izabeli!

Usłyszałam jęk, a potem skrzypienie łóżka, na którym ktoś się przewracał. Co dziwne, dźwięki te dobiegały zza zasłonki. Ktoś tu jeszcze jest – pomyślałam i ukryłam torebkę pod pierzyną.

– Franek, Franek, Wstawaj! Do roboty się spóźnisz. Wstawaj! – obudziło mnie wołanie i szybki tupot bosych nóg.

– Jezus, jak późno! Nie mogła matka wcześniej obudzić? – Głos pełen pretensji zmieszał się z chlupaniem wody w misce. – Majster znowu będzie zły!

– Wołałam wcześniej, jak ojciec wstawał.

– Ojca już nie ma?

– Nie ma. Dawno poszedł.

Kobieta ułożyła na łóżku pościel i przykryła je kolorową kapą.

– Prędszej! Chleb ci naszykowałam, na stole leży.

– Ze smalcem?

– Nie ma nic innego.

Zza zasłonki wyłonił się chłopak, może siedemnastoletni. Lawirował między sprzętami, dopinając spodnie w drodze do drzwi. W zębach trzymał kawałek chleba. Nagle zatrzymał się i wlepił we mnie zdumione spojrzenie.

– Matka, a kto to? – zapytał nie przestając się na mnie gapić.

– Julka, a kto ma być? – wzruszyła ramionami i wypchnęła Franka za drzwi. – No, wstawaj, przejść trudno przez twoją pierzynę – zwróciła się do mnie.

Zerwałam się szybko i przyglądałam wymiętą sukienkę.

– Za zasłonką jest miska, idź się umyć. Ręcznik wisi na haku.

Wsunęłam się za zasłonkę i rozejrzałam ciekawie. Miejsce to pełniło rolę kuchni, łazienki i sypialni Franka. Nigdzie jednak nie dostrzegłam...

– Jak chcesz siku, to idź na korytarz. Na półpiętrze jest wspólny kibel – powiedziała bez ogródek kobieta.

Na śniadanie dostałam owsiankę na mleku.

– Julka, co mam z tobą zrobić, co? – zagaiła rozwijając papiloty. – Ja zaraz do roboty idę. Do wieczora mnie nie będzie. Sama będziesz tu siedzieć czy jak?

– Mogę pójść z panią – zaproponowałam nieśmiało.

– Dzieciaku! Cały dzień w knajpie na zmywaku stoję. Nie ma tam dla ciebie roboty. Będziesz tylko przeszkadzać.

– Pomogę pani. Będę przynosić brudne naczynia.

– No, nie wiem... Szefowa będzie zła – zastanawiała się.

– Nie wejdę jej w drogę. Obiecuję, że nawet mnie nie zobaczy!

– No dobrze. Spróbujemy. Zbieraj się.

Włożyłam buty i zawiesiłam na ramieniu torebkę. Odkąd odkryłam, co zawiera, wołałam mieć ją przy sobie. Restauracja, do której zmierzałyśmy, była kilka ulic dalej.

– Pierkowa z dzieciakiem! – przywitały ją kucharki. – A Franek co na to?

– Franek nie ma tu nic do gadania – odparła i sięgnęła po biały fartuch.

– Danuśka, skąd ją wzięłaś? – zapytała kobieta w czepku z cienkiej siateczki.

– Przyszła z moim starym. Gdyby nie ona, pewnie pod ławką by spał. Dzieciak domu nie ma, to na razie przygarnęłam.

– Do przytułku oddaj. Po co ci ona? Sama do gęby nie masz co włożyć – odezwała się inna.

Kobiety nie zwracały uwagi na to, że stoję obok i przysłuchuję się rozmowie.

– Jak trzeba będzie, to oddam. Na razie mi nie wadzi – odparła Danuśka. Pierek i zajęła się szorowaniem garnka. Podeszłam do uchylonych drzwi i wyjrzałam na salę. Nie było jeszcze gości, tylko kelnerki ubrane w czerwone sukienki i białe krótkie fartuszki wymieniały obrusy i poprawiały nakrycia. Ruch zaczął się dopiero w porze obiadowej. Kelnerki biegały z pełnymi tacami i musiałam uważać, żeby nie zaplątać się którejś pod nogi.

– Nie stój tak – ofuknęła mnie szczupła brunetka – zanieś to do czternastego stolika. Tam, na środku. Widzisz? – Wcisnęła mi dwie butelki lemoniady i zniknęła w kuchni.

Zaniosiłam posłusznie i dostałam napiwek. Ośmieliłam się i nosiłam coraz częściej. A to pucharki z kremem, a to napój w butelkach, raz zaniosiłam nawet półmisek z surówką. Nie obsługiwałam klientów, jedynie pomagałam kelnerkom, które nie mogły zabrać wszystkiego naraz. Goście uśmiechali się do mnie, głaskali po głowie albo dawali jakieś grosze. Po kilku dniach uzbierałam niewielką sumkę, którą postanowiłam przekazać Danuśce.

– Zatrzymaj to sobie, dzieciaku! – zawołała wzruszona. – Zarobiłaś, to będziesz miała na lizaki.

– Nie chcę lizaków. Proszę kupić za to kielbasy Frankowi – odpowiedziałam bardzo dumna z zarobku.

– Kielbasy Frankowi? Co ci chodzi po głowie?

– Raz słyszałam, że on nie lubi smalcu – bąknęłam.

Nie spodziewałam się, że tym gestem zaskarbię sobie uczucia Franka na resztę dni spędzonych u Pierków. Franek wynurzył się zza zasłonki i przyjrzał mi się z uznaniem.

– Wiesz co mała? Jutro niedziela, przepuścimy te pieniądze. Zabiorę cię w miasto. Chcesz?

Pewnie, że chciałam! Niedzielny poranek nie był tak burzliwy, jak powszedni. Danuśka wstała pierwsza i zagotowała mleko. Jej mąż, Zenon, zajął się czyszczeniem butów całej rodziny. Musiały błyszczeć w kościele. Po mszy pomogłam Danuśce przy obiedzie. Był kapuśniak i kluski ze skwarkami. Zaraz po obiedzie pan Zenon wybierał się na piwo, ale go uprosiłam, żeby poszedł ze mną i Frankiem przepuścić pieniądze.

– Dobrze Aniele. Jakąś słabość mam do ciebie – westchnął i wsypał do kieszeni garść zaskórniaków.

W Rynku było gwarno i wesoło. Pod Sukiennicami zebrali się górale, by razem muzykować. Krakowskie przekupki sprzedawały precle nanizane na sznurek. Jakiś chłopak w zabawnym kapeluszu popisywał się spacerując na szczydach. Kupiliśmy cukierki i przysiedliśmy na schodkach pomnika. Przyglądaliśmy się przechodniom i słuchaliśmy góralskich przyśpiewek.

– Dlaczego zabrali twoją ciotkę? – zapytał nagle Franek i zerknął na mnie ciekawie.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i przycisnęłam mocniej torebkę z pieniędzmi, którymi chciałam zapłacić za jej wolność.

– A czym się zajmowała? – zainteresował się.

– A bo to trzeba się czymś zajmować, żeby za kratki trafić? Wystarczy ponarzekać, że czegoś w sklepie nie ma i już władzom się nie spodobasz – mruknął pan Zenon i rozejrzał się trwożliwie.

– Może ją wypuścili? Jak chcesz, to sprawdzę – zaoferował się Franek.

– Znowu nos w nie swoje sprawy pchasz? Drugi raz na milicję nie będę za tobą chodził! – zdenerwował się pan Zenon.

– Nie musi ojciec chodzić. A sprawdzić nie zawadzi. Po co Julka ma się po obcych tułać, jak może mieszkać z ciotką?

– Źle jej u nas czy jak?

– Dobrze, bardzo dobrze – zawołałam – ale tęsknię za ciocią.

– Widzi ojciec. Zbiorę kiedy chłopaków i wszystkiego się dowiemy. Tylko musisz powiedzieć, gdzie mieszkałaś.

– Mogę pójść z wami? – zapaliłam się.

– Nie. To męska sprawa. Jesteś za mała i w dodatku baba.

Dokładnie tydzień później na niedzielnym spacerze wytłumaczyłam

Frankowi, jak wygląda dom Izabeli. W towarzystwie pana Zenona wróciłam do domu, gdzie czekała Danuśka z zacierkami na mleku.

– Odkąd masz tego swojego Anioła, to i pić przestałeś – zauważyła i uśmiechnęła się do mnie ciepło. – A gdzie Franek?

– Poszedł gdzieś z chłopakami – wyjaśnił pan Zenon i mrugnął do mnie okiem.

– Żeby znowu gdzieś biedy sobie nie napytał – westchnęła Danuśka i zabrała się za cerowanie dziurawych skarpet.

Kiedy zagrzebywałam się w pierzynie, Franka jeszcze nie było. Obudził mnie w środku nocy.

– Twoją ciotkę zamknęli.

– Co? Gdzie zamknęli? – zapytałam nieprzytomnie.

– A gdzie mieli zamknąć?! – powiedział ze złością i zniknął za zasłonką.

Nigdy nie dowiedziałam się, w jaki sposób Franek uzyskał informację o losie Izabeli. Nie dowiedziałam się również, do jakiego więzienia trafiła. Tego dnia jak zwykle wybrałam się z Danuśką do restauracji i pomagałam kelnerkom. Przyzwyczyły się do mnie i witały zawsze radośnie. Kierowniczka lokalu zaś zdawała się mnie nie dostrzegać. Nagle zauważyłam, że przygląda mi się jakaś dama czekająca na swoje zamówienie. Była dystygowana i nie spuszczała ze mnie oka. W pewnej chwili skinęła dłonią. Obejrzałam się, a ponieważ za mną nie było żadnej kelnerki, podeszłam.

– Zbliź się, dziecko – powiedziała i nachyliła się, żeby lepiej mi się przyjrzeć. – Ile ty masz lat?

– Dziesięć – odpowiedziałam.

– Któż to zatrudnia dziesięcioletnie dzieci? – oburzyła się. – Twoi rodzice wyrażają na to zgodę?

– Nie mam rodziców – odparłam i zrobiłam krok do tyłu, bowiem paniusia nachyliła się jeszcze bardziej.

– O, nie uciekniesz! – syknęła łapiąc mnie za rękę i zwracając się do przechodzącej właśnie kelnerki: – Chcę się widzieć z kierowniczką!

– Dobrze, proszę pani, już wołam – dygnęła tamta i obrzuciła mnie spłoszonym spojrzeniem.

Kierowniczka nie przeczuwając niczego złego, wynurzyła się z zaplecza i rozejrzała się po sali. Na widok damy trzymającej za rękę dziewczynkę, której starała się dotąd nie dostrzegać, twarz jej spąsowiała, a obfita pierś uwięziona w białym fartuchu zaczęła falować. Podeszła energicznym krokiem i ubrała twarz w uprzejmy uśmiech.

– W czym mogę pomóc? – zapytała i poprawiła sztywną od lakieru fryzurę.

– Co tutaj robi ta dziewczynka? – zapytała dama i wskazała na mnie wypielęgowaną dłonią.

– Biega sobie. Wakacje teraz, to co ma robić? – obruszyła się kierowniczką.  
– Jeśli ma wakacje, to dlaczego nie wysłała jej pani nad morze albo w góry?  
– Ja?! – zdumiała się kierowniczką i wojowniczo zaplotła ręce na piersi. –  
A bo ona moja? Pani poczeka... Danuśka! Zawołajcie mi tu Danuśkę – zwróciła się do jednej z kelnerek.

Po chwili zobaczyłam moją opiekunkę, jak biegnie wycierając ręce w fartuch. Była tak przerażona, że zrobiło mi się jej żal.

– Proszę nie krzyczeć – szepnęłam – to moja wina. Pani Danuta wcale nie chciała mnie tu zabierać. Jeśli tak przeszkadzam, nie będę więcej przychodziła.

– Cicho, dziecko, cicho. – Dama wzięła mnie za rękę i przyciągnęła blisko siebie. – Czy pani zajmuje się tą dziewczynką? – zwróciła się do Danuśki.

– Tak – odparła i zerknęła na kierowniczkę. – A co mam z nią zrobić? Całe dnie jestem tutaj... dzieciak w domu nawet by nie zjadł.

– Skąd ty ją wytrzasnąłaś, Danuśka? – zapytała kierowniczką i pokręciła z dezaprobatą głową.

– Przyszła raz w nocy, to i została. Krzywdy u mnie nie ma. Dobry dzieciak.

Dama gestem dłoni odprawiła kierowniczkę, a Danuśce wskazała miejsce przy stole. Mnie przygarnęła do siebie i nie wypuszczała nawet na centymetr.

– Droga pani – odezwała się po chwili – dziecko to nie rzecz, którą można przekładać z miejsca na miejsce. To żywa istota, przyszłość naszego narodu, którą należy ukształtować. Rozumie pani? U–kształ–to–wać!

– Co mam nie rozumieć – mruknęła Danuśka i pociągnęła nosem.

– Otóż proszę mi powiedzieć, jakie warunki stworzyła pani dziecku?

– Warunki?

– No, gdzie na ten przykład śpi? Czy ma swój kącik do zabawy, biurko do odrabiania lekcji... Przecież za chwilę zacznie się szkoła. Kupiła jej pani podręczniki? Zeszyty? A widzi pani! – dodała z satysfakcją ujrzawszy zmieszana minę Danuśki. – A ja jej to wszystko zapewnię – oznajmiła tryumfalnie i wycelowała w mój brzuch palec zakończony paznokciem pociągniętym czerwoną emalią. – Zabieram ją do siebie. W przeciwnym razie zgłoszę gdzie trzeba i dziecko trafi do sierocińca.

Danuśka nie powiedziała nic. Kiwnęła tylko głową i poszła do zmywalni. Widząc to, uwolniłam się z uścisku paniusi i pobiegłam za nią. Siedziała na kuchennym stołku z twarzą ukrytą w fartuchu. Jej ramiona unosiły się w cichym, spazmatycznym szlochu. Uklękłam na podłodze i objęłam ją ramionami najczulej, jak potrafiłam.

– Nie płacz – szepnęłam, a łzy potoczyły się same – zostanę z tobą, nie płacz...

Uniosła zaczerwienioną od płaczu twarz i drżącą ręką pogładziła mnie po

policzku.

– Idź do niej, Julka. Idź. Ja nie dam ci tego wszystkiego, co ona, bo nie mam. U niej będziesz miała lepiej. Nie chcę, żebyś trafiła do przytułku. Idź. A jak będzie ci źle, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Przygarnęła mnie mocno do siebie i trzymała bardzo, bardzo długo. Potem wzięła mnie za rękę i sama zaprowadziła do stolika, przy którym siedziała przyszła moja opiekunka.

– Niech pani posłucha – powiedziała zduszonym głosem – może ona jadła u mnie tylko zacierki i chleb ze smalcem i może nie miała tego wszystkiego, co będzie mieć u pani, ale dałam jej miłość i spokój, a sierocie najbardziej tego trzeba. Ot co! – odwróciła się na pięcie i już chciała odejść, gdy zatrzymałam ją wpół kroku.

Zdjęłam z ramienia torebkę z miękkiej skórki i zawiesiłam na szyi Danuśki.

– Weź to na pamiątkę ode mnie – powiedziałam i przytuliłam się do mokrego od pomyj fartucha.



Samochód podskakiwał na kocich łbach, którymi wyłożona była droga biegnąca do domu Wilhelma i Pameli Gryffinów. Strzeliste topole prowadziły do szerokiej, kutej bramy, zza której wynurzały się ściany reprezentacyjnego budynku. Własność ta kłuła w oczy obecne władze, jednak mąż pani Pameli, wysoko postawiony urzędnik, zdołał uchronić gniazdo rodzinne przed obcymi lokatorami. Sprowadził tu owdowiałą ciotkę małżonki oraz dwie swoje niezamężne kuzynki. Dom zbudował ojciec pana Wilhelma, który przybył z dalekiej Ameryki, by poślubić piękną Polkę Malwinę. Z tego związku narodził się Wilhelm, który poślubił uroczą Pamelę. Niczego nie brakowało młodemu państwu Gryffinom prócz potomstwa, którego mimo upływu lat nie mogli się doczekać. Dlatego pani Pamela nie zawahała się przygarnąć osieroconej Juliany, by należycie ją wykształcić i wychować na prawego człowieka. Tego i wielu innych rzeczy dowiedziałam się siedząc sztywno w samochodzie i dyskretnie obserwując wyniosłą panią Gryffin. Zadbana i elegancka, nie wyglądała na więcej niż czterdzieści lat. Onieśmiała mnie. Zupełnie inaczej czułam się w towarzystwie szczerzej i otwartej Danuśki.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła i zatrzymała samochód na brukowanym dziedzińcu. – Chodź za mną!

Ruszyłam posłusznie po szerokich kamiennych schodach. Dwa wyżły rozciągnięte leniwie na ich szczycie poruszyły się niespokojnie. Kiedy się zbliżyłam, wstały i zaczęły mnie obwąchiwać.

– Nie bój się. To Aster i Lila. Są łagodne – objaśniła pani Pamela i otworzyła ciężkie drzwi, za którymi znajdował się hol. Następne prowadziły do salonu.

Pokój ten, wyposażony w sofę, fotele, lampy, podręczne stoliki i wielką bibliotekę, wyraźnie przeznaczono na codzienne spotkania członków rodziny i ich wygodę. Kredens, zastawiony paterami pełnymi owoców, stał po lewej stronie, po prawej zaś panoszył się piec zbudowany z ozdobnych kafli w kolorze lipowego miodu. Na fotelu pod oknem siedziała starsza pani i dziergała coś szydełkiem.

– Pozwoli ciocia, że przedstawię – odezwała się pani Pamela nieco głośniejszym głosem niż dotąd – to Juliana. Będzie z nami mieszkać.

Starsza pani odłożyła robótkę na kolana, poprawiła zsuwające się z nosa okulary, po czym dokładnie mi się przyjrzała.

– Jak powiedziałas? Juliana? – upewniała się.

– Tak, Juliana. Ma dziesięć lat – odpowiedziała pani Pamela.

– A Wilhelm? Czy on już wie? – zapytała konspiracyjnym szeptem i mimochodem spojrzała na drzwi.

– To ja, nie Wilhelm, zajmę się wychowaniem małej. On większość czasu i tak spędza w biurze.

– Zrobisz, jak zechcesz, ale dotąd sam o wszystkim decydował. A jeśli się nie zgodzi?

– Co też ciocia opowiada, droga ciociu – obruszyła się pani Pamela. – A gdzie Wanda i Hala? – zmieniła temat. – Jak zwykle spacerują po ogrodzie?

– A jakże! Spacerują! Wszędzie kurz zalega, garnki nie umyte, a one szukają księcia z bajki. Darmozjady!

– Niech ciocia tak nie mówi. To kuzynki Wilhelma.

– I co z tego, że kuzynki? Czasy służby już minęły. Pora zakasać rękawy!

– Przecież pracują, ciociu.

– Pracują, pracują. A jak przy tym narzekają! Nawet ja, choć mam swoje lata, staram się być użyteczna. Ot, widzisz, nową firankę do salonu robię.

Na ganku rozległo się radosne poszczekiwanie psów i już po chwili w progu stanął mężczyzna około pięćdziesiątki, z włosami i wąsem oszronionymi siwizną. Był nienagannie ubrany, w rękę trzymał czarną skórzaną teczkę. Ciotka nasunęła na nos okulary i zaczęła szydełkować ze zdwojoną energią, pani Pamela zaś podbiegła do niego z wdziękiem podlotka.

– Bardzoś zmęczony, kochany? Zaraz podamy obiad. Dziś pieczone nóżki!  
– zaszczębiotała.

– Witaj, moja droga. Pieczone nóżki trzeci raz w tym tygodniu. I widzę, gościa mamy na obiedzie – spojrzął na mnie ciekawie. – Przedstawisz mi?

Pani Pamela zmieszała się nieco i zarumieniła na twarzy.

– To Juliana, Wilhelmie – powiedziała krótko.

– Dzień dobry Juliano. – Wyciągnął do mnie rękę, nie interesując się, skąd przybyłam i po co.

– Dzień dobry – bąknęłam.

Ciotka nie oderwała wzroku od robótki, zdawało mi się, że nawet bardziej się nad nią pochylała, a pani Pamela biorąc mnie za rękę rzekła:

– Chodź, Juliano. Nakryjemy do stołu.

Rozkładałam właśnie sztuce, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie. Dwie kobiety w średnim wieku, bardzo do siebie podobne, wtargnęły energicznie, a ujrawszy mnie zatrzymały się wpół kroku.

– Boże, jakie piękne dziecko! – zawołała pierwsza i podeszła bliżej.

– Skąd się tu wzięłaś? – zdążyła zapytać druga, zanim nadeszła pani Pamela.

– Zostawcie ją, nie widzicie, jaka jest onieśmielona? – odezwała się



i postawiła dużą wazę na stole. – Lepiej zawołajcie Wilhelma. Zupa stygnie. Juliano – zwróciła się do mnie – nóż kładziemy tuż przy talerzu. Łyżka jest od zewnętrznej strony, bo będzie pierwsza w użyciu.

Poprawiłam sztucę i odsunęłam się od stołu. Nie miałam pojęcia, co powinnam teraz zrobić. W tym czasie nadeszła reszta domowników. Wszyscy z pewnością siebie zajmowali stałe miejsca przy stole.

– Juliano, usiądź tu – powiedziała pani Pamela wskazując mi krzesło obok siebie.

Podczas obiadu pan Wilhelm opowiadał o swoich urzędowych sprawach, zwracając się przede wszystkim do żony. Pozostałe panie jadły w milczeniu, od czasu do czasu wtrącając krótkie zdanie. Ja milczałam jak grób, niewiele z tej rozmowy rozumiejąc.

– Juliano – upominała mnie pani Pamela – zdejmij łokieć ze stołu, to nieeleganckie. Poproś o sól, nie machaj cioci ręką przed nosem. Jeśli skończyłaś, połóż sztucę w ten sposób, popatrz na mój talerz i odłóż tak samo.

– Pamelu, czy wypada tak strofować gościa? – nie wytrzymał pan Wilhelm. – Jest u nas pierwszy raz na obiedzie i zapewniam cię, że drugi raz nie skorzysta z zaproszenia.

– Juliana nie będzie naszym gościem, tylko domownikiem – odparła pani Pamela i odważnie spojrzała na męża.

Ciotka skurczyła się za stołem, a obie kuzynki spojrzały po sobie w zdumieniu.

– Moja droga, skąd tutaj to dziecko? – zainteresował się wreszcie pan Wilhelm i otarł usta serwetką.

Pani Pamela nabrała w płuca powietrza i niemal jednym tchem oświadczyła:

– Przywiozłam ją. Wyrwałam z proletariackich robotniczych ramion, chcę dać jej dom i rodzinę, ponieważ była sierotą!

– Chyba jest sierotą – sprostował Wilhelm i popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Była. A teraz mamy wreszcie dziecko, a ona rodziców – oświadczyła pani Pamela i odetchnęła z ulgą, że najtrudniejsze zadanie ma za sobą.

– Pamelu, nie można ot tak sobie przygarnąć obcego dziecka – tłumaczył jak małej dziewczynce. – Czy ona ma jakieś dokumenty? Ile ty masz lat, Juliano? – zwrócił się do mnie.

– Dziesięć – odparłam.

– Dziesięć lat. Przecież przez te dziesięć lat ktoś się tobą opiekował, gdzieś musiałś mieszkać. Nie wypadłaś spod kapusty. Czy możemy porozmawiać na osobności? – mówiąc to wstał i wyprowadził mnie do swojego gabinetu. Tu, jak na świętej spowiedzi, wszystko mu opowiedziałam. Staralam się mówić jak najkrócej.

– Wciąż się tułasz – westchnął – przydałby ci się normalny dom na stałe.

A moja żona bardzo pragnie mieć dziecko. Los nam poskąpił tego szczęścia. Sama jednak rozumiesz, że prawnie powinnaś się znaleźć w Domu Dziecka...

– Nie! – krzyknęłam mimo woli i zakryłam usta dłonią, żeby nie wybuchnąć. Wspomnienie Suchoty wciąż wywoływało we mnie negatywne emocje.

Pan Wilhelm przyjrzał mi się uważnie.

– Aż tak źle? – zapytał.

Pokiwałam głową i wbiłam w niego spojrzenie pełne nadziei. Pani Pamela może była trochę lekkomyślna, ale zdawała się być dobrą kobietą. Poza tym chciała mieć dziecko.

– Dobrze. Zobaczę, co się da zrobić. Na razie pozostaniesz tu gościem i uzbiorz się w cierpliwość, może uda mi się załatwić wszystkie formalności – powiedział i wstał na znak, że rozmowa dobiegła końca.

W rodzinie państwa Gryffinów czułam się dobrze i swobodnie. Bywało, że zatęskniłam za Danuską albo martwiłam się o uwięzioną gdzieś Izabelę, ale wrażenia te zacierały się coraz bardziej z każdym mijającym dniem. Pan Wilhelm wychodził codziennie do pracy, gdzie piastował tajemnicze wysokie stanowisko, pani Pamela zaś zajmowała się domem i przede wszystkim mną, stawiając przed sobą zadanie, by wychować mnie na rozsądną, wykształconą i dobrze ułożoną pannę. Niemal natychmiast zaczęła dawać mi lekcje gry na pianinie, godzinę dziennie znosiłam towarzystwo ciotki, ucząc się ręcznych robótek, a kuzynki starały się wpajać mi zasady właściwego zachowania w rozmaitych okolicznościach.

Wakacje dobiegły końca i stanęłam przed faktem rozpoczęcia nauki. Pani Pamela zapisała mnie do pobliskiej szkoły, a brak dokumentów wytłumaczyła zawieruchą wojenną. Została też moim tymczasowym opiekunem, dopóki formalnościom nie stanie się zadość. Pobyt w szkole uświadomił mi, że nic się nie zmieniło. Nauczyciele przesiąknięci ideologią wskazaną przez władze dwoili się i troili, by wpoić ją uczniom. Były więc akademie poświęcone Bierutowi, literatura wynosząca Stalina na piedestał i propagandowe hasła na gazetkach szkolnych. I tylko tajemnicze znikanie kolegów ze szkolnej ławy świadczyło o tym, że taka polityka nie wszystkim się podoba, a ich rodzice wyrazili to zbyt jasno. Nie chciałam nosić w sercu szacunku i podziwu dla „ukochanego wodza i nauczyciela” ani oddania się Związkowi Radzieckiemu. Tego nauczyła mnie pani Elwira, zanim w Domu Dziecka pojawiła się Suchota. Niestety niechęć tę nosiłam na twarzy i z tego powodu nader często musiałam zostawać po lekcjach, by malując kolejne propagandowe plakaty przekonać się do ludowo-demokratycznego patriotyzmu i zapalać ciepłym uczuciem do „ojca narodów”. Pani Pamela trochę się dziwiła mojemu zaangażowaniu w tego typu prace, dlatego jej zdumienie nie miało granic, gdy wezwana do szkoły dowiedziała się, że nie wychowuje podopiecznej w duchu

dumy narodowej. A to mogło się skończyć bardzo źle. Udała się więc na naradę do gabinetu męża, po której bardzo zmartwiony pan Wilhelm oświadczył, że przeze mnie może stracić dobrą posadę, a co gorsze, trafić do więzienia. Ze świeżym wspomnieniem pani Elwiry i Izabeli postanowiłam opuścić przyjazny dom, by nie narażać moich opiekunów na kłopoty.

Było grudniowe popołudnie, jedno z tych, gdy za oknem prószy śnieg, a w domu trwają przygotowania do Wigilii Bożego Narodzenia. Siedziałam u boku ciotki, poznając tajniki skomplikowanego szydełkowego wzoru i rozmyślając nad sposobem pożegnania się z panią Pamelą i jej mężem. Było mi niezmiernie smutno. Wyobrażałam sobie, jak drzę z zimna i głodu, a w wigilijny wieczór, gdy całe rodziny zasiądą do wieczerzy, samotnie przemierzam puste ulice w poszukiwaniu kawałka chleba i dachu nad głową. Westchnęłam tak boleśnie, że aż ciotka przestała śmigać szydełkiem i spojrzała na mnie podejrzliwie.

– A cóż to moja kochana tak wzdychasz, aż firanki furkoczą? Boli cię co? Może choroba jaka się szykuje? A to dopiero Pamela będzie lamentować! Na same święta taki ambaras...

– Nie, ciociu. Nic mi nie jest – bąknęłam i dyskretnie otarłam łzę, która jak na złość wytoczyła się w najmniej odpowiednim momencie.

– Ty mi tu nie udawaj! Ja mam bystre oko, choć stare. Zaraz Pamelę zawołam, niech ci coś na poty poda i położy cię do łóżka.

– Nie trzeba! Jestem zdrowa. Niech ciocia nie fatyguje pani Pameli. Dość jej przysparzam zmartwień.

– Zmartwień? Odkąd tu jesteś, fruwa po domu i szczebiocze jak skowronek! O jakich ty zmartwieniach mówisz?

– Bo ja, ciociu, nie lubię Stalina... – szepnęłam i spojrzałam na nią wzrokiem winowajcy.

– Ciiii! – ciotka rzuciła robótkę na kolana i zatkała uszy, rozglądając się wokół, jakby podsłuchiwała nas cała bezpieka. – Cicho, nie mów takich rzeczy!

– A widzi ciocia – powiedziałam z satysfakcją – ciocia też nie chce tego słuchać. A pan Wilhelm powiedział, że przez to mogą nas...

– Cicho, mówię! – szepnęła ciotka podskakując na wysłużonym fotelu, aż sprężyny jęknęły. – Ściany mają uszy!

– Pomyślałam sobie – ciągnęłam niezrażona – że ucieknę. Nie chcę narażać pani Pameli i pana Wilhelma, i w ogóle całej rodziny. Jeśli stąd odejdę, wszyscy będą mogli spać spokojnie.

– Ty się Boga nie boisz? – wysapała zgorszona. – Chcesz ją zabić? Pamela! – zawołała w głąb mieszkania – Pamela!

– Ciociu, proszę tak nie krzyczeć. – Pani Pamela w zawiązanej na głowie lekkiej chusteczce, z rękami ubielonymi mąką stanęła w drzwiach salonu i obrzuciła nas zniecierpliwionym spojrzeniem. – Pierogi lepiej – wyjaśniła jakby na

usprawiedliwienie, że nie pojawiła się natychmiast. – Stało się coś?

– Porozmawiaj z nią – wskazała na mnie ruchem głowy ciotka i osunęła się w fotelu jak po długim biegu. – Ja już jestem za stara na takie rzeczy.

Pani Pamela wyraźnie zaniepokojona skinęła na mnie i ruszyła do kuchni. Obrzuciłam ciotkę wzrokiem pełnym pretensji i z ociąganiem powlokłam się za nią.

– Juliano, pomóż mi przy pierogach. To doskonała okazja, żeby sobie pogawędzić – powiedziała podając mi szklankę do wycinania kólek z ciasta. – No więc czym oburzyłaś tak ciocię?

Nie miałam odwagi powtórzyć całej rozmowy.

– Myślę, że ciocia przejęła się najbardziej tym, że nie lubię Stalina – rzekłam oględnie.

Na szczęście zajęta byłam wycinaniem kólek i nie musiałam oceniać, jakie wrażenie wywarłam na pani Pameli. A wywarłam, ponieważ znieruchomiała z wałkiem w ręce.

– Juliano, proszę, żebyś nie rozmawiała o tym z ciocią – powiedziała po dłuższej chwili. – Ciocia ma słabe serce – dodała.

– Dobrze, nie będę – przyrzekłam, drżąc, że pani Pamela zechce wiedzieć więcej.

Na szczęście drzwi nagle stanęły otworem, a w nich kuzynki Wanda i Hala z naręczem jemioli.

– Spójrz, jemiola! – zawołała kuzynka Hala, uradowana jak mała dziewczynka. – Rosła wyjątkowo nisko.

– Wspaniale – powiedziała z przekąsem pani Pamela. – Zanim porozwieszacie to w każdym kącie, zabierzcie się za sprzątanie. Sama wszystkiemu nie dam rady.

– Nie to nie. Możemy ją wyrzucić – powiedziała wyniośle Wanda i obrażona wycofała się do holu. Hala natychmiast ruszyła za nią.

– No i dobrze – mruknęła pod nosem pani Pamela. – Wyrzucicie, zupełnie mnie to nie obchodzi.

Westchnęłam na wspomnienie matki zbierającej i suszącej przez całą zimę mocne listki jemioli.

– Juliano, nie wzdychaj tak nad ich losem. Całymi dniami nic nie robią, tylko spacerują. A dom na mojej głowie. Przecież ciotka też mi nie pomaga. Na pewno Wilhelm nie zaprosiłby ich, gdyby nie bał się zasiedlenia naszego domu przez obcych lokatorów.

– Ja nie nad nimi wzdycham – szepnęłam spłoszona. – Moja mamusia zbierała jemiolę. Robiła z niej napar dla Ivana, kiedy się denerwował. Mówiła: „Wypij to, bo znowu ci skoczy ciśnienie”.

– Jemiola pomaga na ciśnienie? – zainteresowała się pani Pamela. – Wiesz

co? Idź i powiedz im, żeby nie wyrzucały. Potem opowiesz mi o swojej mamusi i o Ivanie, dobrze?

Dzień wigilijny był piękny. Za oknem sypał śnieg, a ja wyobrażałam, sobie, że to białe anioły strząsają drobne piórka ze skrzydeł. Kuzynka Wanda przystroiła salon świerkowymi gałązkami, podczas kiedy Hala mocowała pęk jemioly nad samymi drzwiami. W kącie stała ogromna choinka w bogatej szacie z łańcuchów i błyskotek. Cały dom pachniał lasem, przywodząc mi na myśl szczęśliwe lata spędzone w małej leśnej chacie. Pani Pamela dwoiła się i troiła, by na stole niczego nie zabrakło. Nawet ciotka podniosła się ze swojego fotela, żeby ocenić, jak prezentuje się nowa serweta, którą pieczołowicie dziergała szydełkiem przez całe lato. Tylko pana Wilhelma wciąż nie było.

– Kto to widział pracować w Wigilię! – utyskiwały kuzynki i co chwilę sprawdzały przez okno, czy nie podjechał przypadkiem czarny wolseley.

– Przecież mój mąż piastuje bardzo odpowiedzialne stanowisko. Nic dziwnego, że musi być w biurze – oświadczyła pani Pamela i z godnością udała się do garderoby. Wyszła stamtąd po dobrej godzinie, odświeżona, w nowej sukni i koralach z fałszywych pereł. Wyglądała bardzo elegancko, choć odsłonięta szyja zdradzała, że jej właścicielka nie jest już pierwszej młodości. Mnie wystroiła w białą bluzkę z angielskiej koronki i czarną plisowaną spódniczkę, a włosy, zawsze niesforne, związała w koński ogon. Całość przypiętowała dużą białą kokardą.

– No! – skwitowała swoje dzieło odsuwając mnie nieco od siebie i taksując uważnie wzrokiem. – Jesteś prześliczną małą kobietką! A teraz wyjrzyj przez okno, czy ukazała się już pierwsza gwiazdka.

Śnieg wciąż padał i nawet najjaśniejsza gwiazdka nie miała szansy przebić się przez obrzmiałe chmury. Podziwiałam fruujące płatki na tle bladej latarni i puchate czapy na słupkach parkanu. Wtem przed dom zajechał samochód, z którego wysiadł pan Wilhelm w eleganckim palcie i szarym kapeluszu. Z tylnego siedzenia wyjął jakieś pakunki. W głębi mieszkania rozszczękały się psy. Zdziwiłam się, bo zawsze reagowały radosnym skomleniem pod drzwiami, a tym razem zachowywały się tak, jakby pojawił się ktoś obcy. Nagle z ciemności wynurzyło się trzech mężczyzn. Pan Wilhelm nie zdążył się obejrzeć, gdy dwóch z nich chwyciło go pod ramiona tak mocno, że paczki wypadły z jego rąk i rozsypały się pod nogami. Trzeci mężczyzna coś do niego mówił, machając świstkiem papieru. Po chwili zatrzymał się tuż przy nich jeszcze jeden samochód. Mężczyźni otworzyli tylne drzwi i wepchnęli pana Wilhelma do środka. Jeden z nich wsiadł za nim, drugi zaś obszedł samochód dookoła i usiadł z drugiej strony. Kiedy ten trzeci zajął miejsce z przodu, zaczęłam krzyczeć.

– Pan Wilhelm! Ratunku! Zabierają go!

Pani Pamela natychmiast wybiegła na ganek i zanim samochód ruszył,

znalazła się przed jego maską, rozpaczliwie rozkładając ramiona. Przeraziłam się, że za chwilę znajdzie się pod kołami. Nic takiego jednak się nie stało. Ten z przodu wysiadł i stukając palcem w swój papier, wyjaśniał coś spokojnie. Potem wrócił do auta i zatrzasnął drzwiczki. Pani Pamela odsunęła się automatycznie i patrzyła, jak samochód nieśpiesznie znika za zakrętem. Na jej włosach i sukni osiadały białe płatki, coraz więcej i więcej, do momentu, kiedy kuzynka Wanda zarzuciła jej płaszcz na ramiona i zmusiła do powrotu do domu.

– Powiedzieli, że mój mąż jest imperialistycznym szpiegiem, wrogiem narodu – oznajmiła pani Pamela mocnym głosem i oczy pociemniały jej z gniewu.  
– Wyrwę go stamtąd. Nawet za cenę własnego życia! – dodała, a jej twarz nie różniła się od białego opłatka leżącego na wigilijnym stole.

W czwartkowe popołudnie, kilka dni po Nowym Roku, ktoś zapukał do drzwi. Pani Pamela wyszła właśnie na poszukiwanie męża, ciotka drzemała w swoim fotelu, a kuzynki jak zwykle wędrowały po sobie tylko znanych ścieżkach. Przerwałam odrabianie lekcji i zbiegłam na dół, by otworzyć drzwi.

– Dors? Juliana Dors? – zapytała kobieta w długim szarym płaszczu i zielonym berecie.

Skinęłam twierdząco głową. Pochyliła się nade mną i przyjrzała mi się uważnie znad śmiesznych rogowych okularów.

– Chcę porozmawiać z twoją opiekunką – wyjęła z torebki notes i przerzuciła kilka kartek – Pamelą Gryffin – dokończyła. Z jej ust zionęło czosnkiem.

– Pani Pameli nie ma w domu – odparłam zgodnie z prawdą.

– A dokąd poszła? – zapytała i wyciągnęła nienaturalnie szyję, jakby chciała zlustrować wnętrze domu.

– Nie wiem – skłamałam. – Kiedy wróciłam ze szkoły, już jej nie było.

Na twarzy nieznamym odmalował się jadowy uśmiech.

– Ubieraj się Dors. Pójdiesz ze mną – syknęła.

– Nigdzie z panią nie pójdę – sprzeciwiłam się – odrabiam lekcje, poza tym pani Pamela...

– Nikt cię nie pyta o zdanie – przerwała mi ostro – a twoja opiekunka właśnie przestała nią być. Zbieraj się.

– Nigdzie nie pójdę! – powtórzyłam. – Poza tym nie znam pani.

– Jestem kuratorką. Mam cię stąd zabrać do sierocińca. Chodź, pomogę ci się spakować – powiedziała przymilnie, żeby złagodzić mój opór.

– Nie! – krzyknęłam i tupnęłam nogą, co ostatnio zdarzyło mi się bardzo dawno temu, chyba jeszcze w leśnej chacie. – Niech pani stąd idzie!

– Coś podobnego! – zawołała piskliwym głosem i wtargnęła do środka. – Zbieraj się, mówię!

Wtedy gwizdnęłam na psy, drzemiące dotąd w salonie. Pojawiły się

błyskawicznie. Lili zaczęła ujadać, a Aster zawarczał groźnie.

– Jeszcze tu wróć! Z milicją! – krzyknęła kuratorka i wycofała się pośpiesznie.

Zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie plecami. Ręce i nogi dygotały mi ze zdenerwowania. Wróciłam do swojego pokoju, ale zamiast usiąść z powrotem do biurka, wędrowałam od okna do okna nie mogąc doczekać się pani Pamelii. Wróciła o zmierzchu. Była blada i nie mniej roztrzęsiona ode mnie.

– Wilhelm umarł w więzieniu – powiedziała – myślę, że go zamęczyli.

Potem zamknęła się w jego gabinecie i do rana już z niego nie wyszła.

Następnego dnia zapukałam do gabinetu pana Wilhelma. Odpowiedziała mi cisza, więc nieśmiało uchylałam drzwi i zajrzałam do środka. Zobaczyłam panią Pamelę skuloną w jego fotelu. Miała podkrążone oczy. Nie spała.

– Chodź – powiedziała cicho i wyciągnęła rękę w moim kierunku – chodź do mnie. Tylko ty mi zostałeś.

Kiedy podeszłam, przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła mocno, kołysząc w ramionach. Potem zaczęła cichutko nucić jakąś melodię, której nie znałam.

– Tańczyliśmy to razem, wiesz? Byliśmy wtedy bardzo zakochani – szepnęła i powróciła do przerwanej melodii.

Potem nagle zamilkła, zeszywniała.

– Nie chcę tego wiedzieć – powiedziała stanowczo – nie chcę wiedzieć, że on umarł! Bawmy się, Juliano! Bawmy się w jego życie, wyjścia i powroty. Bawmy się w nasze czekanie, patrzenie przez okno na drogę. Niech wszystko będzie jak dotąd! Jego ręcznik w łazience, miejsce przy stole i buty na wycieraczkę. Nawet ten włos na oparciu fotela...

Zdjęła go delikatnie, położyła na dłoni i głaskała pieszczotliwie jednym palcem.

– Boże, Boże! – rozszlochała się nagle. – Dlaczego?! – Spojrzała na mnie i ścisnęła mocno za ramiona. – Mów do mnie mamó, Juliano! Mów mamó, proszę!

– Dobrze – powiedziałam.

– Dobrze, mamó – poprawiła mnie i patrzyła wyczekująco.

– Dobrze... mamó – powtórzyłam.

– Nie idź dzisiaj do szkoły, bądź ze mną, zostań! – powiedziała szybko.

– Dobrze.

– Dobrze, mamó – poprawiła mnie znowu.

– Dobrze, mamó – szepnęłam.

Ktoś załomotał do drzwi. Usłyszałyśmy szybkie kroki którejś z kuzynek i czyjeś głosy.

– Pameló! – zawołała po chwili Wanda. – Pameló, ktoś do ciebie! – Wyobraziłam sobie, jak stoi u podnóża schodów z zadartą do góry głową i próbuje wywołać Pamelę z sypialni, gdzie spodziewała się ją zastać. Nikt z domowników

prócz mnie nie wiedział jeszcze o śmierci Wilhelma.

– Już idę – odpowiedziała słabym głosem Pamela i delikatnie odsunęła mnie od siebie. – Zaczekaj tu Juliano, zaraz wrócę.

Nie było jej prawie pół godziny. Kiedy wróciła, jej oczy były czerwone od łez.

– Maleńka – powiedziała – moja maleńka, przyszli po ciebie...

Uczepiłam się jej spódnicy i zaczęłam mówić szybko, błagalnie:

– Nie, proszę! Nie oddawaj mnie! Nie chcę tam iść. Nienawidzę Suchoty i sierocińca. Proszę! Będę do ciebie mówiła tak, jak chcesz: mamó, mamusiu, tylko mnie nie oddawaj!

Pani Pamela ukryła twarz w dłoniach.

– Więc co mam zrobić? – zawołała z rozpaczą. – Jak mam cię uchronić? Co robić?!

W jej słowach było tyle bólu, że mój własny wydał mi się ledwo namiastką tego, co czuła ona.

– Nie, nie płacz! Nie płacz, proszę! Poradzimy sobie, zobaczysz – pocieszałam. – Ucieknę! Pójdę z nimi, a potem ucieknę do ciebie, nie płacz! Mamó...

Gładziłam ją po włosach trzęsącymi się rękami, odrywałam jej dłonie od twarzy, próbując zajrzeć w zapłakane oczy. Przytuliła mnie tak mocno, że aż zabrakło mi tchu.

– Dobrze, tylko wróć do mnie – powiedziała. – Wróć tu, uciekniemy razem. Daleko, jak najdalej stąd!

Wypuściła mnie i zaczęła chaotycznie pakować torbę, którą miałam zabrać z sobą.

– Dam ci te ciepłe sweterki, zimno teraz, noś je, żebyś się nie przeziębila. Mój Boże, urwał się guzik, wczoraj miałam go przyszyć, ale Wilhelm... Weź te ciepłe bambosze, tam pewnie ciągnie od podłogi. I tę sukienkę, tak ci w niej ładnie, wyglądasz jak księżniczka. Kokardy do włosów... A kto cię będzie czesał? Boże, dlaczego mi to robisz? Wszystko odbierasz, wszystko, co kocham... Może poduszkę ci dać, Juliano? Tam pewnie twarde...

– Nie trzeba. Przecież niedługo wrócę, mamó – powiedziałam martwym głosem, patrząc na pękata torbę, którą trzymała w ręku.

– Tak, przecież wrócisz, Juliano. Wrócisz...

Ucałowała mnie, wzięła za rękę i sprowadziła po schodach. Na dole stała kobieta w zielonym berecie i dwóch milicjantów. Byli zniecierpliwieni długim oczekiwaniem i pomstowaniem ciotki, która wygrażała im pięścią i straszyla piekłem. Kuzynki Wanda i Hala wyglądały przestraszone z salonu. Pani Pamela uściskała mnie raz jeszcze i puściła dopiero wtedy, gdy jeden z milicjantów powiedział służbowym tonem:



– Już wystarczy, idziemy.

Samochód stał na podjeździe. Milicjant pomógł mi zająć w nim miejsce. Staralam się nie patrzeć w okno, żeby nie widzieć zrozpaczonej twarzy pani Pameli. Kiedy odjechalśmy spory kawałek, zauważyłam, że nie mam torby, którą mi spakowała.

– Zatrzymajcie się – krzyknęłam – nie wzięłam swojego bagażu!

– Nie trzeba – rzuciła przez ramię kuratorka siedząca z przodu – nie będzie ci niczego brakowało.

Jechaliśmy w zupełnej ciszy, nie licząc sapania milicjanta siedzącego obok mnie. Po drodze rozpoznałam skrzyżowanie, za którym dwie ulice dalej znajdował się dom Izabeli. Przed nami nagle pojawił się kondukt żałobny, który wysunął się z bocznej uliczki. Powoli sunęliśmy za nim.

– Panowie, zróbcie coś z tym! – oburzyła się kuratorka. – Nie będziemy przecież wlec się za jakimś nieboszczykiem!

Milicjant, który siedział za kierownicą, zatrzymał samochód, wysiadł i stojąc na chodniku bezradnie obserwował przebieg pogrzebu. Po chwili wysiadł drugi i podążył za nim. Kuratorka wynurzyła głowę z okna samochodu i przyglądała się żałobnikom. Uznałam to za znakomity moment. Otworzyłam tylne drzwiczki i biegnąc ile sił w nogach, wtopiłam się w tłum. Potem przedostałam się na drugą stronę ulicy i pobiegłam prosto do domu Izabeli. Schroniłam się w bramie zniszczonego domu, który tak dobrze znałam, i dysząc ciężko wdrapałam się na samą górę. Nacisnęłam klamkę z nadzieją, że drzwi gościnnie staną przede mną otworem. Niestety, zamknięte były na klucz. Jakież było moje zdziwienie, gdy po chwili z głębi mieszkania usłyszałam kroki.

– Kto tam? – dobiegł mnie przytłumiony męski głos.

Milczałam zaskoczona i przerażona zarazem.

– Jest tam kto? – powtórzył głos i ktoś zaczął manipulować przy zamku.

Zanim zdążyłam uciec, drzwi otworzyły się, a w półmroku ukazała się przygarbiona postać starszego mężczyzny.

– Przepraszam – bąknęłam – tu mieszkała moja ciocia...

– Wczoraj ciocia, dzisiaj ja, a jutro królowa angielska. Takie czasy! – huknął i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Wyszłam z budynku i zatrzymałam się przed bramą. Chciałam wrócić do pani Pameli, ale zdawałam sobie sprawę, że kuratorka przede wszystkim u niej będzie mnie szukać. Dom może być obserwowany nawet w nocy. Ruszyłam ostrożnie przed siebie, rozglądając się wokół jak zaszczute zwierzę. Nie miałam przy sobie zupełnie nic. Nawet pierścionek po prababce, którego strzegłam jak oka w głowie, pozostał u pani Pameli. Zawędrowałam aż do Rynku. Mimo zwykłego dnia pracy i prószącego śniegu, kręciło się tu sporo osób. Nagle zobaczyłam Franka. Stał zziębnięty w podszytej wiatrem kapocie i zaczepiał ludzi pokazując im

coś, co wyciągał z kieszeni. Ludzie zatrzymywali się, spoglądali, kręcili głowami i mijali go obojętnie. Bez wahania podeszłam do niego. Przez chwilę patrzył ze zmarszczonym czołem, jakby mnie nie poznawał, potem uśmiechnął się niepewnie.

– Julka...

– Franek, jak dobrze, że cię spotkałam. Nie mam gdzie mieszkać. I... I milicja mnie szuka.

– Coś tam zmalowała? – zdziwił się.

– Nic. Chcą mnie zabrać do sierocińca, a ja nie chcę.

– Wiadomo! Zaczekaj chwilę... Panie szanowny, zegareczek jak nowy. Tanio sprzedam.

Mijający nas jegomość obruszył się tylko i poszedł dalej.

– Sprzedajesz zegarek ojca? – zainteresowałam się.

– Stary znów pije, a matka już nie pracuje na zmywaku. Przyszła nowa szefowa i swoich wzięła. Wiesz, jak to jest. Kto przy korycie, ten pan.

– A twoja praca?

– Ja na budowie robiłem. W zimie nie ma tam nic do roboty. Może na wiosnę majster mnie weźmie.

– A...

– Pieniądze, które matce zostawiłaś, już się skończyły. Musieliśmy zapłacić zaległy czynsz. No i żyć z czegoś trzeba.

Zrozumiałam, że nie znajdę schronienia u Danuśki i jej rodziny. Byłabym tylko ciężarem. Dodatkową gębą do żywienia.

– Julka, wiesz co? Czekaj... Paniusiu, zegareczek dla małżonka, prawie nie używany!

– A za ile? – zapytała kobieta w wełnianej chustce na głowie.

– Dogadamy się – powiedział z uśmiechem Franek, ale oczy zdradzały, jak bardzo zależy mu na sprzedaży.

– Dogadamy się, dogadamy – mruknęła kobieta – pewnie żeś go ukradł. – Machnęła ręką i poszła dalej.

– Cholera – zaklął Franek i schował zegarek do kieszeni. – Chodź ze mną, gdzieś cię zaprowadzę – złapał mnie za rękaw i pociągnął za sobą.

– Dokąd idziemy? – pytałam biegnąc truchtem za nim.

– Zobaczysz!

Zatrzymaliśmy się w zaułku jakiejś ulicy, gdzie za zrujnowaną kamienicą zobaczyłam skleconą z desek szopę przykrytą papą. Do tej właśnie szopy prowadził mnie Franek. W środku na starym sienniku siedzieli trzej chłopcy i grali w karty. Wyglądali na czternaście lub piętnaście lat.

– Ruszyć tyłki, kobieta weszła! – ryknął Franek od wejścia i wypchnął mnie przed siebie.

Chłopcy przerwali grę i zawiesili na mnie pytające spojrzenia.

– Co się tak gapicie? Baby nie widzieliście? To Julka. Będzie z wami mieszkać.

– Zwariowałaś? Po coś ją przyprowadził? To nie przedszkole – odezwał się jeden z nich.

– Zamknij się, Wiosło – fuknął na niego Franek. – Nie pamiętasz już, kto znalazł szopę?

– No ty. I co z tego? Nie będę tego niańczył! – tu spojrzał na mnie znacząco.

– Będiesz – skwitował Franek. – Póki co ja tu jestem szefem. Walek, daj jej kawałek chleba. Jesteś głodna? – zwrócił się do mnie.

Pokiwałam głową, przypominając sobie, że nie jadłam dziś śniadania.

– Daj jej chleb, Walek. A ty Rudy posprzątaj trochę. Siedzicie tu jak w chlewie.

– Księżę się odezwał. W domu masz pewnie jak w pałacu! – buntował się Rudy.

– Nie twoja sprawa. Zostawiam wam Julkę. I lepiej, żeby jej włos nie spadł z głowy, rozumiecie?

Franek klepnął mnie w ramię, omiółł wzrokiem mieszkańców szopy i wyszedł, zostawiając mnie na pastwę trzech naburmuszonych chłopaków.

– Coś ty za jedna? – zapytał Wiosło i splunął pod nogi.

Pomyślałam, że zacznę od najbliższego im tematu.

– Ukrywam się. Milicja mnie szuka – szepnęłam konspiracyjnie i rozejrzałam się trwożliwie dla wzmocnienia efektu.

– Fiuuuu! – gwizdnął Walek i podał mi kawałek chleba. – Co ukradłaś?

Nie przyszło mi nic do głowy, więc popatrzyłam wymownie na wszystkich trzech i na wszelki wypadek nie odezwałam się.

– Dobra, nie gadaj. Czasem lepiej nie wiedzieć – powiedział Rudy i pozbierał z siennika walające się między ubraniami resztki jedzenia. Wiosło od niechcienia podniósł rozwleczonego sweter, a pozostałe części garderoby zepchnął nogą w róg siennika.

– Siadaj – mruknął.

Zdjęłam kożuszek, szalik i puchatą czapeczkę, które z taką starannością wybierała dla mnie pani Pamela.

– Powieś to na gwoździu – poradził mi Walek i przyjrzał mi się uważnie. – Nie wyglądasz na bezdomną – stwierdził.

– Nie mam domu. Nie mam nikogo – powiedziałam i moje zapewnienie musiało im wystarczyć.

Pani Pamela uczyła mnie dobrych manier. Tutaj nauczyłam się kłąć, pluć i kraść. Odwiedzający nas od czasu do czasu Franek po kilku tygodniach nie poznawał we mnie dawnej dobrze ułożonej Juliany. Byłam niedomyta i prawie

zawsze głodna. Spaliśmy wszyscy na jednym barłogu, przykrywając się, czym się dało. W szopie nie było ogrzewania i jedynie ten sposób chronił nas przed zamrożeniem. Czasem paliliśmy ognisko na środku klepiska. Było jednak tyle dymu, że musieliśmy otwierać drzwi na oścież, żeby się nie udusić. Przebywając w towarzystwie Wiosła, Walka i Rudego, skoncentrowana na każdym dniu, w którym należało napełnić żołądek, zapomniałam o Pameli, szkole, zatraciłam potrzebę domowego ciepła i miłości. Chciałam tylko przeżyć. Najważniejsze było nie dać się złapać, a to zależało tylko od nas.

Było lato, gdy wybraliśmy się na targ, żeby zdobyć coś do jedzenia. Chodziliśmy od straganu do straganu. Przekupki ostrożnie eksponowały swoje towary. Nie wszystko można było sprzedawać. Nie wszystkie też towary były legalne. Nieraz byliśmy świadkami rekwirowania towarów, które nie spodobały się władzom. Kiedyś udało nam się ukraść wiadro mięsa z gospodarskiej świni, którą chłop ze wsi przywiózł na sprzedaż. Uratowaliśmy zresztą tego chłopca przed oskarżeniem, że świnia pochodzi z nielegalnego uboju. Zaraz potem, jak Walek uciekł z wiadrem, pojawiły się służby specjalne, które kontrolowały cały targ. Chłop najpierw zbladł ze strachu, a potem poczerwieniał ze złości na widok pustego miejsca po wiadrze. Ostatecznie chyba jednak uznał, że lepsza strata niż więzienie, bo odetchnął z ulgą. Piekliśmy potem tę świnię nad ogniskiem za szopą, nadziewając mięso na patyki.

Tego dnia, jak zwykle odwracałam uwagę przekupek, a chłopcy ściągali, co się dało. Trochę owoców, marchewkę, cebulę i sałatę. Niestety, tym razem mieliśmy pecha. Kiedy upadłam przed stoiskiem z serem i jajkami, a gruba handlarka litościwie pochyliła się nade mną, chłopcy zanurzyli ręce w koszyku z jajkami.

– Ludzie! Złodzieje! – krzyknął jakiś mężczyzna stojący obok i złapał za koszulę Walka. Ktoś inny złapał Rudego. Wiosło zdążył czmychnąć i straciłam go z oczu. Podniosłam się powoli z ziemi, na wszelki wypadek nie przestając płakać.

– Ta mała też jest z nimi! To szajka! – krzyknął ten, który trzymał Walka, i chwycił mnie za rękę.

Wytrzeszczyłam oczy i pokręciłam przecząco głową.

– Znasz ją? – zapytał drugi, który złapał Rudego.

Rudy obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

– Na oczy jej nie widziałem – mruknął.

– Niech pan mnie puści! Szukam mojej mamy! – powiedziałam urywanym głosem, ocierając brudną ręką ostatnie łzy.

– Tak? Może poszukamy razem? – zaproponował mężczyzna i uśmiechnął się jadowniczo.

– Nie trzeba, już ją widzę! – krzyknęłam radośnie i szarpnęłam ręką. – Mamo! Mamo!

Na ten dźwięk obejrzały się co najmniej trzy kobiety. Podniosłam rękę i pomachałam wesoło. Zaskoczony mężczyzna zwolnił uścisk, więc wyrwałam się i podbiegłam do paniusi w jasnej sukience, która była najdalej. Wsunęłam umorusaną rękę w jej dłoń i zadarłam głowę mówiąc z zatroskaną miną:

– Przepraszam, zgubiłam się. Czy mogłaby pani zaprowadzić mnie do wyjścia? Pewnie tam na mnie czeka moja mama.

Kobieta skinęła głową i podprowadziła mnie do miejsca, skąd widać było bramę. To wystarczyło, by zmylić prześladowców. Spokojnie, nie wzbudzając podejrzeń opuściłam targ. Po kilku metrach zaczęły trząść mi się nogi. Dotarłam do Rynku i usiadłam na krawężniku. Próbowałam się uspokoić. Wtedy zainteresował się mną przechodzący właśnie milicjant.

– Co tu robisz? – zapytał i wyjął czarny notes.

– Nic. Siedzę – odparłam drżącym głosem.

– A gdzie mieszkasz?

Ponieważ wymownie milczałam, postukał długopisem w notes i zażądał:

– Podaj mi adres.

Z milicją wołałam nie zadzierać.

– Nie mam adresu.

– Więc jeszcze raz. Skąd jesteś i co robisz sama na ulicy?

– Jestem z daleka. Szukam mojego tatusia.

– Szukasz tatusia. A kiedy zgubiłaś tatusia?

– Dawno. Jak była wojna.

Milicjant zapisał coś w notesie i oświadczył:

– Idziemy. Wstawaj.

Podniosłam się posłusznie i ruszyłam z milicjantem do stojącego nieopodal milicyjnego wozu.

Zawieziono mnie do niewielkiego budynku z czerwonej cegły, który okazał się ochronką. Tam milicjant tłumaczył coś postawnej kobiecie, wskazując co chwilę na mnie. Kobieta kiwała głową ze zrozumieniem, a po wyjściu milicjanta wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do łazienki, gdzie kazała mi się porządnie wyszorować. Przyniesiono mi ręcznik, świeżą bieliznę i białą sukienkę w niebieskie kwiatki. Pod drzwiami czekała na mnie pani w białym fartuchu, która zaprowadziła mnie do stołówki. Dostałam gorącą zupę i jakieś kluski. Prawie wcale ze mną nie rozmawiała. Powiedziała tylko, że kiedy skończę jeść, zaprowadzi mnie do kierowniczkii. Potem wyszła. Skończyłam obiad i rozejrzałam się ciekawie. Prócz drzwi, którymi weszłam, dostrzegłam jeszcze jedno, prowadzące na taras. Były uchylone. Serce zabiło mi mocniej. Nie czekając dłużej, wyszłam na taras, pokonałam trzy schodki i znalazłam się w ogrodzie. Było tu sporo krzewów, za którymi natychmiast się schowałam. Chyłkiem przedostałam się pod ogrodzenie. Ponieważ nie było żadnej furtki, wspierałam się po siatce. Zdążyłam przełożyć nogę

na drugą stronę, gdy usłyszałam od strony budynku podniesione głosy. Przeskoczyłam płot i pobiegłam w ciemno przed siebie.

O zmierzchu dotarłam do naszej szopy. W środku nie było nikogo. Położyłam się na sienniku i przykryłam rozciągniętym swetrem. Dygotałam ze zdenerwowania. Było już zupełnie ciemno, gdy wrócił Wiosło. W ręku trzymał bochenek chleba.

– O, jesteś! – powiedział na mój widok. – Myślałem, że cię zabrali razem z Walkiem i Rudym.

– Gdzie oni są? – zapytałam szcękając zębami. Nie mogłam się uspokoić.

– Skąd mam wiedzieć? Przecież uciekłem. Chcesz chleba? – zapytał ułamując spory kawałek.

– Daj – odparłam wyciągając rękę.

– Słuchaj – zaczął siadając obok mnie – nie możemy tu zostać. Rudy i Walek mogą się wygadać, gdzie do tej pory mieszkali. To miejsce jest spalone.

– Dokąd mamy pójść? – zapytałam z pełną buzią.

– Nie wiem. Musimy się rozstać. Poszukaj sobie czegoś.

– Teraz? – zapytałam przerażona i zerknęłam na uchylone drzwi, za którymi była tylko ciemność.

– Nie bądź głupia. Jak będziesz łaźić po nocach, na pewno cię złapią. Wyjdziemy stąd rano. Teraz śpij.

Dokończyliśmy w milczeniu chleb i zakopaliśmy się w łachmanach służących za przykrycie. Kiedy się obudziłam, Wiosła już nie było. Wtedy pomyślałam o Pameli.



Pod domem pani Pameli czekałam do wieczora. Drzwi były zamknięte na głucho. Nawet psy nie szczekały.

Juliana przerwała opowieść. Jej oczy zamglone wspomnieniem ożywiły się nagle i zajaśniały radosnym blaskiem.

– Obiecałam, że wspomnę o moim powrocie do Krakowa. Wybrałam się tam jako dojrzała już kobieta. Miałam może czterdzieści lat, może mniej. Pragnęłam podziękować moim opiekunkom i łudziłam się, że jakimś cudem zastanę je przy życiu.

Długo błądziłam szukając domu Izabeli. Kiedy wreszcie trafiłam, tego domu już nie było. Został zburzony, a na jego miejscu stanął jakiś urzędowy budynek.

Izabeli nie szukałam. Nawet gdyby wtedy ocalała, odnalezienie jej było praktycznie niemożliwe. Nie znałam nawet jej nazwiska. Natomiast pani Pamela... Cóż... Dom, w którym mieszkała pozostał na swoim miejscu. Trudno tu mówić o dawnej świetności. Ogród zapuszczony, pochyły płot. Budynek straszyl łatanymi osypanego tynku. Czas zrobił swoje. Weszłam po schodach z bijącym sercem. Bałam się, że nie zastanę pani Pameli, a jednocześnie, że zastanę. W pamięci pozostała jako wciąż jeszcze młoda, elegancka i energiczna kobieta. Bałam się widoku, który pozostawił na niej czas, tak jak pozostawił na ścianach budynku. Nasłuchiwałam pod drzwiami dźwięków, które wskazywałyby na czyjąś obecność. Z wnętrza nie docierały jednak żadne odgłosy. Nacisnęłam dzwonek. Zabrział jazgotliwie, profanując powagę tego miejsca, jak perlisty śmiech na cmentarzu. Po chwili oczekiwania w drzwiach ukazał się mężczyzna w średnim wieku. Chyba oderwałam go od jakiejś pracy, bo wyglądał na rozkojarzonego.

Nie należał do rodziny Pameli, ale szczęśliwie znał miejsce, gdzie aktualnie przebywa. Otrzymałam adres domu opieki społecznej. Pojechałam tam natychmiast.

Pani Pamela drzemała na wąskim tapczaniku, przykryta wysłużonym, kraciastym kocem. Usiadłam na podsuniętym przez opiekunkę krześle i przyglądałam się twarzy, na której czas i przeżycia wyłobiły głębokie bruzdy. Być może mój uporczywy wzrok sprawił, że otworzyła oczy. Patrzyła na mnie zaskoczona. Jej wyraz twarzy z grymasem niepewnego uśmiechu nie wskazywał na to, że mnie poznaje. Zerknęła pytająco na opiekunkę, ale ta uśmiechnęła się tylko, poklepała mnie po ramieniu, jakby chciała dodać otuchy i wyszła dyskretnie

z pokoju. Pani Pamela z trudem usiadła i oparła się o poduszkę.

– Aniela wczoraj umarła – wskazała na puste łóżko i dodała przeprasząco – wzięłam jej poduszkę.

– Nic nie szkodzi – bąknęłam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

Patrzyła na mnie wyczekująco. Milczałam. Wyglądała tak krucho, że bałam się odezwać, żeby nie doznała zbyt silnych wrażeń.

– Jest pani opiekunką? – zapytała w końcu, żeby przerwać przedłużające się milczenie.

– Nie... Pani Pamelu... Mamo... Jestem Juliana – wyjąkałam i głos uwiązł mi w gardle.

– Boże mój... Boże... – pani Pamela patrzyła na mnie, jakbym była istotą nie z tego świata – Juliana? Dziecko moje... – wyciągnęła do mnie ramiona, w które wtuliłam się z poczuciem winy, że stało się to dopiero teraz. – Tyle razy o tobie myślałam: gdzie jesteś, co robisz, jak wyglądasz... Dobrze, że przyszedłaś, dobrze. Lżej będzie umierać, bo przecież... – mówiąc to sięgnęła do szuflady, skąd wyjęła zawiniątko z chusteczki do nosa, z którego wysupłała jakiś niewielki przedmiot. Zacisnęła go w pięści i powiedziała:

– To nie pozwalało mi umrzeć. Pilnowałam, jak największego skarbu i błagałam Boga, żebym mogła cię jeszcze raz spotkać. Choć na chwilę. To twoje, dziecko. – Otworzyła dłoń, na której spoczywał pierścionek po mojej prababce.

Resztę dnia spędziłam w pokoju, gdzie prócz ducha nieznaney mi Anieli, krążyły cienie Wilhelma, ciotki szydełkującej koronki oraz Wandy i Hali zbierających kaczeńce nad stawem.

Pożegnałyśmy się tak, jakbyśmy miały zobaczyć się nazajutrz.

Obie jednak wiedziałyśmy, że nie spotkamy się już na tym świecie.

Kiedy zaczęło się ściemniać, postanowiłam na noc wrócić do szopy. Było to mniej ryzykowne niż spacerowanie po pustych ulicach. Byłam przeraźliwie głodna. Przez cały dzień nie miałam w ustach ani kęsa. Ucieszyłam się, gdy w szopie zastałam Wiosło. Siedział na sienniku i chrupał zielone ogórki. Miał ich cały worek.

– Masz, czytaj! – rzucił we mnie gazetą i przysunął bliżej świeczkę w słoiku.

Zatopiłam zęby w soczystym ogórku i sięgnęłam po gazetę.

– Tutaj – Wiosło postukał palcem w artykuł na tytułowej stronie.

– „Jedenastoletnia dziewczynka została znaleziona na krakowskim Rynku. Była głodna i wycieńczona. Dowiedzieliśmy się, że wędruje z bardzo daleka w poszukiwaniu ojca. Nie chciała podać miejsca zamieszkania. Nie powiedziała też, gdzie przebywa jej matka lub ktokolwiek z rodziny. Przekazaliśmy ją w ręce kierowniczkę ochronki. Tam otrzymała ciepły posiłek i nową odzież. Niestety, gdy na chwilę dorośli pozostawili ją samą, zniknęła. Nikt nie wie, gdzie się teraz



znajduje. Dziecko jest poszukiwane, ponieważ nie posiada opiekunów ani środków do życia. Dziewczynka ma ciemne, długie włosy i ubrana jest w białą sukienkę w drobne niebieskie kwiatki. Na imię ma Juliana. Jeśli ktoś widział opisaną dziewczynkę, proszony jest o kontakt z najbliższym posterunkiem milicji” – przeczytałam i spojrzałam pytająco na Wiosło.

– Na twoim miejscu wyjechałbym stąd – powiedział z pełną buzią – gdziekolwiek. Najlepiej daleko.

Zdmuchnął świeczkę, umościł się na sienniku i po chwili usłyszałam jego miarowy oddech.

Było bardzo wcześnie, gdy zbudził mnie szarpaniem za ramię.

– Wstawaj. Odprowadzę cię na dworzec.

– Na dworzec? – zdziwiłam się. – Za co kupię bilet?

– Głupia. Pojedziesz na gapę. Trzeba tylko sprytnie unikać konduktora – poinstruował mnie i roześmiał się.

Godzinę później drżałam z zimna na prawie pustym peronie. Najbliższy pociąg odjeżdżał za kilkadziesiąt minut, więc oczekujących było niewielu.

– Trzymaj się, mała – powiedział Wiosło, klepnął mnie w ramię i odszedł.

Zostałam sama. Podróżni snuli się po peronie wlokąc opasłe walizki. Płatałam się między nimi modląc się w duchu, żeby nikt mnie nie zaczepił. W pociągu wcale nie czułam się lepiej. Świadomość, że jadę bez biletu, nie dawała mi spokoju. Przysiadłam się do jakiejś kobiety z gromadką dzieci. Co pewien czas zapadałam w krótką drzemkę, ale budziłam się na każdy głośniejszy dźwięk. Czwórka dzieci kobiety o rumianej twarzy dokazywała i ciągle się kłóciła. Najmłodsze wyglądało na dwa lata, najstarsza dziewczynka mogła mieć najwyżej pięć. Kobieta była zmęczona i zniecierpliwiona. Zrobiło mi się jej żal.

– Czy chcecie, żebyśmy opowiedziały wam bajkę? – odezwałam się słodkim głosem, jakim przemawia się do małych dzieci.

Maluchy natychmiast zamilkły i skupiły się wokół mnie, a rumiana kobieta spojrzała na mnie z wdzięcznością. W miarę mojego opowiadania najmłodszemu zaczęły kleić się oczy i już po chwili spał słodko w ramionach matki. Trójkę pozostałych zabawiałam grami, jakie pamiętałam jeszcze ze szkoły. Wtem drzwi przedziału otworzyły się i do środka wszedł konduktor ze służbowym uśmiechem.

– Proszę przygotować bilety do kontroli – zażądał.

Kobieta poszperała w wysłużonej torebce i podała mu kilka biletów. Konduktor omiół wzrokiem całą naszą gromadkę.

– Jednego biletu brakuje – stwierdził.

Zaczerwieniłam się po czubki włosów i skuliłam na drewnianej ławce.

– Niemożliwe – powiedziała mocnym głosem kobieta zerkając na mnie. – Niech pan przeliczy. Kupiłam dla wszystkich.

– Brakuje. Proszę sprawdzić w torebce, może się zawieruszył – poradził

konduktor, a uśmiech zamienił na grymas pełen niezadowolenia.

Kobieta przetrząsnęła torebkę i zwróciła się do konduktora z pretensją w głosie, jakby to on był winien braku biletu.

– Nie ma!

– Musi pani dokupić – powiedział i sięgnął po bloczek z druczkami.

– No to dokupię – oznajmiła i poczerwieniła jeszcze bardziej.

– Dziękuję – szepnęłam z wdzięcznością, kiedy konduktor wyszedł.

– Nie ma za co – odparła i przeliczyła pieniądze w portmonetce.

Jechaliśmy jeszcze dwie godziny, podczas których dzieci nie odstępowały mnie na krok. Na przedmieściach jakiegoś większego miasta kobieta zaczęła zbierać bagaże i poszturchiwać dzieci.

– Wsiadamy! Ircia, zakładaj buty! Antoś, obudź się! Weź ten pakunek, Jadzia, pomóż mi! Krzysiu, nie machaj drzwiami, przytrzymaj lepiej walizkę!

– Pomogę pani – zerwałam się z miejsca, widząc, jak szarpie się z okazałym tobołkiem.

– Oj, dobrze, kochana. Podaj mi jeszcze torebkę i zdejmij z półki paczkę. Za sznurek pociągnij, za sznurek!

Po chwili wszyscy przepychaliśmy się do wyjścia. Przez okno przeczytałam, że znajdujemy się w Toruniu.

– Antoś, nie oglądaj się, idź do przodu! Ircia, sznurówka ci się ciągnie! Skaranie boskie z tym drobiazgiem! Jadzia, masz swój tobołek? – słyszałam za plecami wyraźny głos kobiety.

Kiedy pociąg wypuł nas wreszcie na stacji, podałam jej paczkę w szarym papierze i jeszcze raz podziękowałam za wyratowanie mnie z opresji.

– Szkoda, że już idziesz. Przydałabyś mi się – westchnęła, a Ircia złapała mnie za rękę i przytuliła do niej policzek.

Stałam niezdecydowana, bo i tak nie wiedziałam, co z sobą począć w obcym mieście. Matka czwórki dzieci widocznie wyczytała to z mojej twarzy, bo odstawiła walizkę i odciągając mnie nieco na bok, zapytała:

– Do kogo tu przyjechałaś?

– Do nikogo – odparłam i wyzywająco popatrzyłam jej w oczy.

– Jeśli chcesz, najmę cię do pomocy. Ale nie za pieniądze, tylko za jedzenie i dach nad głową. Zgadzasz się? Odejdiesz, jak zmienisz zdanie – zastrzegła szybko.

Uznałam, że lepsze to niż tułanie się po okolicy.

– Zgadzam się – zdecydowałam.

– No to i dobrze – skwitowała. – Idziemy, mąż pewnie dawno czeka.

Przed dworcem stała furmanka zaprzęzona w dwa konie. Na położonej w poprzek desce z przodu wozu siedział ponury chłop i dłubał źdźbłem siana w zębach. Na widok żony poruszył się niespokojnie, ale nie zeskoczył z wozu,

żeby pomóc jej przy bagażach. Nie przywitał się też z dziećmi, które jedno po drugim gramoliły się na furmankę. Mnie obrzucił wzrokiem obojętnym i równie ponurym, jak cała jego postura.

– Józiek, dziewczynę najęłam do dzieciaków – uznała za stosowne wyjaśnić moją obecność jego żona.

– Nie moja rzecz – mruknął i zaciął konia.

Jechaliśmy w milczeniu. Nawet dzieci nie śmiały odezwać się przy gburowatym ojcu. Koła turkotały po brukowanych uliczkach, potem uspokoiły się na chwilę, by od czasu do czasu podskakiwać na wyboistej drodze poza miastem. Obserwowałam leśny krajobraz ciągnący się aż po horyzont po obu stronach drogi. Dalej rozciągały się pola i pojedyncze domy, które gęstniały w miarę zbliżania się do wsi.

– Prrrr! – warknął chłop i ściągnął lejce przed sporą chałupą krytą słomą. Do budynku przylegał niewysoki płotek, którego sztachety domagały się większej uwagi gospodarza. Zza ogrodzenia sterczały słoneczniki i rachityczna wiśnia.

– No, wysiadamy! – odezwała się kobieta i jako pierwsza wyskoczyła z wozu. – Pomóż dzieciakom, ja wezmę resztę – zwróciła się do mnie.

– Bronka, a kartofli nastaw, z maślanką zjemy, tylko szybko, bo do PGR-u muszę jeszcze iść, świnię karmić – powiedział Józiek i zaczął wyprzęgać konie.

Ruszyłam za dziećmi do chałupy rozglądając się ciekawie. W izbie, gdzie Bronka ustawiła bagaże, stało wielkie drewniane łóże przykryte kapą w czerwono-zielone pasy. Dalej dwa białe łóžeczka, przypuszczalnie najmłodszych dzieci. W rogu po przeciwnej stronie rozpierał się piec zbudowany z brunatnych kafli, przy którym stał mały zielony stolik i jedno krzesło.

– Zanieś to do drugiego pokoju – powiedziała Bronka wręczając mi walizkę i popchnęła mnie w kierunku białych drzwi. – Czekaj! Jak ty właściwie się nazywasz? – zapytała przytrzymując mnie za ramię.

– Juliana – odparłam – Juliana Dors.

– Dors... To jakieś cudzoziemskie nazwisko? U nas nie ma takich nazwisk. Ot, my nazywamy się zwyczajnie, Szewczyki. Józef i Bronisława.

– Bardzo mi miło – bąknęłam, byle coś powiedzieć.

– Umyj dzieciakom ręce. W kuchni jest woda. Łazienki tu nie ma.

Drugi pokój był większy. Pod ścianą stały dwa łóżka i wielka dębowa szafa. Pod drugą ścianą był tapczan, a na jego środku panoszyła się lalka z wytrzeszczonymi szklanymi oczami. Spod lalki wystawała biała koronkowa serwetka. Przypuszczalnie tapczan ten używany był jedynie podczas wizyty gości.

– Dokąd prowadzą te drzwi? – zapytałam kręcąc się koło mnie Jadzię i wskazałam na kolejne białe drzwi wychodzące z tego pokoju.

– Chodź, pokażę ci – powiedziała i poszła przodem.

Weszliśmy do małej sieni z klapą w podłodze, pod którą zapewne znajdowała się piwnica. Po prawej stronie sieni była komórka z małym okienkiem, chyba mało używana, bo nie było tu żadnych sprzętów. Za drzwiami na wprost znajdował się pokój z dużym okrągłym stołem na środku i kilkunastoma krzesłami. Pod ścianami ustawiono dwa ogromne drewniane kufry. Okna tego pokoju wychodziły na sad.

– Juliana! Juliana! Gdzie się podziewasz? Dzieci miałaś myć! – usłyszałam zniecierpliwiony głos mojej gospodyni.

– Idę już, idę! – odkrzyknęłam i zwróciłam się do Jadzi: – Zaprowadź mnie do kuchni.

Pozbierałam gromadkę i umyłam im ręce nad blaszaną miednicą. Potem zasiedliśmy wszyscy do stołu. Dzieci szczebiotały, matka je napominała, a ojciec tylko łypał od czasu do czasu okiem i wcale się nie odzywał. Po obiedzie dzieci pobiegły na podwórko przywitać się z psem, Bronka zaś skinęła na mnie i zaprowadziła do pokoju z upiorną lalką.

– Chyba tu cię położę – powiedziała niezdecydowanie, patrząc z żalem na tapczan używany od święta.

– Nie, nie trzeba! – powiedziałam szybko. – Mogę zająć komórkę. Stoi pusta, Jadzia mi pokazywała.

– W komórce chcesz spać? Trzeba by tam jakieś łóżko wstawić. I pajęczyny ogarnąć...

– Ogarnę. Lepiej tam niż na tym tapczanie, bo jak goście przyjadą, to co? – szczebiotałam i błagałam w duchu wszystkich świętych oraz samą Bronkę, żeby się zgodziła.

– No dobrze... jak stary z PGR-u wróci, to łóżko ze strychu ściągnie.

Józiek, aczkolwiek niechętnie, przyniósł składane łóżko, a nawet komórkę na rzeczy, których wcale nie miałam. Byłam szczęśliwa, że mam własny kąpiel, chociaż nie dorównywał on przytulnym pokoikom, które przygotowała dla mnie Pamela czy Izabela.

Pomagałam, jak mogłam, swojej gospodyni, choć ona i tak pohukiwała na mnie i okazywała niezadowolenie. Obowiązków przybywało mi każdego dnia. Prócz niańczenia dzieci szorowałam drewniane podłogi, zmywałam garnki i talerze, a nawet pasalam gęsi. Mimo to dobrze czułam się na wsi. W wolnych chwilach umykałam do pobliskiego lasu, który przypominał mi najwcześniejsze dzieciństwo, ukochaną matkę i Ivana. Kłopoty zaczęły się na początku września, kiedy przyszedł sołtys i zaczął Bronkę przebierającą groch przed chałupą. Całą rozmowę słyszałam przez otwarte na oścież kuchenne okno.

– Szewczykowa – zagał – szkoła się zaczęła, a ty dzieciaka do niej nie posłałaś i karę będziesz płacić.

– Jakiego dzieciaka? – zdumiała się. – Moje dzieci nie dorosły do szkoły.

Najstarsza ma pięć lat dopiero.

– Twoje może i nie – odparł flegmatycznie – ale ta, co ją ze świata przywiozłaś i się nią wysługujesz, powinna się kształcić. Wzięłaś dzieciaka, to i odpowiedzialność za niego musisz wziąć.

– Co też sołtys gada! Najęłam dziewczkę do pomocy i ani myślę ją kształcić! Na chleb musi zarobić!

– Nie te czasy, Szewczykowa, nie te czasy. Otóż uświadamiam cię o powszechności, bezpłatności, publiczności, jednolitości, a nade wszystko konieczności, Szewczykowa, konieczności i obowiązku kształcenia w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. I twoim, Szewczykowa, obowiązkiem jest posłanie nieletniej osoby do szkoły powszechnej, by wzrastała w duchu marksistowsko-leninowskim na prawą, socjalistyczno-internacjonalistyczną obywatelkę i patriotkę miłującą nasz kraj i Związek Radziecki! – wyrecytował.

– Czyś ty się, sołtys, szaleju najadł? W głowie ci się całkiem poprzewracało! Ty mi tu o Leninie nie zaczynaj, bo ja więcej z tej poplątanej grochownicy rozumiem niż z twojego gadania!

– No, uważaj, Szewczykowa, uważaj! Ja cię tylko ostrzegam, a jak dzieciaka nie pošlesz do szkoły, to będą tacy, co ciebie i Józka do paki posadzą! I nawet to, że on też Józiek, jak tamten, nie pomoże, a twoje własne dzieci na zmarnowanie pójdą!

– Dobrze, już dobrze! Tylko kto mi za jej chleb zapłaci, jak ona zamiast pracować tych waszych stalinowskich herezji będzie wysłuchiwać?

– Cicho! Jak ty się nie boisz, Szewczykowa, takich rzeczy mówić?

– Bo ja się tylko Boga boję, ot co! A Stalin to może mnie w dupę pocałować! Gdyby nie on, nikt ziemi by nam nie zabrał i tych małpich kołchozów nie urządził!

Sołtys zatkał uszy i rozejrzał się trwożliwie. Potem pogroził Bronce palcem i umknął, jakby go ktoś gonił.

I oto rozpoczęłam edukację w piątej klasie wiejskiej szkoły powszechnej.

– No, jesteś nareszcie! – witała mnie każdego dnia Bronka. – Antek chyba ma coś w majtkach, bo śmierdzi! A Ircia rajtuzy całkiem porwała. Trzeba zacerować. Krzyś mleko wylał, to go przebierz! Nastaw wody na przepierkę. I Jadzia dziś marudna, może chora... Idź gęsi do zagrody zagoń! Nie myśl, że chleb będziesz darmo jadła. Szkoły jej się zachciało!

Na zadania domowe miałam czas wieczorem, kiedy dzieci ułożyłam do snu. Mimo to uczyłam się dobrze i nauczyciele chwaliliby mnie, gdyby mieli do kogo. Niestety, nikt nie był zainteresowany moimi postępami w nauce. Późną jesienią dzieci częściej chorowały i niejednokrotnie musiałam opuszczać lekcje, żeby się nimi zająć. W grudniu pani od polskiego postanowiła przedstawić jasełka. Dostałam rolę Anioła, który zwiastował Maryi, a potem wiódł trzech pastuszków

do stajenki i wskazywał drogę mędrcom. W każdej wolnej chwili uczyłam się tekstu na pamięć. Martwiłam się tylko, że nikt nie przyjdzie mnie podziwiać, kiedy wystąpię w białej szacie i aureoli na głowie. Przedstawienie miało odbyć się w sobotni wieczór, ale kiedy zaczęłam szykować się do wyjścia, drogę zastąpiła mi spocona i czerwona na twarzy Bronka.

– A ty dokąd? – zapytała zaczepnym tonem.

– Dzisiaj jest przedstawienie. Mówiłam o tym parę dni temu i pani się zgodziła...

– Zgodziłam, nie zgodziłam. Przedstawienie to ty będziesz miała w chałupie! Trzeba kapustę szatkować! Dzieci głodne chodzą, kolację im daj! Nie po to cię wzięłam, żebyś przedstawienia pokazywała! Zdejmuj buty i do beczki, kapustę ugniatać!

– Nie mogę! Za piętnaście minut muszę być w szkole! – zawołałam z przerażeniem, spoglądając na duży ścienny zegar.

– Ani się waż! Roboty tyle, że nie wiem, w co ręce włożyć! Ściągaj buty, mówię!

– Nie! – krzyknęłam wyrывая się Bronce, która złapała mnie za rękę.

– Jak pójdziesz, to do domu mi więcej nie wracaj – powiedziała nad wyraz spokojnie. Wzrok miała straszny.

– Nie wrócę – odpowiedziałam tym samym tonem – niech się pani nie obawia.

Wybiegłam w rozpiętym palcie i z gołą głową. Padał śnieg z deszczem i wiał silny wiatr. Do szkoły wpadłam w ostatniej chwili. Pani od polskiego była blada ze zdenerwowania.

– Dlaczego tak późno?! – zawołała – już myślałam, że nie przyjdiesz. Przebieraj się, szybko!

W ciągu dwóch minut przeistoczyłam się w anioła, uładziłam potargane włosy i pobiegłam na scenę zwiastować Maryi. Niewielka sala wypchana była po brzegi matkami i ojcami, babciami i dziadkami, ale zdarzały się też ciocie i wujkowie występujących dzieci. Tylko ja nie miałam nikogo, kto po wszystkim pogłaskałby mnie po głowie i powiedział: Brawo! Byłaś najlepszym aniołem na ziemi! Drzwi otworzyły się, gdy Maryja dosiadała Witka w roli osiołka. Na salę weszło dwóch panów i stanęło za ostatnimi krzesłami. Rozległ się szmer i widzowie zaczęli oglądać się do tyłu. Kierowniczką szkoły podniosła do góry dłoń i przedstawienie przerwano. Panowie przeszli przez środek i zajęli miejsce na pierwszym planie. Maryja zeszła z osiołka, wcisnęła Józefowi do rąk dzieciątko i uciekła ze sceny.

– Nie fatygowalibyśmy się, gdyby szkoła pokazała przygody Dziadka Mroza. Albo choćby bajkę o Śnieguliczce – powiedział grzmiącym głosem jeden z przybyszy. – Niestety, doniesiono nam, że pedagogzy kultywują tu zakłamane

gusła i wciągają w to uczniów. To niedopuszczalne! Zamieszani w to nauczyciele poniosą konsekwencje swoich nierozważnych decyzji. Proszę rozejść się do domów. Przedstawienia nie będzie!

Widzowie z hałasem odsuwali krzesła i nawołując dzieci, pośpiesznie opuszczali budynek szkolny. Po awanturze z gospodynią bałam się wrócić do domu. Chciałam opowiedzieć o wszystkim nauczycielce od polskiego, ale ta została wezwana do gabinetu kierowniczkii. Kiedy wszyscy wyszli, usiadłam w korytarzu szkolnym na anielskich skrzydłach i postanowiłam czekać. Nie wiedziałam na co, ale przecież musiało znaleźć się jakieś rozwiązanie. Czekałam długo. Z gabinetu kierowniczkii dobiegały strzępki podniesionych głosów i bałam się, że pani od polskiego zniknie tak, jak Elwira czy Izabela. Na dworze było już zupełnie ciemno, wzmógł się wiatr, który zaczął bezlitośnie targać niedomkniętymi drzwiami szkoły. Patrzyłam na nie i myślałam, że powinnam wstać i je zamknąć, brakowało mi jednak woli, żeby to zrobić. Nagle ktoś otworzył je zupełnie i ku mojemu przerażeniu ujrzałam Józka, który szedł zamasyście w moim kierunku. Skuliłam się ze strachu.

– Julka, do domu – wychrypiał – rozumu nie masz czy co? Całą wieś zbiegałam za tobą!

Podniosłam się, otuliłam szczelniej paltem i ruszyłam za Józkiem.

Gospodyni na mój widok nie odezwała się ani słowem. Umyłam się w misce za kotarką i powlokłam się do swojej komórki. Z braku ogrzewania było w niej przeraźliwie zimno. Szczękając zębami wbiłam się pod pierzynę i wsłuchiwałam w szaleństwa wiatru. Szyba w małym okienku drżała pod jego naporem. Bałam się, że wichura wepchnie ją do środka i pozbawi mnie tej jedynej ochrony przed zimnym powietrzem z zewnątrz. Deszcz ze śniegiem przylepiały się do szyby i wyglądały jak czyjeś twarze tłoczące się w ramie okna. Przewracałam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Rankiem ubierałam się przy akompaniamencie szczękających zębów. W kuchni wprawdzie było ciepło, ale atmosfera tu panowała chłodna. Bronka trzaskała garnkami, demonstrując swoją złość. Zaczęłam zastanawiać się nad opuszczeniem tego domu i poszukianiem lepszego miejsca dla siebie. Coraz częściej myślałam o Konstancinie, nieznanym dziadkach i Stasiu, który był moim wujkiem, choć tylko trzy lata ode mnie starszym. Coś jednak trzymało mnie tutaj. Może poczucie odpowiedzialności za dzieci, nad którymi sprawowałam opiekę? Przywiązałam się do nich i serdecznie współczułam im rodziców.

Nadeszło kolejne Boże Narodzenie. Józiek na tę okoliczność przyniósł słoninę, którą w prezencie rozdawali pracownikom PGR-u. Za oknem sypał śnieg, ja nakrywałam stół, a dzieci biegały wokół przystrojonej w papierowe ozdoby choinki. Śmiały się i piszczwały, aż Bronka kilkakrotnie upomniała mnie, że nie zajmuję się nimi, jak trzeba. Kiedy je zebrałam, by opowiedzieć bajkę,

oświadczyła, że jestem obibok i darmożjad. W rezultacie do nakrytego stołu zasiadła rodzina Szewczyków, ja natomiast ten wieczór spędziłam samotnie w swojej zimnej komórce. Otepiąłem ze smutku siedziałam z pierzyną na ramionach i patrząc w jeden punkt na ścianie przypominałam sobie wszystkie swoje Wigilie. Mimo trudnych przeżyć, które na całe życie legły cieniem na mojej duszy, tę uznałam za najgorszą z nich. Byłam samotna wśród ludzi. Czyż może spotkać człowieka coś gorszego? Punkt na ścianie zadrżał i zaczął pełznąć, rozplywać się, przybierać kształt ludzkiej postaci.

– Nie bój się – usłyszałam szept tuż nad uchem, a przed twarzą poczułam zimny powiew. Zaciśnęłam powieki i zaczęłam dygotać na całym ciele.

– Mama? Mamusia? – zapytałam półgłosem i otworzyłam oczy z nadzieją, że ją zobaczę. – Jesteś tu? Mamusiu, jesteś?

Nie usłyszałam jednak nic więcej, a punkt na ścianie wrócił do rzeczywistych rozmiarów. Zaraz potem rozległ się przeraźliwy krzyk z pokoju, w którym stał wigilijny stół. Zerwałam się z miejsca i strząsając z pleców pierzynę wypadłam z komórki. Krzyczała Bronka, trzymając za ramiona słaniającego się na nogach i sinego Antosia z wywróconymi oczami, który próbował złapać haust powietrza. Wyrażnie się dusił.

– Jezu! On umiera! Jezu, ratuj! – wydzierając się Bronka, trzęsąc histerycznie Antosiem i tupiąc w miejscu nogami. Pozostali członkowie rodziny przyglądali się temu z przerażeniem.

Złapałam Antosia i błyskawicznie przewróciłam go na podłogę twarzą do dołu. Następnie z całych sił uderzyłam go kilkakrotnie pięścią między łopatki. Antoś zacharczał, kaszlnął i ze świstem wciągnął powietrze. Uklęknęłam na podłodze, ułożyłam go sobie na kolanach i kołysząc się miarowo zaczęłam nucić urywanym głosem jego ulubioną piosenkę. Antoś otworzył oczy. Wprawdzie trząsał się cały, ale oddychał i zaczął nabierać kolorów. Po chwili uśmiechnął się do mnie i zaszczębiotał:

– Pobawisz się ze mną? – zapytał i wstał z podłogi.

Tam, gdzie przed chwilą spoczywała jego głowa, leżała mokra landrynka. Antoś przyniósł małą kolorową piłkę.

– Patrz! – zawołał.

Domyśliłam się, że dostał ją w prezencie pod choinkę.

– Boże! Boże miłosierny, Julka! – wyjąkał Józiek i rozejrzał się wokół siebie, jakby szukał świadków tego, co się stało.

Dzieci otoczyły mnie i zaczęły się śmiać i podskakiwać, dając wyraz swojej radości. Tylko Bronka zakryła twarz fartuchem i szlochając wybiegła z pokoju.

Wiosna ujawniała się nieśmiało drobną zielenią przydrożnej brzozy i delikatnością szafranów, by w końcu wybuchnąć pełną gamą pastelowych sadów i jaskrawych łąk. Zabierałam dzieci na dalekie wyprawy, z których znosiłam



pierwsze wiosenne zioła. W pobliskim liściastym zagajniku odkryłam całe pokłady leśnego czosnku, rosnącego w malowniczych kępach obsypanych pierzastymi kwiatami. Dzieci początkowo kręciły nosami na intensywny zapach, ale gdy zobaczyły, że zjadam go na surowo, poszły w moje ślady. Na obrzeżach lasu zbierałam fiołki i wiałam z nich wianki, które w magiczny sposób pomagały na ból głowy. Dawniej Ivan nauczył mnie jeść pierwiosnki, których młode liście i pędy wymieszane z sałatą stanowiły ulubioną potrawę Ukraińców. Zrywałam pokrzywę i namawiałam dzieci do spożywania jej młodych listków z kawałkiem chleba. Nawet Bronka zauważyła, że tej wiosny dzieci wyglądają zdrowo i mają więcej energii do psot i zabaw. W remizie strażackiej odkryłam punkt biblioteczny, gdzie wypożyczyłam album ziół i skrzętnie notowałam w swoim niebieskim zeszyce zalety darów natury.

Od pamiętnej Wigilii atmosfera w rodzinie Szewczyków uległa znacznej poprawie. Józiek patrzył na mnie przychylniejszym okiem, Bronka zaś, choć nigdy nie była wylewna, nie zapomniała uratowania Antosia od niechybnej śmierci. Spędziłam tu dwa lata, ucząc się w wiejskiej szkole i wspierając Bronkę w opiece nad dziećmi i gospodarstwie domowym. Kto wie, czy nie zostałam na dłużej, gdyby nie pewne zdarzenie.

Kwiecień następnego roku nie przyniósł tak długo oczekiwanego ciepła. To była jedna z tych nocy, gdy Józiek rozpałił ogień w piecu, a Bronka wywlokła z kufra dodatkowe koce. Wiatr jęcząc i zawodząc szukał miejsca w zacisznym kominie. Wszyscy już spali, tylko ja w swojej komorze śleczałam przy blasku małej nocnej lampki nad wypracowaniem. Pani od polskiego była bardzo wymagająca. Szukając odpowiedniego słowa zapatrzyłam się w czerń za oknem i zagryzłam końcówkę ołówka. Byłam zmęczona. Oczy zaczęła zasnuwać mgła i widziałam coraz mniej wyraźnie. Jednocześnie nozdrza zaczął drażnić zapach, którego w pierwszej chwili nie potrafiłam zidentyfikować. Nagle uświadomiłam sobie, że to dym, który szczelinami podstępnie przedostał się do komory i osacza mnie z każdej strony. Jeśli tutaj jest go tyle – pomyślałam – co dzieje się w pokojach, gdzie śpią dzieci? Otworzyłam drzwi i zderzyłam się z gryzącym czarnym potworem pełzającym po ścianach i podłodze. Zaczęłam krzyczeć i wyciągnąwszy przed siebie ręce, parłam po omacku do przodu. Drzwi, które otworzyłam, ukazały mi płomienie zachłannie pożerające wszystko, co napotkały po drodze. Podbiegłam do łóżka Krzysia i szarpiąc jego ramię usiłowałam postawić go na nogi. Na szczęście zareagował. Kiedy jednak zobaczył ogień, wpadł w histerię. Zaczął przeraźliwie krzyczeć i zapał się nogami, nie zamierzając zrobić ani kroku naprzód. Wypchnęłam go brutalnie do pokoju z okrągłym stołem, gdzie ogień jeszcze nie dotarł. Potem wróciłam po Jadzię. Łóżko, na którym spała, lizwały pierwsze niewielkie jęczyczki ognia. Zerwałam z niej koc i bijąc nim na oślep torowałam półprzytomnej dziewczynce drogę. Kiedy była w miarę bezpieczna,

nabrałam powietrza w płuca i wtargnęłam do pokoju, gdzie wraz z rodzicami spały młodsze dzieci. Tu ogień pełzał po drewnianej podłodze, lizał sprzęty. Palily się zasłony i firanki. Było tak gorąco, że nie mogłam przedostać się do łóżeczek dzieci. Nagle z huku płomieni wyłowiłam dźwięk, który przypominał płacz. Na oślep rzuciłam się w jego kierunku. Znalazłam Ircię skuloną w metalowym łóżeczku. Zostawiłam ją tam i macając gorące powietrze przed sobą dotarłam do półprzytomnego Antosia. Złapałam go na ręce, a Ircię ciągnęłam za sobą, choć bardzo się opierała. Przebijałam się przez kęsające nas płomienie. Kiedy dotarłam do pokoju z okrągłym stołem, ogień był już u jego progu. Wtedy usłyszałam wycie syreny strażackiej. Resztką sił wypchnęłam dzieci przez okno. Nie pamiętam, jak wyszłam przez nie sama, przez cały czas trzymając Antosia w ramionach. Nie pamiętam bólu od poparzeń ani paraliżującego mnie strachu. Nie pamiętam też, jak znalazłam się w białej, szpitalnej sali.

Wszyscy przeżyli. Józiek z Bronką obudzili się pierwsi. Zaczęli gasić pożar nosząc wiadrami wodę z kuchni. Kiedy zostali zupełnie odcięci przez płomienie, Józiek wybiegł przed chałupę i wszczął alarm. Poparzoną i histeryzującą Bronkę wyniósł na plecach. Zanim wrócił po dzieci, ogień opanował pół domu. Był pewien, że już po nich. Dostał, jak Bronka, ataku hysterii i sąsiedzi, którzy przybiegli na pomoc, nie mogli sobie z nim poradzić. Nikt nie miał wątpliwości, że dzieci spłonęły wraz z domem i całym dobytkiem. W ogrodzie, kilkanaście metrów od domu znalazł nas jeden ze strażaków. Najbardziej poparzony był Antoś, Ircia i ja. Krzys i Jadzia wyszli z tego niemal bez szwanku. Bronka i Józiek mieli powierzchowne poparzenia i wylizali się z nich najszybciej. Zostałam w szpitalu najdłużej, między innymi dlatego, że nie miałam dokąd wracać.

Moje plecy szpeciła spora blizna.

– Dobrze, że to nie na twarzy – pocieszał mnie młody doktor z czarną śmieszna czuprynką i krótkim wąsikiem. – Plecy pokażesz narzeczonemu, jak już będzie porządnie zakochany. Wtedy żadna blizna nie będzie mu przeszkadzać! – śmiał się.

Bronka z Józkim odwiedzili mnie kilkakrotnie i ponaglali do powrotu. Przyznano im barak na terenie PGR-u i potrzebowali rąk do pomocy. Uprosiłam lekarza, żeby mnie jeszcze nie wypisywał, mimo że byłam prawie zdrowa. Nie chciałam wracać do Szewczyków i być ich służącą do końca życia. Pielęgniarki i salowe stanęły w mojej obronie. Lubiły mnie, ponieważ sporo im pomagałam. Zamiatalam sale, myłam podłogi, roznosiłam jedzenie, a nawet opiekowałam się chorymi. Któregoś dnia pani ordynator stwierdziła, że nie mogę dłużej mieszkać w szpitalu. Byłam już zupełnie zdrowa, ale nie miałam gdzie się podziać. Wtedy Regina Dąbek, jedna z salowych, powiedziała:

– Jakby można było, to bym do swojego domu ją zabrała. Poszłabyś Julianko? – zwróciła się do mnie.

Spojrzałam pytająco na panią ordynator, ale ona tylko rozłożyła bezradnie ręce, jakby chciała powiedzieć, że nie będzie za mnie decydować. Zgodziłam się i jeszcze tego samego dnia przeniosłam się do nowej opiekunki.

Ciocia Regina – chciała, żebym tak właśnie się do niej zwracała – zajmowała trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze przedwojennej kamienicy. Była wdową po żołnierzu, który bohatersko zginął na wojnie. Miała też szesnastoletniego syna. Kazik na początku nosem kręcił i unikał spotkań ze mną. Raz słyszałam, jak mówił do matki:

– Po co ty ją wzięłaś? Tylko miejsce zajmuje.

– Tak nie można Kaziu. A twojego miejsca nie zajmuje – powiedziała stanowczo.

Harowała jak wół, żeby nam niczego nie zabrakło. Widząc to, starałam się pomóc jak najwięcej w domu. Sprzątałam, prałam, a nawet gotowałam, choć wcale mnie o to nie prosiła.

– Nie trzeba, Sikoreczko. Nie trzeba. Lepiej się ucz. Zostaniesz lekarką i nie będziesz musiała pracować tak ciężko, jak ja.

– A skąd ciocia wie, że zostanę lekarką? – przekomarzałam się, choć wiedziałam, że z pozycji salowej zawód lekarza stanowi największy autorytet.

– No jakże? Widziałam, jak zajmujesz się chorymi. Masz dar i powinnaś go wykorzystać.

Tuż przed wakacjami wybrała się do szkoły, żeby zapisać mnie na nowy rok szkolny. Wróciła nieco strapiona.

– Musisz pójść ze mną do szkoły. Nie chcą cię zapisać.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Mówią, że brakuje papierów. Chodź, trzeba to wyjaśnić.

Pani w sekretariacie spoglądała na mnie znad okularów i stukała długopisem w biurko.

– Świadectwa z poprzednich szkół, metrykę urodzenia... gdzie masz to wszystko?

– Świadectwa zostały w szkołach, w których się uczyłam. A metryki urodzenia nigdy nie miałam – odparłam.

– Jak to? A gdzie się urodziłaś?

– W lesie.

– W lesie? Jak to w lesie? Na mchu?

– Nie pamiętam – oświadczyłam z czającym się w kącikach ust uśmiechem.

– Nie kpij! – zdenerwowała się sekretarka i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Wybrała jakiś wewnętrzny numer.

– Panie kierowniku, mamy kłopot – powiedziała.

Po chwili do sekretariatu wkroczył bardzo poważny kierownik w czarnym garniturze, któremu sekretarka objaśniła, na czym ów kłopot polega.

Kierownik skinął na mnie i zaprowadził do swojego gabinetu.

– Usiądź, proszę – wskazał mi miejsce. – Czy uczęszczałaś do jakiejś szkoły? – zapytał i zaczął nabijać fajkę.

– Do czterech szkół, panie kierowniku – odparłam.

– Masz świadectwa?

– Nie mam.

– Dlaczego?

– Bo nie zdążyłam ich zabrać. Za każdym razem musiałam skończyć naukę wcześniej, niż kończył się rok szkolny. Zmieniali mi się opiekunowie i...

– Gdzie to było?

– W Krakowie.

– Pamiętasz nazwy tych szkół?

– Tylko ostatnią. A potem uczyłam się na wsi. Niedaleko Torunia.

– Podaj mi nazwy szkół. Napiszemy do nich i sprawa się wyjaśni. Masz jakieś inne dokumenty?

– Nie.

– A co się z nimi stało?

– Nic. Nigdy nie miałam żadnych dokumentów.

– Nic o sobie nie wiesz?

– Wiem.

– Powiedz, co wiesz.

Mówiłam, a on zapisywał wszystko w grubym notesie.

– Coś ci poradzę – powiedział, gdy zasób mojej wiedzy się wyczerpał. – Długie życie przed tobą, a dokumentów będą żądać wszędzie. W kolejnych szkołach, jeśli będziesz chciała kształcić się dalej, w każdym zakładzie pracy, gdzie będziesz się zatrudniać, przy zmianie stanu cywilnego i narodzinach dziecka. Aż się dziwię, że dotąd uszło ci to na sucho. Musisz wybrać się do urzędu, najlepiej z opiekunką, i powiedzieć, że podczas wojny twoje dokumenty zaginęły. Tak się zdarza. Wystawią ci nowe i po kłopotcie. A teraz wpisuję twoje nazwisko na listę uczniów szóstej klasy.

– Dziękuję panie kierowniku – powiedziałam z ulgą i opuściłam gabinet.

Do urzędu poszłyśmy natychmiast. W rubryce „miejsce urodzenia” napisano: „nie znane”.

Od pierwszego września zostałam uczennicą nowej szkoły. Było tu dużo klas i dużo nauczycieli. Od razu musiałam zapisać się do ZMP i wypowiadać się z tego, co dotąd robiłam dla kraju. Ponieważ nie zrobiłam nic, dostałam do przestudiowania życiorys Stalina z lat młodości. Zapamiętałam tylko tyle, że w dzieciństwie wołano nań Soso.

Już dawno zauważyłam, że ze zdrowiem cioci Reginy nie jest najlepiej. Pewnego dnia złapała za serce i osunęła się na krzesło ciężko dysząc.

– Niech ciocia się położy – poprosiłam. – Niech serduszko cioci odpocznie.  
– A skąd ty wiesz, Sikoreczko, że serce mam słabe? – zapytała zdumiona.  
– Widzę to, ciociu – odpowiedziałam prowadząc ją do łóżka. Przyniosłam  
ziółka i przykryłam ją wysłużonym kocem.

– Dziękuję Sikoreczko. Teraz już będę zdrowa – obiecywała.

Odtąd bacznie ją obserwowałam. Nawet Kazik ostatnio rzadziej wychodził z domu i częściej pytał, czy może w czymś pomóc. Ciocia patrzyła na nas z czułością.

Wydawałoby się, że Kazik przyzwyczał się do mojej obecności. Nie reagował nerwowo, jak na początku, nie wychodził z pokoju matki, kiedy ja do niego wchodziłam. Przeciwnie, często gapił się na mnie ukradkiem, gdy myślał, że tego nie widzę. Ciocia natomiast zaczęła prowokować sytuacje, w których musieliśmy robić coś razem, żebyśmy poczuli się jak rodzeństwo.

– Sikoreczko, idź z Kaziem po zakupy. Dałam mu długą listę, pomożesz mu, dobrze?

– Kaziu, pomóż Julianie rozwiesić pranie, spójrz, jak się męczy z prześcieradłem.

Chodziliśmy razem, pomagaliśmy sobie wzajemnie i coraz bardziej widziałam w nim brata.

Na początku marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku w szkole wybuchła bomba. Romek, który po nocach słuchał audycji nadawanych przez nowojorskie Radio Wolna Europa, mimo że były systematycznie i skutecznie zagłuszane, wyłowił sensacyjną informację.

– Słuchajcie – szepnął konspiracyjnie – podobno Stalin umiera. Miał udar mózgu!

– Niemożliwe – prychnął pogardliwie Jurek – on jest nieśmiertelny.

– Zobaczymy – powiedział wzruszywszy ramionami Romek i więcej do tego tematu nie wrócił. We mnie jednak obudziła się nadzieja, że tego gada, potwora w ludzkiej skórze, mającego na sumieniu Wilhelma, Izabelę, Elwirę i wiele jeszcze innych istnień ludzkich, nareszcie piekło pochłonie!

Widocznie do ludzi coś dotarło, bo przed kioskami z prasą ustawiały się długie kolejki i zewsząd rozbrzmiewał głos włączonych odbiorników. Społeczeństwo chciało wiedzieć, co się dzieje.

Rankiem szóstego marca gruchnęła wieść o śmierci Stalina. Wszystkich uczniów naszej szkoły zebrano w dużej auli i po odegraniu „Międzynarodówki” przytoczono zasługi Ojca Narodów dla naszego kraju. Potem kierownik ze służbowo boleściwą miną powiedział:

– Przestało bić serce wodza ludzkości. Całe postępowe społeczeństwo z najwyższym bólem przyjęło tragiczną wieść o zgonie największego człowieka wszech czasów. Uczcijmy ten smutny fakt minutą ciszy.

Nikt nie śmiał zakłócić chwili podniosłego nastroju, choć po twarzach wielu widać było, ile radości sprawiła im ta wiadomość. Kiedy upłynęła minuta obowiązkowego smutku, z tyłu rozległ się chichot. Kierownik zamaszystym krokiem podążył w tamtym kierunku i po chwili usłyszeliśmy jego gniewny głos:

– Powinniście zachować więcej powagi, bo to jest dzień żałoby!

W tym momencie rozległ się histeryczny szloch i pani Darska, młoda nauczycielka historii i działaczka ZMP, wybiegła z auli. Na popołudnie zapowiedziano wiec, w którym każdy uczeń obowiązkowo musiał wziąć udział.

Po powrocie do domu, przy talerzu zupy pomidorowej, opowiedziałam wszystko cioci Reginie. Zamyśliła się chwilę, po czym skwitowała:

– No i dobrze. Nie będzie nas więcej gnębił. Niech go piekło pochłonie.

Potem sięgnęła do szafki, nalała słuszną porcję czystej wódki i wypła jednym haustem.

Miasto pogrążyło się w żałobie. Wszędzie powiewały transparenty: „Nieśmiertelne imię Stalina zawsze będzie żyć w sercach narodu polskiego!” Na pierwszych stronach gazet krzyczały tytuły: „Odszedł ojciec naszego narodu”. Szkoły, szpitale, a nawet wystawy sklepowe demonstrowały portret Stalina udekorowany czerwienią i żałobnym kirem. Z radia sączyły się żałobne marsze na zmianę z ponurą muzyką poważną. Jednocześnie zwiększyła się sprzedaż wódki, wszędzie odbywały się libacje, a po ulicach snuli się mężczyźni ze skoczną przyśpiewką na ustach, przerywaną raz za razem pijacką czkawką. Na murach pojawiły się ulotki w kształcie klepsydry o treści: „Precz z komunistami!” lub „Nareszcie wolna Polska” i „Niech żyje Ameryka!” Służby bezpieczeństwa miały z tym sporo roboty. Dziewiątego marca o godzinie dziesiątej rano, kiedy po pogrzebie Stalina rozległo się wycie syren, a nawet gdzieś bicie kościelnych dzwonów, życie powoli wracało do równowagi, choć duch Stalina długo jeszcze nie dawał o sobie zapomnieć.

Pewnego letniego dnia ciocia Regina poczuła się naprawdę źle. Zbladła i na chwiejących się nogach sama powędrowała do łóżka.

– Ciociu, zawołam lekarza! – krzyknęłam patrząc na nią z przerażeniem.

– Nie trzeba Sikoreczko, to zaraz przejdzie – powiedziała słabo i machnęła ręką. – Zawołaj raczej Kazia, niech tu przyjdzie.

Pobiegłam do jego pokoju. Siedział na swoim tapczanie i gapił się w okno.

– Mama cię woła – oznajmiłam – jest bardzo słaba i nie zgadza się na wizytę lekarza.

– Już idę – rzucił i zerwał się z tapczanu. – Zaczekaj tu – dodał widząc, że wybieram się za nim.

Wszedł do pokoju matki i zamknął za sobą drzwi. Nie słyszałam, o czym rozmawiali.

Kilka dni później ciocia Regina umarła. Płakałam. Kazik też płakał. Miał

wtedy osiemnaście lat. W dniu pogrzebu podszedł do mnie, złapał mnie za rękę i patrząc mi w oczy powiedział:

– Jula, pozwól mi na siebie poczekać. Myślałem o tym już wtedy, kiedy jeszcze mama żyła. Nie chcę szukać innej żony. Masz piętnaście lat. Za trzy lata pobierzemy się i będziesz miała rodzinę. Będziesz miała mnie, a ja ciebie. Tego na pewno chciałaby moja matka. I ja też tego chcę.

Ale ja nie chciałam. Perspektywa małżeństwa, kiedy czułam się jeszcze dzieckiem, któremu wciąż brakuje matczynej troski i czułości, przerażała mnie. Wyrwałam się Kazikowi i bez słowa zamknęłam się w pokoju. Po pogrzebie spakowałam swoje rzeczy i korzystając z jego nieobecności uciekłam prosto na dworzec.

– Poproszę bilet na najbliższy pociąg – zażądałam, kładąc przed kasjerką pieniądze, które zdążyłam zaoszczędzić.

– Najbliższy jest do Białegostoku – poinformowała mnie kobieta w okienku. – Chcesz jechać do Białegostoku? – upewniała się.

– Nie bój się – usłyszałam głos krążący gdzieś nad moją głową.

– Tak. Poproszę bilet – powiedziałam zdecydowanym głosem i zacisnęłam pięści.



Kojący stukot kół pociągu działał usypiająco. Kobiety trzymające na kolanach tłumoczki z chlebem i słoniną drzemały kołysząc się miarowo. Patrzyłam w okno na umykające obrazy i rozmyślałam o moim dotychczasowym życiu. Miałam piętnaście lat i nie udało mi się zgromadzić niczego poza szpalerem zachowanych w pamięci ludzi, którzy przewinęli się przez moje życie. Straciłam wszystkich bliskich, którzy mnie kochali: matkę, ojca, o którym nawet nie wiem, czy żyje, Ivana i psa. Po ucieczce z leśnej chaty spotykałam tylko obce kobiety, od których z różnych powodów musiałam odejść. Od tych dobrych – z powodu tragedii i nieszczęść, jakie je dotykały, od złych uciekłam sama.

Zdażyłam zjeść przygotowane na drogę kanapki, gdy przywitały mnie poplamione czerwienią zachodzącego słońca przedmieścia. Potem były tylko szare perony, głośnie powitania, czyjeś czekanie z trzema goździkami wstydliwie ukrytymi za plecami. Na mnie nikt nie czekał. Ze skromną walizką wyszłam przed budynek dworca i skierowałam się w najbliższą ulicę. Nie myślałam jeszcze o tym, gdzie spędzę noc. Do zwiedzania zachęcił mnie ciepły wczesny wieczór i moja ciekawość miasta, tak niedawno zrujnowanego przetaczającą się wojną, które teraz unosiło dumną głowę i lizało rany. Wszędzie widać było pracę ludzkich rąk wylewających asfalt na przedwojenne kocie łby, odbudowujących zniszczone gmachy, stawiających nowe budynki.

– Ładny będzie, prawda? Nawet ładniejszy niż przed wojną – odezwał się nagle mężczyzna, stanąwszy za moimi plecami.

Przyglądałam się właśnie robotnikom uwijającym się przy jakiejś budowie.

– A co to będzie? – zapytałam oglądając się na nieznajomego.

Był średniego wzrostu, w jasnym kapeluszu na głowie.

– No jak to? – zmrużył oczy i jeszcze raz popatrzył na powstający budynek.

– To ratusz. Jeszcze w czterdziestym roku Ruskie nam go całkiem rozebrali. Potrzebowali miejsca pod pomnik Stalina. A tu figa z makiem. Nie będzie Stalina. O... przepraszam, nie przedstawiłem się – uchylił kapelusza i skłonił się lekko – Zagórski jestem. Zbigniew Zagórski. Architekt. Pani chyba przyjezdna, bo miejscowi wszyscy wiedzą, że ratusz stanie na swoim dawnym miejscu.

– Tak, przyjezdna. Ale ja nie jestem żadna pani. Mam piętnaście lat – powiedziałam rozbawiona.

– Tak też myślałem. Mój syn niewiele od panienki starszy. Ale teraz trudno



poznać, piętnaście czy osiemnaście. Nie chciałem urazić... Na wakacje pewnie, do rodziny? – zainteresował się.

– Niezupełnie – powiedziałam oględnie.

– Jeśli chce panienka zwiedzić miasto, to oprowadzę – zaproponował. – Nie mogę się nim nacieszyć, odkąd wróciło do naszych polskich rąk – dodał.

– O tak! Bardzo chętnie posłucham! – ucieszyłam się.

– To miasto po ciężkich przejściach – zaczął i westchnął. – Niemcy wkroczyli tu trzynastego września. Było ich tak dużo, że nasi nie mieli szans się bronić. Wycofali się. Tamci nie zdążyli na dobre się rozpanoszyć, bo po tygodniu musieli ustąpić miejsca Armii Czerwonej. Rządy objęło NKWD i partia bolszewicka. Od razu zaczęły się aresztowania żołnierzy, sędziów, księży, urzędników i oczywiście działaczy politycznych. A kiedy miasto wcielili do Związku Radzieckiego, pozmieniali nazwy ulic i wtedy właśnie rozebrali ratusz. Tyle pięknych budynków legło w gruzach... Kolejną panienka przyjechała? – zapytał nagle, zerkając na moją walizkę.

– Tak – odparłam zaskoczona.

– No właśnie. Na ten dworzec, na którym panienka wysiadła, w czerwcu czterdziestego pierwszego roku Niemcy rzucili bomby. Nikt się tego nie spodziewał. Rusczy spanikowali i zaczęli urządzać ewakuację. Po paru dniach znowu Niemcy zajęli Białystok i od razu zabrali się za Żydów. Spalili ich około dwóch tysięcy w Wielkiej Synagodze, którą Żydzi sobie zbudowali. Sprzedawali mięso koszerne, a pieniądze, które zarobili, szły na synagogę. Teraz już jej nie ma. Doszczętnie spalona, doszczętnie... Pamiętam ją jeszcze. Miała trzy kopuły, jedną dużą i dwie małe, kryte blachą. Z tej największej sterczała iglica. Jako architekt mogę powiedzieć, że nie miała żadnego stylu, ale dla Żydów była piękna... Resztę żydowskiej ludności zamknęli w getcie. Potem, jak likwidowali getto, wywieźli ich wszystkich do obozów zagłady. Przy okazji nie oszczędzono jeńców rosyjskich i Polaków. W czterdziestym czwartym, zdaje się pod koniec lipca, znowu wkroczyli tu Rosjanie. I znowu chcieli włączyć Białystok do Związku Radzieckiego, ale ostatecznie tak się nie stało.

– Widzę, że miasto szybko zmartwychwstaje – wtrąciłam rozglądając się dookoła.

– Ano pewnie! Jeszcze wojna była, jak zaczęliśmy naprawiać szkody. O, na przykład Pałac Branickich już wyremontowali i oddali Akademii Medycznej, a w ubiegłym roku nawet kino zaczęło działać – powiedział z dumą. – Zjadłaby panienka loda? – zapytał znienacka, kiedy przechodziliśmy obok małej niebieskiej budki.

Skinęłam głową i aż mi się oczy zaświeciły do tego niespodziewanego deseru.

Pan Zagórski wręczył mi porcję lodów i zerknął na zegarek.

– Oj, późno już. Miło było pogawędzić, ale czas wracać. Syn się niepokoi. Panienska też pewnie do swoich się śpieszy.

– Tak – bąknęłam. – Dziękuję panu.

Stałam i patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął za rogiem. Dopiero teraz zorientowałam się, że nie wiem, gdzie jestem. Przeliczyłam resztę oszczędności. W pobliskim sklepie kupiłam bułkę i ruszyłam na poszukiwanie noclegu. Mijałam małe kafejki zorganizowane w ocalałych częściach zrujnowanych domów. Dobiał z nich gwar i zapach dymu z papierosów. Ludzie zmęczeni latami wojny chcieli się śmiać i bawić. Pozazdrościłam im tych chwil bez troski i tego, że wrócą do swoich domów. Zapadał zmrok, gdy znalazłam się w mrocznej uliczce położonej w mniej uczęszczanej części miasta. Przechodziłam właśnie obok zrujnowanego domu, którego parter pozostał w niezłym stanie. Przypomniałam sobie szopę, w której mieszkałam przez jakiś czas w Krakowie, i postanowiłam spędzić tam noc. Najpierw obezłam budynek dokoła, żeby zorientować się, czy nie ma tu dzikich lokatorów albo zbłąkanych psów. Panowała cisza. Uchyliłam drzwi i wślizgnęłam się do środka. W półmroku dostrzegłam mnóstwo potłuczonych cegieł leżących na podłodze. Spojrzałam w górę, w obawie, czy nie spadnie mi coś na głowę, ale sufit był nienaruszony. W następnym pomieszczeniu za ścianą był przypuszczalnie pokój. Stały tu jeszcze zniszczone sprzęty, a w oknach pozbawionych szyb wisały strzępy firanek. Prawdopodobnie meble, które się do czegoś nadawały, dawno stąd zniknęły. W mroku dostrzegłam kulawy fotel, na którym postanowiłam się przespać. Strzepnęłam okruchy gruzu i zwinęłam się w kłębek, przykrywając wełnianą chustą, którą zabrałam z domu cioci Reginy. Zasnęłam niemal natychmiast.

Obudziły mnie promienie słońca wpadające przez otwór okienny. Byłam obolała i głodna. Rozprostowałam zdrętwiałe nogi i rozejrzałam się po wnętrzu czegoś, co na pewien czas miało stać się moim domem. Nie wiedziałam, na jak długo. Być może niebawem ktoś mnie stąd wyrzuci albo warunki staną się nie do zniesienia. Postanowiłam najpierw zorganizować sobie śniadanie i spokojnie zastanowić się nad najbliższą przyszłością. W okolicznym sklepie kupiłam chleb i mleko. Miałam spory apetyt, musiałam jednak oszczędzać pieniądze. Przysiadłam w fotelu i ułamałam kawałek chleba. Żułam go powoli, żeby na dłużej starczyło. Popiłam mlekiem i wybrałam się na obchód całego parteru.

Dość szybko natrafiłam na kuchnię. Była pusta, poza jednym poobijanym garnkiem i sterczącym ze ściany kranem. W końcu korytarza znajdowała się zrujnowana łazienka z nadtłuczoną umywalką i muszlą klozetową. W kranie, podobnie jak w kuchni, nie było wody. W głębi mieszkania znalazłam malutki pokoik, z którego okno wychodziło na podwórko. Szyba była prawie cała, nie licząc pęknięcia w lufciku. Obejrzałam ocalałe meble, z czego przeniosłam tu kulawy fotel, szafkę z urwanymi drzwiami, stolik z wyszczerbionym blatem

i wyścielane krzesło z odprutym na oparciu obiciem. Podłogę zamiotłam kawałkiem tektury. Walizkę, która awansowała do roli szafy, ustawiłam pod ścianą. Potem z dumą przyjrzałam się swojemu dziełu. Miałam pierwsze samodzielne mieszkanie. Niestety, nie mogłam zamknąć go na klucz, istniało więc zagrożenie, że w każdej chwili mogę tu mieć niepożądanych gości. Postanowiłam walizkę nosić zawsze z sobą.

Wyszłam na zewnątrz i ponownie obeszłam dom. Na podwórku leżała sterta gruzu. Tuż za nią odkryłam porośniętą zielskiem pompę. Przy użyciu zgrzytała przeraźliwie, ale była w niej woda. Kamienica obok była w przyzwoitym stanie i miała lokatorów. Na „mojej” odkryłam tabliczkę z informacją, że wstęp zabroniony, ponieważ budynek grozi zawaleniem. Wróciłam po walizkę i wyruszyłam na poszukiwanie doraźnego zarobku. Nie znałam miasta. Ulice, którymi szłam, zaprowadziły mnie do piekarni.

– Czy miałyby pani dla mnie jakaś pracę? – zapytałam nieśmiało kobietę stojącą za ladą.

– Kochana, to nie jest moja piekarnia. Nie mogę cię zatrudnić. Poza tym jesteś niepełnoletnia – odparła.

– Muszę zarobić na chleb... – szepnęłam i zatrzepotałam rzęsami, jakbym za chwilę miała się rozplakać.

– Dobrze – powiedziała szybko sprzedawczyni. – Umyj okno wystawowe. Miałam to zrobić dziś po pracy. Zapłacę ci.

Zaprowadziła mnie na zaplecze, gdzie znalazłam szmatki, ocet i wodę. Po godzinie okno lśniło jak nowe. Dostałam swoje pieniądze i słodką drożdżową bułkę. Do wieczora udało mi się zamieść chodnik przed sklepem i zaopiekować się dzieckiem, którego mama była u fryzjera. Bogatsza o całe trzydzieści dziewięć złotych postanowiłam wrócić do swojego „domu”. Niestety, nie pamiętałam drogi. Wszystkie ulice wyglądały podobnie. Żadna jednak nie prowadziła do gniazdka, które sobie uwiłam.

– Hej, panienko! – usłyszałam za plecami.

Odwróciłam się. Pan Zagórski szedł pośpiesznym krokiem w moim kierunku.

– Co za zbieg okoliczności! – zawołał uradowany. – Przedstawię paniace mojego syna. To Wojtek.

Dopiero teraz dołączył do niego młody chłopak. Mógł mieć siedemnaście lat, nie więcej. Stał obok ojca i obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

– To panienka, którą oprowadzałem wczoraj po mieście. Niestety, nie wiem, jak ma na imię – zawiesił głos i mrugnął do mnie jak stary znajomy.

– Juliana – wyjąkałam i niepewnie wyciągnęłam rękę, którą natychmiast uściskał i z zapalem potrząsnął. Potem spojrzał wyczekująco na syna, który nie kwapił się do żadnego gestu.

– Przywitaj się z panienką – pouczył go i natychmiast pożałował swojej uwagi. Syn spojrział na niego spode łba i mruknął:

– Daj spokój. Nie mam czterech lat. Nie musisz mnie pouczać, co mam robić. I nie mów do niej panienko. To jakieś staroświeckie.

– To jak mam mówić? – zdziwił się. – Ani ona dorosła, ani dziecko.

Wojtek wzruszył ramionami i zapytał niecierpliwie:

– Idziemy czy nie?

– Tak, oczywiście, idziemy – odparł ojciec i zadreptał w miejscu. – Może pójdziemy razem? – zwrócił się do mnie.

– Nie, nie. Idę w przeciwnym kierunku – odpowiedziałam szybko i na dowód tego, że mówię prawdę, pomaszerowałam dziarskim krokiem w stronę, z której właśnie przyszłam. Po drodze wstąpiłam do sklepu, kupiłam opakowanie świec i zapalki. Krążyłam po ulicach miasta, ale wciąż nie mogłam znaleźć właściwej ulicy. Nieoczekiwanie znalazłam się na skraju miasta. Zmęczona i zrezygnowana usiadłam na walizce. Pewnie wyglądałam na turystkę, bo po chwili zatrzymał się przy mnie samochód ciężarowy. Z kabiny wychylił się kierowca.

– Wsiadaj szybko, tu nie można stać! – zawołał, przechylił się i otworzył drzwi po mojej stronie.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Wsiadasz czy nie? – zniecierpliwił się.

Wrzuciłam walizkę i wdrapałam się do środka. Kabina przesiąknięta była dymem z papierosów.

– Dokąd podróżniczko? – zawołał wesoło, przekrzykując warczący silnik.

– A dokąd pan jedzie? – zapytałam, bo nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

– Do Starej Łuplanki. Deski wiozę.

– Może być – odparłam, byle coś powiedzieć.

W kabinie było ciepło i wygodnie. Z przyjemnością rozparłam się na miękkim krześle.

– Na wakacje? – zagadnął.

– Tak – powiedziałam krótko.

– Z daleka?

– Uhm... – mruknęłam i przymknęłam oczy, żeby uniknąć dalszych pytań.

– Dobrze wybrałaś. To piękne tereny. Pod lasami – zauważył tylko i zamilkł.

Wsluchiwałam się w szum motoru, obserwując spod zmrużonych powiek migające za oknem obrazy. Czułam się dobrze i bezpiecznie, choć jechałam w nieznanym towarzystwie obcego mężczyzny.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca i zgasił silnik.

Podziękowałam i wysiadłam. Przez chwilę patrzył za mną, potem odwinął plandekę i zaczął wyjmować z samochodu deski.

Ruszyłam polną drogą. Za wzgórzem ujrzałam usianą kwiatami łąkę z dawno nie koszoną trawą. Rzuciłam na drogę walizkę i pobiegłam w dół ku cudownym falom zieleni, by zatopić twarz w zapachu natury. Klęcząc na wilgotnej ziemi uświadomiłam sobie, że gdzieś za plecami pozostał burzliwy, bezpowrotny czas dzieciństwa.

Juliana zawiesiła głos. Miała przed sobą dwoje zasłuchanych młodych ludzi, którzy prawie nie odzywali się w czasie opowieści. Siedzieli tak spokojnie, że Juliana wędrując dawnymi ścieżkami zapominała o ich obecności. Ujrzała miejsca, w których była, i kobiety sprawujące nad nią opiekę. Obce matki.

W pokoju, gdzie siedzieli, panowała cisza. Za oknem było już zupełnie ciemno.

– Darujcie – odezwała się wreszcie Juliana – jest już bardzo późno.

Adam zerwał się z miejsca i pociągnął za rękaw Toffi.

– Przepraszamy, że zasiedzieliśmy się tak długo – powiedział. – Znaleźliśmy się w pani świetle i nie sposób było go opuścić. Pani Juliano, czy...

– Oczywiście – weszła mu w słowo, domyślając się, o co chce ją poprosić. – Dokończę swoją opowieść. Zostaw mi swój numer telefonu. Zadzwonię do ciebie.

Adam zapisał numer w podsuniętym przez Julianę notesie i ponownie dziękując za czas, który im poświęciła, wyszedł z pokoju pełnego zamglonych wspomnień.

Telefon rozdzwonił się, gdy Adam przykręcał ostatnią śrubkę do szafki. Pomstując szpetnie pod nosem, rzucił śrubokręt i sięgnął po komórkę.

– Halo! – odezwał się zniecierpliwionym głosem.

– No i jak, masz tam coś? – zapytał naczelny bez słowa powitania.

– Eee... Dzień dobry – wyjąkał skonsternowany Adam. – Tak, oczywiście. Jestem w trakcie pisania.

– Znalazłeś ją?

– Kogo?

– No, tę córkę.

– Tak.

– Słucham?

– Znalazłem.

– Żywą?

– Na szczęście żywą. I bardzo interesującą.

– Świetnie. Przyjdź z tym w piątek.

– W piątek? To jutro. Nie wiem...

– Czego znowu nie wiesz, Adam?

– Nie wiem, czy będę miał wszystko. Na razie mam część jej historii.

– Część?

- Ona ma bardzo bogaty życiorys, szefie.
- A, chyba że tak. No to przynieś jutro to, co masz.
- Dobrze, przyniosę.
- Aha, przeczytałem wspomnienia Magdaleny.
- ...?
- Ujdą. Pod warunkiem, że dołączymy ciąg dalszy.
- Dołączymy.
- No, ja myślę. To do zobaczenia.

Trzask słuchawki.

– Cholera – mruknął Adam i wrócił do skręcania szafki – nawet nie zacząłem pisać.

Za pieniądze, które otrzymał z redakcji, postanowił kupić podstawowe meble do mieszkania. Dotąd nie miał gdzie wypakować swoich ubrań. Wczoraj odwiedził sklep meblowy i zamówił skromny zestaw po okazyjnej cenie. Postanowił złożyć meble, zanim przyjdzie Toffi. Przez cały czas zastanawiał się, czy będą jej się podobały. Teraz dokręcił śrubkę i wyjął z kieszeni telefon.

- Słucham? – usłyszał głos Toffi po dłuższej chwili.
- Toffi, nie gniewaj się. Nie będę miał dzisiaj czasu na spotkanie z tobą.
- Jasne – warknęła – już się przyzwyczaiłam.
- Toffi, muszę...
- Nie tłumacz się, Adam. Wszystko rozumiem. Nie jestem ci już potrzebna.
- Nie opowiadaj głupstw. Nawet nie chcesz wysłuchać, co mam ci do powiedzenia.

– Nie chcę. Cześć.

Egoistka – pomyślał, kiedy się wyłączyła.

Przygotował sobie mocną kawę i usiadł do komputera. Przyjemność zagospodarowania nowych mebli musiał odłożyć na później. Położył palce na klawiaturze i przymknął oczy. Przez chwilę zbierał myśli. „Nosi na twarzy ciszę. Czas krzyku zostawiła na kartach historii, z którą przyszło jej się zmierzyć” – zaczął i zanurzył się w przeszłości Juliany.

*Dalsze losy bohaterów w kolejnej części: „Burza przed ciszą”*

